

Kochanemu Janowi Kuzłecie
w upominku

Przeba wielka d. 1875 u gōz. . . M. Orkay

W ROZTOKACH

TOM I

WŁASN-ZDANOWSKICH

WŁADYSŁAW ORKAN



W ROZTOKACH

POWIEŚĆ

TOM I



WŁASN.-ZDANOWSKICH

LWÓW

NAKŁADEM TOWARZYSTWA WYDAWNICZEGO
WARSZAWA — KSIĘGARNIA S. SADOWSKIEGO

1903

WŁADYSŁAW ORKAN

—

W ROZTOKAH

POWIEŚĆ

Prawo przekładu zastrzeżone i przekazane firmie:

Dr. J. B. Marchlewski & Co w Monachium.



WYDAWCA
KRAKÓW. — Druk W. L. Anczyca i Spółki

Naprzeciw Tatr, między doliną nowotarską, a wężowatą kotliną Raby, wspięło się gniazdo dzikich Gorców. Od romantycznych Pienin odciął je wartki kamienicki potok, a od spiskiej krainy odgraniczył je falami bystry Dunajec.

Samotnie stoją nad wzgórzami. A wyżej jeszcze nosi głowę ociec ich rodu, zasepiony Turbacz. Niewiadomo, kto go chrzcil i skąd mu to miano. Może stąd, że turbanem mgły przed deszczem owija łysą głowę, albo raczej, że widywano go zawsze w turbacyi wiecznej. Podle się z nim losy zaobeszły, dając mu zwykłą dumę wierchów i nadszczytów, a nie dając ich wielkości nadehmurnej. Otoczyły go jeszcze tłumem bliźniąt, wśród których maleje doznaku i zdaje się być zwykłą górą. A przecież coś mu się śni, że przed potopem inaczej było — coś mu się śni...

Z zazdrością patrzy, jak w słoneczne południe garbaty Krywań do Łomnicy się śmieje, a ona, zalotnica, rada go widzi. Daremnie się podnosi, by jej spojrzeć w oczy — ona hań grzeje

czoło wysoko... Z zazdrości też umizga się o zachodzie słońca do Babiej Góry. Widzi, jak opuszczona wdowa płoni się i czerwienieje i radaby się przychylić ku niemu, gdyby nie patrzeli na nią ze wszystkich stron.

Stary Turbacz mści się za małość swoją na wierchach Tatr, zasłaniając im czołem widok na wawelskie grodzisko. Zazdrosnem uchem łowi grające dźwięki Zygmunta i zasępia się w przeszłości dalekiej. Coś mu się śni, że drzewiej dzwony inaczej grały — coś mu się śni...

Ho! drzewiej! drzewiej!... Nasłuchał się Turbacz trąb wojennych — jeszcze mu do dziś dnia powietrzem grają, kiedy ociec wiatru, wiatr halny, przyjdzie w odwiedziny. On je pamięta dobrze. Było to wtedy, kiedy stary Turbacz synom sprawiał wesele; kiedy Turbaczyk pojął Kope, a Obidowiec zapatrzył się nań i sięgnął po Obidowę. Wiatr muzykę sprowadził — niedźwiedzie tańczyły — a po groniach paliły się ogniste wici... Byli tu goście, jakich już potem nie widywano — olbrzymy o płonących głowach — straszyciele...

Drzewiej Gorce daleko czerniały lasem i długo hrube drzewa nie widziały siekier. Gazdowały tu kolejno niedźwiedzie i wilki, i chowały się stada nieprzeliczone sarn. Pierwsza osada ludzka w tej okolicy od późniejszego właściciela jej, a pana czorsztyńskiego, Lubomierzem nazwana, mieści się w roztocie tego samego imienia od

strony kamienickiej. Jest to zapewne rumuńska osada z czasu najazdu tatarskiego ¹⁾. Różni się też wielce od późniejszych obyczajem i gwarą, a zwłaszcza tem, że nie widać w niej szczątków słowiańskiego ustroju rodowego, jakie się w sąsiednich roztokach do dziś dnia zachowały.

Każdy większy potok zowie się w gwarze miejscowej roztoką. I dolina, którą ten potok przez wieki wyłobił, również roztoką się nazywa.

Wszystkie spadają na północ od Turbacza; z początku strome i wąskie, rozszerzają się i zniżają ku dolinie Raby. Stamtąd też szła ludność falą występującego przez wieki morza i zwolna zalewała roztoki ku górze. Po drodze naczodziła już wykarczowane lasy, polany i osiedla, zamieszkane przez dawniejszych przybyszów. Ci byli to po największej części uciekinierzy z dolin, słudzy różnych bogów, którym za ciasno było żyć w zaludnionym świecie, banici, którzy od ludzkich praw uchylili się pod łaskawsze prawa natury — słowem, dziwna mieszanina ludzi z różnych krańców świata, prze-

¹⁾ Wiadomo, że podczas najazdu lewe skrzydło tatarskie opierało się prawie o Karpaty. W tem skrzydle szli Rumuni, nie z własnej ochoty, a z musu; więc chętnie zaginęli w lasach, gdzie mogli ostać swobodnie, karczując je, bo wracać nie mieli po co, obawiając się, i słusznie, powrotu fali.

(Przypisek autora).

chodząca z czasem przez wspólną pracę we wspólne podobieństwo. Różnice ich rodów były jednak za silne, by się doznaku stopiły w podobieństwie. Pozostał odrębny typ każdego i przetrwał napływ nizinnej fali, zachowując właściwe cechy swego charakteru.

W jednolitej i szarej masie ludu, wypełniającej po brzegi strome roztoki, odcinają się wyraźnie dawne rody: Porębskich, Michalczewskich, Niedźwiedzkich, Sołtysów, Cichańskich, Gnieckich, Smreczyńskich, Rakoczych. Jest to, można rzec, arystokracja wsi, panowie-chłopi, ufni w potęgę swoich familii, nadający kolejno ton całemu plemieniu. Mimo, że z czasem przydomki różnorodne zastąpiły im właściwe nazwiska rodowe, a grunta ich dzisiejsze nie różnią się od innych wielkością, ni wydajnością ziemi — czują oni wszyscy, że pradziadowie ich znojem zdobyli tę ziemię, że oni wykarczowali stuletnie smreki i jedle, wyrabali połany, i butnie noszą głowy. Kiedy ongi roztoki przydzielono do państwa czorsztyńskiego, pradziadowie ich długo opierali się tej niewoli. Z czasów tych pamiętają w gadkach o licznych ptakach wolnych — družynach zbójeckich. Te same rody później oparły się sprzedaży gorzeckich lasów. Dopiero po zastrzeleniu wójta przysłopskiego ustąpiły przemocy.

A dziś? Wszystko idzie z góry, jak mówią, osuwa się powoli. Spokrewnieni z biedą ludzie

się psują. Wszystko się psuje i rozpada. Gorzec dziś jednym cmentarzem — szarzejącym wyębem — pustką... Nad roztokami upiór nędzy — w roztokach morze leż. Dziesięć tysięcy zgłodzonych istot kopie tę ziemię skalistą, a ryc dopomagają dziki-przybylce.

Niedawny czas, kiedy padały z jękiem odwieczne smreki i jedle — miód sączył się po kłodach — niedźwiedzie lizwały... Niedawny czas! Uboczą grały echa potraconych głosów... A dziś?

Znój pracy ludzkiej przepelnił kotliny i spływa roztokami w świat i mąci wodę...

I.

»Hej!... idzie woda, idzie, po kamieniach spada,
O starym Suhaju cuda opowiada...«

»Kto hań to na groniu smreczki zakopował?
Pradziadkowie nasi — Suhaj im wójtował...«

»Idzie woda, idzie, po kamieniach szemrze:
Kiedyż się, aj kiedy Suhajowi zemrze?...«

Zmarło się już wielu jego bratom, a Suhaj żyw. Rówieśników jego już dawno ziemia nie widziała, a on ją depce wciąż i nie ustaje. Trzydzieści lat przeszło, kiedy Porębski padł w łomach pod Turbaczem. Wtedy to na jego miejsce wybrała gmina przysłopska wójtem Suhaja z rodu Sołtysów, jako najstarszego, niech rządzi. I on rządzi po dziś dzień mądrze i roztropnie. A zasadą jego rządów było: Lepiej zawdy podleźć, niż przeskoczyć... Nie uznawał on polityki przeczenia swoich poprzedników, i pogodził się ze stanem rzeczy, jaki zastał — «niech się ta pcha, jak może». I pcha się już od trzy-

dziestu lat, i kto wie jeszcze, jak długo będzie, bo Suhaj nie myśli umierać. Przeżyje on jeszcze, jak mówi, ze dwa pokolenia, niech się darmo nie cieszą. Choć, prawdę rzekłszy, niktby się jego śmiercią nie radował. Mieli już czas przywyknąć do niego i oswoić się z tem, że Suhaj dla Przysłopia od początku świata już był przeznaczony — i rządzi, aby się wypełniło, co napisane jest w prorocत्वach królowej Saby. Co zaś napisane, to najlepiej sam stary Suhaj wie, bo tę książkę przywiózł z miasta, jako rzecz wielce ciekawą a sprawiedliwą, i rozkazał córce, by czytywała głośno niektóre z niej ustępy. Dobre odnosił do siebie, a złe do innych ludzi; co czynił po namyśle i po długiej rozwadze. Ta rozwaga, z jaką wszystko ważył, nim wykonał, otaczała go chmurą niezwyklej powagi, co sprawiało, że świętość słowa jego była nietykalną, i nikt się nad tem nie zastanawiał, co ono oznacza.

Tak powiedział i basta. I sprawa skończona.

— Bo choć on ta nie piśmienny — mówili — ale swój rozum ma i nikogo się o rady nie pyta. A jak potrzeba stanąć ostro, to stanie. Jak przyjdzie — mówią — w starostwie, abo i na sesyi, to wszyscy na niego patrzą, co on powie.

— A on się ta z gwarą nie spieszy... Ho! trzaby to nie wiedzieć kogo, żeby mu odpowie-

dział wartko, co se myśli. On ta, wiecie, letko-
myślnie nie da się uprosić.

— A jak powie, to już tak, jakżeby przy-
latał.

— Bo ma swój rozum!

— Wójtowski łeb! Nie na wszy...

— On, wicie — powiadali — z panami se
żyje, jak pan brat. Stanie se, bywa, przed sta-
rostwem, panowie nadskakują, a on nic. Cze-
stują go, czem zdoła, i strasznie radziby go wi-
dzieć, co raty przeraty! A on ino łbem kiwa
i nos rękawem ociera.

— Ze starostą, to wam tak będzie gadał,
jak ja z wami.

— Bo ma swój honor!

— Wójtowski honor! Nie na kpy...

Suhaj ten honor swój wysoko nosił, jak wy-
maszczony olejem kapelusz, którego nigdy nie
zdejmował z głowy, bo łysy był już od niepa-
miętnych czasów. Przypominał sobie, jak przez
mgłę, że kiedyś miał pełną głowę kędzierzawych
włosów. Ale jak dawno to było, trudno dociec.
Prawdopodobnie wówczas, gdy się żenił. Ale i to
niepewne, bo wnet po ślubie niebożyczka zwała
go «łysopolem». Może to ino była babska złość,
nie więcej...

Od tego czasu minęło sporo lat. Roztoki się
zmieniły — Suhaj ten sam. Rozrósł się jeszcze
bardziej, rozpotężnił i stał się podobnym bukowi,

który tężeje z latami, a w starości nabiera stalowego hartu. Zda się, że niema siły, któraby go zwała, piorunom się oprze i wichrom, aż przyjdzie czas butwienia sam z siebie.

Gdyby miał syna, możeby mu ustąpił wójtowania; bo zżył się z tem przez lata, że wójtostwo należy do jego rodu; możeby się usunął w kąt i patrzył z boku, jak to młodzi gazdować potrafią... Lecz syna nie miał, ino córkę, jedną jedyną. Nieraz pożałował gorzko, zabiadał w sercu swoim, ale już po niewczasie... Darmo! Niech się dzieje wola Boska. Trzeba zięcia wyszukać...

— O to nietrudno, bo chłopców we wsi nie brak, lecieliby na zabój. Ino rodowych mało, a statecznych, a usłuchliwych, coby umieli szanować wolę starszych. Teraz każdy, ledwo od ziemi odrośnie, już jest mądry, już mu się zdaje, że jest całutkim człowiekiem. Takiby ci wnet począł mędrkować i...

Tego się najbardziej stary Suhaj obawiał.

— Zresztą — mówił — to dziewczę. Niech jeszcze poczeka.

To dziewczę miało już dwadzieścia lat z okładem paru i samo się rozglądało za ludźmi, nie czekając przyzwolenia ojcowskiego. Zwali je wszyscy Hanką, a w domu Hanusią. Mogła zaś robić za plecami ojca, co jej się żywnie podo-

bało, bo stary był zajęty sprawami gminnymi nie na żarty.

Czy to bitka o miedzę, czy klótnia o drzewa, czy jakie insze sąsiedzkie zatargi — zawdy i wszędy trza było Suhaja, coby na miejscu osądził. W takich sprawach Suhaj trzymał się stale środka. Nie stawał po stronie szkodę czyniącej, ani poszkodowanej, ale obie karał jednaka kwotą. I w sercu przekonany był, że dobrze czyni, a przedewszystkiem rozsądnie. Na rozsądku bowiem stał i kościół jego prastarych wierzeń.

Poważali go też wszyscy za stałość zasad wygłaszanych, szanowali za sprawiedliwość, z jaką ściągał kary, bali się, jako władzy widomej w Przysłopi.

Bali się wszyscy — prócz jednego Franka Rakoczego.

— Tenby się — powiadali — i dyabła samego nie uląkł, a nie to-boże Suhaja. Wygląda, jak sam święty Michał na obrazie. Kieby ino zbroję na się przywdział: rycerz i rycerz...

— Skąd się też ta taki wziął na świecie! Powiedźcie...

— Aboście to nie znali Rakocznych? Dyć wszyscy byli tacy. Jeden w drugiego chłop, jak wyciesany!

— Opowiadali ojcowie nasi — mówią starzy — jacy to byli przodkowie jego możni i skąd

sie tu dostali. Ale to, wiecie, pamięć ludzka słaba, wywietrzało. Kiebyś ta był zapisował rzetelnie każde słowo... Hale cóż? Pisać nie umiał nikto, nie dziwota. Pono z południa przyszli, z obcych krajów. I gwarę mieli odmienną, aże sie tu nauczyli gadać po naskiemu. Hardzi byli wsze i niedostępni, ale że sprawiedliwi, to poświadczy każdy. Ino, czy kara boska wisiała nad nimi, czy co, że tak wczesnie do grobu schodzili. Haw żył — już umarł — już go nima. A to wszystko nagłą śmiercią...

— Powiedzcie ludzie...

— Musiało ich cosi gryźć na wnętrzu albo i dławić. Bo przecie bez przyczyny nikto nie umiera.

Co prawdy było w tem gadaniu, trudno wy-miarkować. Faktem jest, że ojciec Franka od-umarł go wczesnie. Matka, z rodu Porębskich, dała go do szkoły i cieszyła się nim strasznie, bo chłopiec był zmysłny i do nauki parł się, jak do raję. Kto wie, co se ta myślała po ci-chu, jakie dostojęstwa wielkie śniła mu na przy-szłość. Najpewniej: księdzem żeby ostał, albo wielkim panem odrazu...

Tymczasem zięcia przyjęła do domu, bo córkę miała już dziewczyną letnią. Więcej dzieci, prócz Franusia, Bóg jej nie nagodził. Niech i za to będzie chwała Opatrzności boskiej.

Nieszczęście chciało, że sny jej nie spraw-

dziły się, bo umarła. Zerwała się robotą, i duch ją odleciał. A zięciowi niekoniecznie było nakładać na Franka, choć go matka przed śmiercią na to zaprzysięgła.

— Niby po co? — tłumaczył Zośce, swojej żonie. — Ma połówkę swoją, to niech przyjdzie, niech robi na niej. Ja się będę utracał, a kto mi to odda? W domu chłopiec potrzebny, choćby wołów zapaść... Co ja mam darmo nakładać? Niech wróci.

I wrócił Franek do chałupy, z wielkim uporem. Chlipał często łzy, nim przywyknął, ale przywyknął. Robota paliła mu się w rękach, i wszyscy byli radzi, bo stanął za chłopa, nie za jednego. A rósł wartko, i w oczach prawie. Kiedy go do wojska odebrali, to był, jak smrek w uboczy: gibki, śmigły i rosły.

Po trzech latach znów wrócił, ale jakby nie ten. Opalił się i zmęźniał i spochmurniał bardzo. Wszyscy mówili, że jest do ojca podobny, jak noc do nocy. — Te same iskry w oczach, ta sama twarz, jak z brązu, albo z cygańskiej miedzi — istny Rakoczy. Ino smutek, to ma z matki, bo ona taka była wiecznie sturbowana.

Pracował przy siostrze wciąż i nie odłączał się od nich. Żenić się jakoś nie myślał, choć go wszędy radzi widzieli, a dziewczęta ulatywały za nim. Był sobie sam. Czytywał chętnie, co mu w rękę wpadło, gazety nawet zapisywał

z dalekiego świata, co mu bardzo za złe mieli gazdowie starzy. Karczmę omijał z daleka i nie rad pijał. Ale miał mir u młodych, bo był człek honorny. Parobki Potaczkowe i bitne Smreczaki wszędy się radzi chwalili przyjaźnią Franka. A zdumiewał on ich siłą, ogromem, postawą.

— Z nim i do piekła letko iść — mawiali — bo je smok mocny, jak straż Lucypera. Nie żarty!

Długo Franek Rakoczy trzymał się na osobności, zdala od gwaru. Zadumywał się często w sobie, jak nie młody, coś ważył w sercu. Potem gorliwie chwycił się roboty i piorunem czynił wszystko, jakby się czasu lękał, że ucieknie. Znali go już z tego dobrze, nikt się nie dziwił. Bo i z ludźmi był jak piorun, taki naremnny. Ale dziwować się poczęli, i to nie na żarty, kiedy Franek jał wglądać w różne sprawy gminne, rozpytywać się dokoła...

— Co mu do tego? Jest wójt, jest pisarz, są i radni, ma kto dozierać. Kto go postanowił konwisarzem? Co on se myśli?

Ciekawość rosła, rady były długie, nieustanne, a radni już poczęli gorzeć w sercach swoich z obawy przed nim.

Wójt Suhaj wiedział wszystko. Od czegoż był wójtem? Wiedział i to, że Franek, o Hance myślący, radby mu zajrzeć w serce, oskroić na poly, przekonać się, co tam u niego na dnie,

jakie myśli... I złość go porywała wielka a nie mała, że taki młokos śmie być jego sędzią, jego, co żyje od niepamiętnych czasów, co Soltysom był głową rodu już od dawna, a gminie Przy-słopowi od trzydziestu lat!

Wrzał gniewem, kipiał złością, ale się hamował. Nie rzekł mu jeszcze przykrego słowa.

— Kto wie — pomyślał — co może i wy-
paść. Lepiej wszystko zważyć spokojnie. Bo Ra-
koczowie same dyabły, gorączki wściekle. Do-
bry ród, starodawny, ale... bezpieczniej zawdy,
że ich nima więcej, że ten już ostatni z rodu...
Bezpieczniej.

II.

Cóż to za wielkie święto u Suhaja? Czy sądy gminne wróciły do wójta? Oddawna nie widziała już jego chałupa tylu naraz sędziwych gazdów. A to wszystko starzy, rodowi. Są Cichańscy, Sołtysi, bracia i bratankowie starego Suhaja, jest Gniecki, hruby gazda, piszący się Nieckim, jest z rodu Michalczewskich stary Domagała, jest jeszcze wielu innych równie niepoślednich...

Poschodzili się wszyscy na wezwanie wójta i zasiedli rzędem długie ławy, dumając, co im to ma stary Suhaj oznajmić. Każdy w skrytości serca swego myśli, że jeśli o podatkach mowa będzie jak łońskiego roku, to się milczkiem wyniesie.

— Dość już tych dodatków — mruknął Gniecki. — Dyabli wiedzą, kie im sie to przewali...

— Hej! a tu nowe ciężary idą. Jak i z tą szkołą... potrzebne to było?

— Dyc' powiedzcie! Lubomierz nima szkoły,

a żyje. Ino na ten biedny Przysłop zwalują wszystko, jakby sie tu samo srebro rodziło.

— A tu skale, skałeczki, same drobniutkie skałki.

— Za naszych czasów nie było szkoły, a przecie, chwała Bogu, człek na brak rozumu nima co narzekać.

— Ho! ho! ho! Rozumu jest dość, ino człek nie wie, co z nim zrobić.

— Jakeś ta już głupi na ten świat przyszedł, to ci nikt rozumu łopata nie włoży... darmo!

— To nie innego — ozwał się Domagała — ino ludzi, rzekę, ni mają kany podzieć i kładą chłopu na kark... a ty ich żyw!

— Dyc' niejaki! Oni ino budzety układają, a ty płac!

Zapalali się wzajemnie, by nawrzcć oburzeniem, zahartować ducha na opór.

Czuli zawdy, że wisi nad nimi konieczność jakaś neublagana, by znienacka uderzyć palką w leb. Nie wiedzieli jeno, skąd przyjdzie, z jakiej strony, i jak się jej oprzcć skutecznie. Na świecie widzieli w dole swój chłopski stan na wieczność ożeniony z biedą, a w górze nad nimi wszystko, co ciemięży, gniecie i ciężarem przywala. Jak się wydobyć? Jak oswobodzić plecy od ucisku? Prózne wysiłki! — powiadali, i każdy kłął po cichu przeznaczenie Boże, cze-

kając śmierci. Ale pomruk szedł głuchy, niechęć studziła serca, i wciąż bulkotał wewnątrz war gniewu i złości, wzbierało morze łez...

Każdy dzień przynosił chmury obaw, klęsk i niepokoju. Odkąd zapamiętali starzy — nie wzeszło słońce weselem nad roztokami, nie zabieliła twarzy radość, bo i czem? Nadzieje dawno poginęły; wiater zabaczył już, skąd je przywiewał. Niebo chmurami oczy zasłoniło, nie widzi nic...

Cała ta beznadziejność smutnego położenia stała każdemu przed oczyma ugorem pustym. Kiwali więc głowami nad sobą, żalując się wzajemnie. A niejeden pomyślał, że jemu gorzej, niż drugiemu, choć wszystkim jednako, bez wyjątku. Los nie przebiera i wieje na ślepo, jak wiater, co się o drzewa rozbija...

— Tak ci mój kumie... Niejeden powie: Dyć-ś gazda! O co sie turbujesz? Ho! Dyć-ś gazda! Bo sie tak nazywasz. Ale twoje gazdowanie nie warte suchej siczki...

— Ono niejaki!... Przeszły te czasy, kiedy w roztokach wypasały sie setki owiec, kiedy woły chodziły same po lesie, ka je oczy niesły, a na polanach walały sie trawy szumiaste.

— Hej! na polanach! Dziś nie usiecieze, nie uskubnie, trawka, jak szydło, a i to dziki zryją, przewrócą.

— Las wieczny stał... Bukowe liście leciały

pod nogi, cetyna sie ścielila w posłania hrube... Kanyś okiem dosięgnął — czerniawa i bory, po całym Gorcu wspinały sie smreki pod same wierchy. A nad wierchami toczył koła szerokie oreł królewski.

— Dziś góry stoją golutkie na wietrze, nie ich nie odziewa, chyba śnieg. Nad wyrębami wrony przelatują — Turbacz wyłysiał — idzie mróz i śmierzć...

— I coraz gorzej ludziom w roztokach i coraz ciaśniej, z roku na rok... Nieurodzaj na polu, do chałupy bieda sie ciśnie najmniejszą szparką. Trudno to żyć i trudno gazdować, jak nimasz czem.

Tak biadali nad swą biedą rodowi. Narzekaliby jeszcze długo, może do wieczora, gdyby im nie przerwał sam naczelnik Przysłopia, stary Suhaj. Ten ważył w sercu myśli i przebierał słowa, nim podniósł głowę i wyrzekł: — Słuchajcie!

Uciszyli się wszyscy, a on zwolna powstawał i chylił się nad stołem; pięści wyciągnął przed siebie, oparł się na nich całym ciałem i stał, jak pochylona kłoda, na dwóch jeno goścowańych konarach wsparta. Chwilę przeżuwał coś ustami, jak czynią ludzie bezzębni, aż wreszcie przytłumionym głosem rozpoczął:

— Bracia i bratankowie moi mili i wy dalsi sąsiedzi! Wezwalech was tu na poradę, na opie-

kuństwo gminie, cobyście rozumem swoim dopomogli i uradzili zgodnie, jako ma być, jako się naród ma w okoliczności zachować.

Wypowiedziawszy to, odetchnął; a gazdowie, nie rozumiejąc zgoła, na co ich rady Suhaj potrzebuje, strwożyli się ogromnie i w chmurnem zasepieniu siedzieli na ławach milczący.

Po chwili Suhaj chlipnął powietrza, jak stary, dychawiczny pstrąg, i powiedział dalej:

— Wiadomo wam, boście przecie nie dzisiejsi, że każdy powiat wysyła co parę lat swoich elegantów na sejmy. To jest tak, jakżebyście wy mnie wybrali, dajmy na to, a ja się tam przedstawił rządowi z całą personą, to jest... tak... z całą personą. Tych niby, rzeke, posłów wybierają dopiero ci, których gminy na to postanowią. Dyc wiecie.

Wiedzieli o tem dobrze, że Suhaj siebie zawdy sam postanawiał i dobierał, kogo chciał, nie pytając się o radę gminy. Zresztą, co ich to mogło obchodzić? Dziwili się jeno mocno, na co im to wszystko wyklada.

— Oto rzeke — ciągnął Suchaj, — nadchodzi czas wyboru. I od starostwa przyszedł nakaz...

Tu obejrzał się na pisarza.

Mały człowieczek, siedzący za nim na ławie, począł grzebać w papierach rozłożonych na stole, opatrując każdy z uwagą. Suhaj, pochy-

lony nad nim, pomagał mu przewracać zgrabiałą dłoń, czyniąc niemałe zamieszanie w aktach.

— Nie ten, — mruzczał — ani ten... E kiż to dyabli! A może tamten, co w rękach trzymacie? Nie... Roztąp sie ziemio!

— Pewnie znowu dzieciska wywlekły... — zajączkał pisarz.

— No to już nie szukajcie. A sprawcie im pamiętne, żeby raz na zawsze wiedziały, co to urzędowy kawałek...

— Ja im sprawię!

— Tak moi mili, — ciągnął Suhaj — nakaz jest z urzędu, jako, że gmina Przysłop ma odstawić ludzi, coby sie przed inszymi nie powstydzili, a mieli na uwadze swój honor. Bo swój honor mieć, to dużo znaczy. Może człek robić, co mu sie żywnie spodoba: jak ino swój honor ma, to jest godny i wszędy go ujrzą... Nie prawdę gadam?

— Sprawiedliwie! — potaknęli wszyscy.

— Ja was też po to zwołał, cobyście radzili, jako ma być. Gazdowie jesteście, każdy na swoim gruncie, stateczni i rodowi. Wasi ojcowie tę ziemię orali, i wy ją orzecie na chwałę Bożą i na pożytek bliźnich swoich. Znają was wszędy z imienia i rodu, i z poczciwości dobrej, nieokpiśnej. I u dalszych ludzi jesteście w poważaniu, bo wam szacunek miały czas wyrobić

lata niemale. Patrzeliscie wy dlugo na tę ziemię, niejedna klęska już przeszła nad wami, niejedna zmiana zaszła już od czasu, kieście ujrzeli to słonko, te góry...

— E dyć! mój Boże! — zadumali się starzy.

— A odkąd-ście zapamiętali tę kotlinę nie-szczęsną, zawdy rody stały na wierchu i pano-wały roztokom, zawdy gazdowie starzy mieli pierwsze i ostatnie słowo i należny posłuch w na-rodzie. Baczcież, by sie waszym prawom nie działa krzywda. Bo dziecińska rzecz słuchać, a ojcowska rządzić. Zwołałech was naprzódy, żeby to powiedzieć, a potem od was usłyszeć słowa mądre i pełne oparcia. Wybory idą, o tem wiecie. Trza sie zastanowić, jak ma Przysłop wystąpić, coby honor swój pokazał światu ca-lemu. Bo weźcie se to na uwagę, że na was opie-rają sie sprawy narodu i władza najprzewiele-bniejszego munarchy. Jak wy co postanowicie, to nawet władza musi sie długo namyślać, za-nim to zmieni. Tak moiściewy! A teraz nadcho-dzi czas uwagi... Trza sie ozglądnać za kim i postanowić dwóch ludzi najgodniejszych wedle honoru swego. Radźcie, a uwazujcie dobrze.

Wypowiedziawszy to głosem wielkim, który dudniał w tej izbie, jak w dzieży zamkniętej szczelnie, stary Suhaj zwałił się na ławę i dy-szał ciężko, ocierając rękawem zgrzebnej koszuli spocone czoło. A gazdowie pochylili głowy ku

ziemi, zastanawiając się głęboko nad słowami ojczaszka swego.

Długi czas nie było słyhać nic, jeno sapanie Suhaja coraz cichsze, brzęczenie senne much na okopconych szybach i jednostajne, drobne pykanie z krótkich fajek. Dym rozsnuwał się po izbie szaremi smugami. Promienie, spadające z okna na podłogę, drżały, jak wyciągnięte na wietrze pasma sino-białych włosów. Gazdowie, siedzący na długich ławach i pykający drobne dymy z mosiężnych fajeczek, zdali się być rzędami osędziałyh jałowców, z których każdy, podpalony, zgasł i dymi jeszcze.

Wreszcie najmniejszy z rodu Sołtysów, Szymek, wyjął fajczynę z ust i splunął przez zęby na podłogę. Poczem spojrział dokoła po zebranych i odezwał się niedbale:

— Dyć rada taka: niech ociec Suhaj dobiere z pośród gazdów jednego i bedzie. A jak nie, to my se uważmy, kogo dobrać...

— Słuszna rada! — przyświadczyło paru.

— Sprawiedliwa! — dodali insi.

— Hej! — przykiwnęli ostatni. — Niech już bedzie, jak bywało dawniej.

I uważając radę za skończoną, patrzeli na Suhaja, co powie. On zaś, nie dając długo na się czekać, rzekł:

— No dyć dobrze. Sam najlepiej wiem, jak bywało. I mogłoby tak na wieki zostać, po wsze

czasy. Jak ojcowie robiali, i nieźle było, to po co nam to zmieniać? Ja ino chciał słyseć od was słowo: jako, że sie nie dacie uwieść namowom tych, coby chcieli świat przeinaczyć i głupim rozumem swoim zastąpić rozum ojców, jako żeście są ludzie oparci i ku ochronie swoich obyczajów staroświeckich sposobni. Bo wam powiem zawczasu, że sie bez wojny nie obejdzie. Nadchodzą już te czasy, o których jest napisane w prorocत्वach królowej Saby... Hanuś! — zawołał do piekarni. — Hanka! — huknął po chwili, aż echo odpowiedziało w osiedlu.

Ale o Hance słychu dychu.

— Kanysi beskurcyja lata... Onaby wam wszyściuteńko wyłożyła tak dokumentnie, że i księdza nie potrzeba. Kanysi lata... Nadejdą, powiada, czasy, że syn będzie stał przeciwko ojcu, córka przeciwko matce, a czeladnik przeciwko swojemu chlebodawcy...

— Czy nie tak jest! — szepnęło paru.

— Nadejdą, powiada znowu, takie roki, że sie słońce będzie ćmić, jak ta szyba zakopconą dymem, że sie deszcze będą lały z nieba bezustanku, jak te potoki z uboczy, a ziemia pocznie rodzić same, samiutkie osty...

— Dyć niejaki!

— I nadejdą, powiada w końcu, takie dni okropnego zgiełku, że ludzie od rozumu odchodzić będą. Już sie to po części sprawdza, choćby

i w Przysłopi. Powstaną, mówi, jakiesi potwory z pomiędzy ludzi, co będą ino czyhać na zgubę innych, aby siebie wywyższyć do chwały. La takich nima praw, ani Boga, ani poszanowania siwej głowy. Udają oni mądrość, ale ta mądrość od czarta pochodzi. Bo to są słudzy Jantychrysta! Oni mu panowanie gotują na ziemi... I dużo jeszcze jest w tych prorocत्वach godnego, ale sie to nie spamięta wszystkiego, bo pamięć, jak i na starość, maleje. Trzaby to głowy!

— Dyc nie trza lepszej nad waszą — pochlebił Gniecki.

— Zmieści ono sie w niej nie mało — poparło kilku.

— Ho! moiściewy! — odparł Suchaj — Był czas, że mi nie trza było niczego dwa razy powtarzać, a siedziało tak, jakby na skóbel zamknął. Ale to już temu kielka roków! Dziś człek rozkołatany, jak stara sieczkarnia: kręć nią, jak chcesz — nie urznie, bo już nima rzazu. Ale... na czym ja to stanął? Aha, na tych prorocत्वach... To jest słuszne! Czy sie nie tak dzieje?

— O jej!

— Zewsząd sie już na ten biedny naród zwierają. A i dyabli nie zasypiają gruszek w popiele. O nie! Oni ta mają swoich usłużników, co im szeptają do ucha dzień i noc bez przerwy... Oni ta mają!

I opowiadał, jacy to są młodzi mądrausze, co się Boga, ani żadnej władzy nie boją, a zaufani w rozumie swoim, nie pytają się o rady ojców, ale dowodziliby sami, kieby jeno mieli kim.

A gazdowie słuchali go uważnie i pilnie, bo też nigdy stary Suhaj tyle słów naraz nie powiedział, nigdy swego umysłu nie otwarł tak przed nimi na oścież.

— Małomówiący jest — myśleli — a widać, że jak się rozgada, to ma co powiedzieć. Już ta nad niego Przysłop nimiał wójta, ani miał nie będzie. Darmo. Kieby tak pożył jeszcze choć ze sto lat! Miałaby gmina niemale skrzepienie. Co myślicie! Takim się wszędy zastawi, bo jest chłop osadzisty i ma swój honor.

— Nic, ino trza tak zrobić, jakom ja powiedział — ozwał się Szymek, gdy wójt zaprzestał swoich wywodów. — Abo niech ociec Suhaj doбира do siebie, kogo chce, abo my...

— Nie, niech ociec Suhaj doбира! — przerwało paru.

— My nie upatrzymy tak... Trza to mieć rozum i na różne sprawy. A wójt przecie są już obeznani z tem...

— Hej, bo mieli czas wszystkiemu się napatrzeć.

— Niech tacy idą — ciągnął Szymek — co ta już bywali nieraz, co im to nie cudne, co

sie umieją naleść i na radzie, i na zwadzie, i za stołem, i pod stołem... wszędy! bez wyjątku!

— To jest słusznie i sprawiedliwie powiedziane.

— Co myślicie! — dokończył Szymek. — Tam przecie są i księża i wieldzy panowie, i sam starosta nawet siedzi! Nie każdemu to jest dano umieć sie naleść.

— A i wstydu nie przynieść swojej gminie...

— To jest rzecz honorna!

— Ba! To jest honor!

— Ustanówmy se... — począł Suhaj, ale zaraz przestał, bo cień mignął po szybach i szmer się w izbie uczynił.

— Kto idzie? — spytał.

— Rakoczy! — szepnęli.

W te razy drzwi przeraźliwie zaskrzypiały, i ze sieni wleciały gromkie słowa:

— Niech będzie pochwalony!

— Na wieki wieków... — organem hrubym odezwała się izba.

I podniosły się wszystkie kapelusze, i wszystkie twarze zwróciły się ku drzwiom, które zwolna przywierał za sobą śmigły parobczak, jakby żalować począł wejścia swego. Ale już wartko postąpił naprzód i, kłaniając się kapeluszem wkoło, rzekł:

— Witajcie wszyscy.

Odpowiedzieli skinieniem głów; Suhaj tylko

nie zauważył powitania i zdawał się czegoś pilnie wypatrywać za oknem.

— Tu widzę — rzekł przybyły — jakaś wielka rada. Sami ojcowie zacnych rodów. Może jakie rodowe sprawy macie na uwadze, o których nie trza wiedzieć każdemu... Co? To się usunę.

— Eh nie — odparł Cichański. — To ino wybory.

— A, to dobrze. W sam raz się zdarzyło. Bo ja właśnie myślałem o tem... Trzaby się naradzić. Ale cóż was tak mało? Któż was to zwolywał?

— Ta ociec Suhaj — szepnął Gniecki.

— Hm... przecie to nie ino wam leży na sercu...

— Rakoczy! — warknął Suhaj, ale wnet się pohamował i począł mówić spokojnie, zapatrzony w okno: — Bywają takie sprawy, choć i nie rodowe, o których nie każdy musi wiedzieć...

— Wójcie! — przerwał Rakoczy. — Ja was nie rozumiem.

— Nie dziwota. Jeszcze niemało wody w roztokach upłynie...

— Czy wy myślicie, że do spraw kraju mają ino prawo rody mieszać się, nikt więcej?

Spojrzał wkoło po gazdach, ale oni milczeli uparcie.

— To wy się chwalicie rozumem, a nie wiecie doznaku, jakie czyje prawo?

— Patrz swojego, mojeśty, o insze sie nie trap — odrzekł z uśmiechem Domagała.

Ale Rakoczym szarpało rozdrażnienie i gorączka uderzała mu falą do mózgu.

— Słuchajcie! — począł głośno — Ja sie do waszych spraw nie mieszam. Prowadzicie gazdowanie gminne do stu dyablów...

— Co? — podniósł się wójt z za stołu.

— To, że lud sie skarży. Las wyniszczony, drogi zaniedbane...

— A kto temu winien?

— Nie twierdzę, żebyście to złą wolą czynili. Nieumiejętność wasza więcej złego robi...

— To nas naucz, mądrauszu!

— Ba, kie wy ino z rad sie wyśmiewacie, i zawdy trzymacie sie swoich starych praktyk.

— Słuchajcie, co on jeszcze nowego nie powie!

— O, powiem wam: przyjdzie czas, kiedy musicie zdać rachunek...

— Przed tobą?

— I przedemną, i przed stu inszymi!

Gwałtem się silił, by gniew pohamować. Dużo ciszej rozpoczął:

— Teraz proszę pięknie, powiedzcie mi, coście tu wspólnie uradzili. Bo jak o wybory idzie...

— Słuchaj, Rakoczy! — prosił Suhaj, dygocząc tajoną złością — Nie napalaj ty nas wy-

wodami swoimi, ale siedź w chałupie, kiedy ci dobrze, i czytaj se tam te wszelenniejakie pisma. A jak rozumu lepszego nabędziesz, to nam powiedz.

— Jak o wybory idzie, to wam powiem. Przeszły te czasy, kiedyście tam chodzili po to, żeby kiwać głowami na wszystko. Dziś już naród zdjął kurzą ślepotę z oczu swoich i przejrzał i zrozumiał nareszcie, że o prawa swoje sam sie dopominać musi. Obiecankom nima co dowierzać, bo panowie mili są i ładni i gadać potrafią tak pięknie, że sie serce kraje, ale oni mają swoje interesa, nie nasze. Ich cel, a nasz — to jako dwa końce na jednej miedzy. Oba sie rozlatują w przeciwną stronę — i jakże sie mają zejść razem? Powiedzcie!... Oni idą kerdelami — a my, jak owce zbłąkane, rozsypane po uboczy daleko... Deszcze nas biją, wiatry ziębią, a my ino wciąż beczymy żałośnie. Gromadami iść na hale, na te polany wolnościowe! Czyby potok doleciał do morza, jakby ino kroplami spływał? Powiedzcie! Wsiąkną i zginą, i śladu nie bedzie. Nie bądźmyż głupiomyłśni ani samojedni. Sił mamy dość, zawiele, ino woli braknie. Ja sie nie dziwię, że bojaźliwi jesteście, bo starzy. Ale i młodzi staną za waszym powodem, a jak nie, to ich naprzód przepuście, niech idą. A kto za gminę staje, niechaj baczy, że odpowiedzialność gromadzka na nim cięży. Tu zwolać trzeba

wszystkich! I młodych i starych i rodowych i nierodowych, bo to wszystko jedno! Każdy rodzony przecie i umierać musi.

Wypowiedziawszy to jednym tchem prawie, siadł na końcu ławy i parę razy przesunął dłoń po czarnych strączkach, spadających na czoło. Gazdowie słuchali jeszcze, jakby im coś grało te słowa powtórnie; ale Suhaj wnet przerwał, mówiąc:

— Słyszeliście? Jak on to ładnie umie opowiadać...

— Wójcie! — zerwał się Franek — tu z kpinami wara! Bo tu idzie o ludzką biedę, nie o mnie. Na to nie patrzcie, jak ja opowiadam, ale co opowiadam — weźcie pod uwagę. Ja się nie uczył słów na pamięć, żeby je umieć płynnie gadać, ale-ch się patrzył na tę biedę, na ten nieszczęsny kraj — stąd moja mowa płynie wartko, jak te potoki ludzkich łez...

— Słyszane to rzeczy — podjął Szymek — słyszane to rzeczy, moiściewy, żeby się tacy ludzie najdowali na świecie, skoro człowiek...

— Widzicie! Patrzcie! — przerwał Suhaj. — Przyszedł nas uczyć rozumu i, Bóg wie, co nie będzie nam tu opowiadał... A tobie skąd zachciało się ludzkimi rzeczami zajmować — he? Kto cie do tego upoważnił? pies? My się bez takich doradców pięknie ładnie obejdzimy. Je-

szcze ta, chwała Bogu, dość ludzi mądrych na tej ziemi. Dadzą se radę.

— Coby se nie mieli dać rady? — poparł Szymek.

— Widzicie! Jaki gotowusieńki! — mrucał Suhaj. — Rządów mu sie zachciało. A tu człek już lbem kręci od trzydziestu lat — i przyjdzie ci psiapara z wymówkami przed oczy... Niech jajo kury nie przemądrza! — zawołał głośniej.

Rakoczego już po cichu dyabli brali, ale się gwałtem opierał, siedząc na ławie. W oczach tylko iskry mu się zatliły, i począł świecić. Dopiero, gdy Suhaj powtórzył parękrotnie:

— Tak, tak... niech jajo kury nie przemądrza!

Wtedy zerwał się powtórnie z ławy i pobladł.

— I niech płot nie myśli — odparł szybko — niech se nie myśli, że jest drzewem, jak insze stojące, chociaż...

Suhajowi krew zalała oczy.

— Słyszeliście? — zawołał. — Już nas do plotów przyrównuje... A tyś co za jeden?

— Rakoczy! — mruknął Franek.

— Cygańskie nasienie... Znamy was Rakoczowie, odmieńce dyabelni! Już ociec, już i dziadek twój leb tak wysoko dźwigał. Wojowali byście z wiatrem, jak nie macie z kim. Tak wam duszno wśród ludzi, jak pstrągom zamulonym w piasku...

— To jest prawda, bo duszno, psiakrew, jak pod ziemią...

— To idź! Leć na koniec świata! Kto ci broni? Powietrza jest wszędy pełno i tu go nie brak...

— Ale to powietrze zatrute! zatrute! powiadam...

— Kto je zatrul?

— Ci, co niem letko oddychają... co ich nie dławia...

— Każ się człeku pokropić święconą wodą...

— A wy się deście za życia kanonizować, będzie wam dobrze...

— Franek! czy ty nie zaprzestaniesz tych dowodzeń?

— Nie, dopokąd mi sił stanie...

— Przewodź! przewodź! Pnij się do góry, ale wiedz, że ten, co najwyżej wylazł..

— Wiem, to na łeb zleci. Ale to musi być stary, że się nie zdole utrzymać.

— On zawdy swoje musi mieć na wierchu! — zawołał Suhaj. — Ty tak, on tak, a nie opuści, nie, bo on mądrzejszy nad inszych, choćby to był nie wiem kto...

— Choćby i sam naczelnik Przysłopia... — dodał Rakoczy.

— Żebyś se wiedział, — trząsł się Suhaj — że ja nie z takimi gadował nieraz. I nie tacy mnie słuchali.

— Wierzę! wierzę! — zaśmiał się Franek. — I cesarz z lokajami na migi nie gada, ba...

— Rakoczy! — wrzasnął Suhaj. — Dużo jeszcze powiesz?!

— Ino ty sie miarkuj, Franuś — pogroził Szymek.

— Myślicie, że sie was boję, choć-ech jeden? Ale ja tu nie przyszedł z wami bitki stroić... Zwołacie tu całą gminę, wszystkich, albo nie? Odpowiadajcie prosto.

— Kto nam każe? Ty?! — skoczył Suhaj i zachwiał się cały. — Ty nam bedziesz przepisował, co mamy robić? To już nima ojców, ani władzy, ani starszych ludzi! Inoś ty jest jeden mądry, ty... — zadyszał się i nie mógł nijak skończyć.

Gazdowie poruszyli się, powstali z ław, krew poczęła napływać zwolna w ich zasuszone, szare twarze. Franek spokojnie stał na środku izby, choć gniew już kipiał w nim, hamował słowa; pięści jeno zaciskał i paznokcie wbijał w dłonie, gdy mówił:

— Rozumu wam nie przeczę. Macie go aże nadto na tutejszą biedę. Ino ten rozum chodzi po jałowcach, ten rozum, wiecie, głupi jest sam w sobie.

— Co on gada? — pytali się cicho między sobą.

— Wy ino macie przed oczyma siebie! —

zawołał głośniej. — Tak, abo swój ród! Niech reszta skapie marnie, co was to obchodzi! A wy nie wiecie, że wspólne dobro — jest dobrem każdego, że wspólne prawo — daje więcej praw! Wy-ście w harendę wzięli sprawy gminne i... tak z dnia na dzień... z roku na rok... że... dyabli człowieka biorą!

— Gadaj-se z wiatrem! — mruknął Suhaj i odwrócił się do okna.

Gazdowie posiedli.

— Szkoda i słów, bo widzę, że to wszystko na nic. Ale wiedźcie se o tem, że ja nie dam za wygraną. I o tem wiedźcie, ojczaszkuwie mili, że się już zbliża koniec waszej gospodarki. Czas nie śpi, a i ludzie rodzą się inaksi.

— Może tacy, jak i ty!

— Poznacie wy ich sami. Ale wtedy... biada wam! Lepiej zawczasu zróbcie porachunek ze sumieniem i zawróćcie, póki czas, pokiela insi nie przyjdą. Bo poderwą z nagła stolki, ani się spodziejecie. Tak, tak... — zwrócił się ku drzwiom, a od progu dodał: — To wam prawi Rakoczy. Zapamiętajcie se dobrze...

Wyszedł i trzasnął drzwiami, zawierając je mocno za sobą.

— Czego ten człowiek chce? — szepnął Szymek. — Ja bo nic, a nic nie rozumiem.

— Słyszeliście! — powstał Suhaj — grozi, że więcej za nim idzie... Nie mówilech wam? On

czas już nadchodzi, i baczność trzeba dawać na wszystko dokoła. Bo dyabeł nie śpi, ale swoje robi. Nie po próżnicy wysyła takich Rakoczych na ten mizerny świat... O mocny Boże! Dej oświecenie jakie tym ludziom, bo doznaku są głupi... doznaku są głupi...

— Dyć niejako! moiściewy, dyć niejako! — szepnęli.

I zadumał się każdy, zadumali się wszyscy o tym świecie. Co to nie nastaje nowego, jacy ludzie...

— A no — ozwał się Szymek po chwili — radźmy dalej...

— Radźmy!

III.

Franek, wypadłszy z izby, przehybnał wartko próg, a złość nim trzęsła, gdy szedł po osiedlu ku drodze.

— To są ludzie, to są urzędnicy społeczni! Niech ich wszyscy dyabli... — myślał po cichu.

Dopiero za okolem przystanął i zbaczył sobie, że właściwie, to miał się jeno z Hanką widzieć, a zobaczył się z całą radą przysłopską. Myślał więc, czyby nie wrócić do izby, może ona w piekarni... Ale się wnet przekonał, że lepiej nie. Bo znowu mógłby wpaść i do świetlicy, i kto wie, coby jeszcze mogło z tego wypaść. Złość nie pyta, nie waży, ba na oślep idzie. A czuł ją w sobie aż zanadto. Gardłem się przelewa. Lepiej nie.

— Zobaczę ją niezadługo. Pojutrze święto...

Poprawił kapelusz na głowie i ruszył na dół kamienistą drogą, wzdłuż której równolegle leciał płot wójtowego sadu. Ale już Franek i nie spojrział weń ze złości na Suhaja.

— To jest naczelnik! — myślał. — Biednyś ty narodzie!... Głupiś ty narodzie, — poprawił — że takim ludziom dajesz władzę.

Dziś pierwszy raz naocznie przekonał się i postrzegł, że w najlepszą radę wiatr gwizda, a ludzie czynią zawdy, jak im lepiej. Choćbyś im serce położył na stole, to nie uwierzą, ale gotowi twierdzić, że to wątroba... nie inaczej! Zbaczył sobie w tej chwili, że w chałupie u matki mieli raz owcę, która wodziła insze po ugorach, a zawdy jeno ciągła na czyjąś szkodę. Ale że wełnę miała długą i mleko dość gęste, to żał ją było sprzedać. Niech się pasie. I pasła się krzywdą ludzką, aże raz wzięła i zdechła bez żadnej przyczyny. Czy się jej urok dostał? — dumali... Ale już późno było odczyniać. Z ciekawości bolesnej rozpruli jej wnętrze i znaleźli w niem serce oblane łojem doznaku...

Skąd mu to wszystko stanęło teraz przed oczyma?

— Może i ludzie miewają serca oblane łojem... — pomyślał. — Bo choroby nie uznać, a przecie...

Zadumał się tak, idąc koło krzaseł, że nie wiedział, ile już razy schylił się po kapelusz, który mu strącały, co chwila, rozłożyste konary jabłoni. Aż obudził go cienki i serdeczny śmiech tuż koło niego w sadzie.

— Franek!... Cha! cha! cha!... komu sie ty tak nizko klaniasz?

Stanął i spojrział ponad krzasła i rozśmiał się razem.

— To ty Hanuś?

— Juści ja! Patrzę i patrzę na ciebie, a śmiech mnie porywa. Co dwa kroki, to już: pac!... kapelusz na ziemi. Strasznie cię te konary nie rade widzą.

— Nic se z tego nie robię, kie mnie ty rada widzisz...

— Kto ci to powiedział?

— Hańte ocki śmiejące...

— Nie wierz im, nie wierz! bo one cyganią...

Śmiała się cienko i dziecinnie prawie, a tak szczególnie, że Rakoczemu grał ten śmiech w nim samym, a serce poczynało tańczyć na weselu duszy, prawie bezwiednie. Dziwne, że to on, co śmiechu nie znosił, tak się wluubił w te drgania jakichś dziwnych tonów; tak mu się rozplywały nerwami po ciele, jak te nitki palące, z płomyków samych wyprzedzione.

Stała naprzeciw niego, tuż przy krzasle, splecionem z tylin. Ręce obie wyciągnęła nad głowę i zaplotła je palcami na cienkim konarze. Chustka jej z głowy spadła na ziemię — niech leży... Warkocze się rozplątały, lniane i długie.

Przewieszala się na wszystkie strony, zgrabnie i zwinnie, jak łaska na słońcu, umiejąc

w sekundzie jednej tak ułożyć twarz i oczy i barwne spódnice, że patrzącemu zdawała się tęczę, mieniającą się bez przerwy, a zawsze wabną i ciekawą.

Rakoczy ramiona oba sparł na końcach tylin i, przychyłony, zdawał się więcej barczy-stym, niż był. Kapelusz mały zsunął na zagłowie, i strączki włosów czarnych spadły mu na czoło. Białe, słoneczne kółka latały po twarzy, wygolonej czysto i jak z brązu wykutej. W oczach siadały iskry, kiedy mówił — gasły zaś, gdy się zadumywał.

Słuchał i patrzył w nią, rad, że ją widzi przed sobą w pogodzie, w słonku, w śmiechu. Chwilami zdało mu się, że świat, w którym on stoi, to cień, to wieczny cień, a z tego świata jak z groty zamkniętej, wyziera on przez otwór i widzi w promieniach słonka ją, tę pliszkę małą... I raduje się serce jego tym widokiem, ale mu jakiś ciągły żal, że te dwa światy takie blizkie, a takie dalekie...

Tak mu się to chwilami zdało, choć ich plot jeno dzielił, nic więcej. Stał, pochylony, i patrzył w nią, a śmiech jej dzwonił po jabłoni.

— Nie patrz, bo cię urzeknę!

— Tyś mnie już urzekła... Teraz odczyń!

Nowe dzwonki śmiechu.

— Ja nie umiem odczyniać — żaliła się —

Nikt mnie nie nauczył. Ale powiedz starej Jądze, może co pomoże...

— Hanuś! Hanuś!

— Franuś! Franuś! — przedrzeźniała dziecinnie.

Śmiali się, jak psotniki dwa pośród jabłoni.

— Co ja mam z tobą biedy! — szepnęła.

— Przedaj! Kto inszy nie będzie narzekał...

— Za nic w świecie!

— Ha! To musisz cierpieć...

I pochylila głowę z taką rezygnacją świętą, jak małe jagnię, któremu brata wzięli na ofiarę, a ono widzi i pomódz nie może. Uściskałby ją za to...

— Przybliź się — poszepnął — a jak nie, to ja te krzasła zwalę i przeskoczę...

— Aha! Do cudzego sadu... wolno ci? Jaki prędko!

Zastanowił się i posmutniał odrazu.

— Dyć to prawda, że sad twojego ojca... — szepnął.

— I mój i mój! — kołysała się na gałęzi. — Kanyś ty był, Franek? — spytała.

— Bylech u was...

— Co oni ta radzą? Powiedz mi... Bo sie tyłu gazdów naszło, jak na jaki odpust.

— Do wójta.

— Czy ci ociec pedzieli co, żeś taki? No gadaj-że, nie patrz tak... Przecie ja ci nie nie

winowata. Nie powiesz? — zbliżyła się i spojrziała mu w oczy.

— Co ci z tego, choćbych i powiedział?

— Nic, ale ja muszę wiedzieć. Może ci o mnie co nagadali? Nie wierz im, bo oni zawsze cyganią. Ludzie myślą, że jak wójt, to już musi prawdę gadać. A ja przecie lepiej wiem...

— Nie o to poszło.

— Ino o co?

Franek się zastanowił... Jakby to powiedzieć? Doprawdy, że sam teraz nie wie już, o co im poszło. Zajadłość była, to i powód musiał być, ale jaki?

Wybory... To był niby powód oczywisty, ale po za wyborami setki rozmaitych przyczyn. Zadumał się — i znów mu się przedzało, że widzi dwa światy, ale insze... Na jednym stoi on, a ten świat: same debrze, potoki, urwiska, przez które musi iść ku halom, widnym oku poza widnokretem... Na drugim cała rada: gromady ludzi potracone, idą pasęcy się, jak owce siwe po ugorach, i kręcą się kołem, wciąż powracając na to samo miejsce, skąd wyszły; a czasem drzemią, usiadłszy na tloku, jak te jałowce, gdy je mgła obsiedzie i sendzieliną oprószy.

To mu się zdało, jakby we śnie, kiedy otwartem okiem patrzył na nią, wyczekującą niecierpliwie.

— I nie powiesz do końca? — spytała.

— Zaraz, zaraz...

— Coż ty tam widzisz? co tak patrzysz...

— Widzę te przyczyny, dziecko, o jakich trudno pedzieć.

— Matko Boska! Jakiś ty czasem dziwny...
Ja cię się pytam, o co wam z ojcem poszło?

— O to, — zawołał gniewnie — że ociec twój chciałby wszystkim nakładać swoją wolę...

— A ty swoją. No, trafiła kosa...

— Tu nie ino o mnie idzie... Zrozum-że, Hanuś!

— O, ja se ta sama z nimi dam radę.. Nie bój sie!

— Ale tu idzie o całą wieś...

— A ciebie co wieś obchodzi? Widzicie wy! Przecież ty nie wójt...

Franek wyprostował się, chciał coś powiedzieć prędko, ale się pokonał. Szepnął tylko, patrząc w nią z wyrzutem:

— To samo powiedział mi twój ociec...

Widziała, że mu sprawiła przykrość. Ale czem? Napróżno łamała sobie nad tem głowę. Nieraz, bywało, rozgniewa się w sekundzie o jedno słowo, nie wiedzieć skąd i za co... Już taką chyba musi mieć naturę.

— Bo ja nie rozumiem ciebie, mój Franuś...

— Dajmy pokój. Potem ci to wszystko wyłożę. A teraz i czasu nie mam i...

— Ty la mnie nigdy nie masz czasu!

— Hanuś! — począł serdecznie. — Wiesz przecie, co ja la ciebie...

— Nic nie wiem, nic! — zatykała dłońmi uszy z pustotą dziecka.

Jak się to na takie gniewać? Patrzał w nią, a serce mu tajało i opływało morzem pragnień gorących, rozchodząc się po całym ciele promienisto.

— Moje! — pomyślał prawie. Dosłyszała.

— Nie twoje! — odrzekła przekornie.

— No to czyje?

— A swoje!

Cofnęła się szybko ku jabłoni, gdy on rękę po nią wyciągał.

— Nie dostaniesz! Cha! cha! cha! Nie dostaniesz...

— Muszę!

— Franek! — śmiała się głośno — Nie rozwalaj płotu...

Zatrwożył się i spojrział, jakby rzeczywiście płotowi działa się krzywda, co ją ucieszyło niezmiernie. I on rozśmiał się z tego, że jej taką uciechę wielką sprawił, choć niechcący. Ale wnet spoważniał i głowę oparł na dłoni, łokieć położył na krzasiłkach, dumając nad czemś długą chwilę. To ją drażniło. Lubiła gwar, a cmentarz omijała z daleka.

— Co tak dumasz? — spytała. — Abo mów co przecie, abo jak...

— Myślę, — odrzekł — że nie wiem, jako to będzie z nami...

— Jako ma być?

— Bo ociec twój nie rad mnie widuje.

— Wiem ci ja o tem już oddawna... A ty go jeszcze napalasz do reszty.

— Co poradzę? Kie taka już natura we mnie. Ile razy przyjdzie jaka sprawa, to ja siebie nie widzę, nie dbam na nic...

— A potem żałujesz?

— Nie żałuję, bo niech będzie, co chce — ja sprawiedliwości nie opuszczę, ażę do śmierci.

— To sie ze sprawiedliwością ożeń, a mnie dej spokój!

— Chciała-byś mnie ty, jakbych sie z nią rozwiódl? No, powiedz sama...

— E! co ja ci mam gadać? Ty sam najlepiej wiesz, jak masz z ojcem postępować, coby cię przyjęli. Oni przecie nie są tacy, jak sie wydają. Ino im trza podchlebić...

— Podchlebiać nie umiem.

— To sie naucz! Myślisz, że ci sie to nie przyda, choćby i na potem?

— No, nie żartuj, lepiej mi powiedz, czy nie gadał co kiedy ociec na mnie...

— Ho, i nieraz jeszcze! Kogo nie radzi widzą, to wciąż będą o nim gadać. Nie po imieniu

wprost, ale tak, że każdy wie dobrze, o kim myślą. I te proroctwa Saby będą stosować do niego i wszystko złe na świecie... Taka ich natura.

— Żeby ja to ojca mógł przekonać...

— Nie potrafisz. To darmo. Co ja sie im już naopowiadam! A uwierzą mi? Oni ta mają swój rozum, nie pytaj sie. Wiesz, coby ich przekonało? — dodała po chwili. — To, żebyś miał gruntu dużo, abo jakie pieniądze wielkie...

— Ba! Ja wiem o tem... Ale skąd-że wezmę?

Pozierała na niego, czy nie powie co więcej, a gdy milczał, spytała prawie obojętnie:

— A jakże z tą połówką? Obiecali ci pono splat... Dużo to będzie?

— E, co tam gadać! — machnął ręką. — Ze szwagrem nie poradzi, bo to człek ściśliwy. On by za groszem i do piekła szedł...

— Taki skąpy?

— Lepiej nie mówmy o tem. Wiesz co, Hanuś...

— Jakto? — przerwała. — On cię odsunął z twojej ojcowizny, i bedziesz mu darował? Przecie to grzech o pomstę...

— Aleć on mi da...

— Kto wie, kiedy! Oddalał cię będzie z roku na rok, a potem... Ty ino o drugich ludziach myślisz, a o mnie to nic!

— Hanuś! O coż ty placzesz? Przecie ja

ci... Hanuś! Nie płacz-że, bo mi sie serce kraje... Czegoż ty chcesz, moje dziecko? Powiedz... no czego?

— To mnie... to ja mam za ciebie ciągle swary w chałupie od ojca... Ty za mnie, to nie! Trafiają mi sie różni ludzie, sam ociec upatrują coraz to kogo inszego, a ja nie, i nie... i dokądże mam tak czekać? Jak ty sam nie stoisz o to...

— Hanuś! Bo doprawdy... Przecie ja ino o tobie zawdy myślę.

— I co mi z tego myślenia?

— A o coż ci zachodzi? Powiedz...

— Ty wiesz, jak ludzie robią...

— No nie płacz-że już, nie płacz — zawołał z żalem. — Bedę robił, jak ludzie, kiedy ty tak chcesz... Niech sie już odtąd wszystko do ciebie stosuje! Wezmę sie do podziału...

— Nie... niech ci dadzą wyplat — szepnęła przez łyzy.

— Dobrze, niech bedzie i wyplat. Ale ja myślał o czem inszem, i powiem ci szczerze, żebych cię rad bez gruntu widzieć...

— Golusienką?

— Tak, bo radbych cię ustroić swoją własną pracą.

— A na ten grunt ociecby sie żenili, czy jak? Bo nie rozumiem...

— A niechby zrobili, co zechcą! Mogliby

i cyganowi dać. Ja o to nie stoję. Póki mam zdrowe ręce i głowę na karku...

— Łatwo to gadać, ale...

— I żyć nie trudno, jak sie ma wiarę i miłość przed sobą. Nadzieja sama przyjdzie — uśmiechnął się przytem. — No, czy nie? Powiedz, że tak, choćbyś nie wierzyła. Ufaj mi, że, co robię, to robię dla ciebie i dla sprawiedliwości ludzkiej, bo tak trzeba.

— A zajmiesz sie tem, o czem gadam?

— Zajmę.

— Zaraz, jak przyjdiesz do chałupy? co? — przysunęła się ku niemu.

— Nie wiem, bo, widzisz, wybory nadchodzą...

— A cóż ty masz przy wyborach do czynienia? Przecie tam są insi...

— Tak, ale po tej stronie nikogo niema, a po tamtej stoi Suhaj... te... chciałem rzec, twój ojciec z radnymi.

— I znowu bedziesz wojował z nimi, i większą jeszcze złość na siebie ściągniesz... Ja nie chcę! Po co ci te strony jakieś wynajdować? Przecie radni są od tego, to niech wybierają. Ty sie nie mięszaj.

— Kiedy muszę.

— Kto cię do tego zmusza?

— Jest, widzisz, taki pan mus, co mi zawdy szepce...

— Opowiadaj se dzieciom takie bajtki!

— Nie gniewaj się... o, jaka Hanusia brzydka, pomarszczona!

— Ty! — zawołała w półśmiechu i złości. — Ja ci powiadam, żebyś mnie słuchał! Bo jak się zgniewam...

— To co?

— Ino nie bądź taki pewny swego...

Niepokój cichy przemknął mu przed oczyma, i na twarz od niego padł cień.

— Dyć to prawda — poszepnął — że kochanie wasze, jak ten puch. Wiater wieje, coraz in-dziej niesie...

— To nie ulatuj za nim, jak cię nogi bołą... ty marudny człowieku! Filozofie!... O, znowu patrzy daleko przed siebie... Co ty tam cieka-wego widzisz? powiedz mi...

— Co...

Patrzył na nią i prostował się, jak smrek wiatrem przygięty, kiedy się odgina.

— Słuchaj, Hanuś... ja ci to wszystko wytłómaczę i opowiem przy czasie.

— To już idziesz? — spytała.

— Do wieczora i dłużej stałbym tu przy tobie, jakbym się nie przymusił odejść. Tak mi nogi powoli wrastają w ziemię...

— Ej, urósłby też smrek, jakby się przy-jał... Ha!...

— Ty musiałabyś jedliczką stać koło mnie

blizko, bo inaczej nie ustałbych długo w jednym miejscu...

— O zaś! A jakby mnie kto okaliczył... bołałoby ciebie?

— Jaby cię tknąć nie dał! Pogruchotałbych takiego na miazgę...

— O ratunecku! Nie bądź-że też smrekiem, nie bądź, i ja niech jedlicą nie będę.

Śmiali się i marzyli o sobie przecuda. Franek zabaczył o swoim odejściu i długą jeszcze chwilę czernił się przy płocie. Z jabłoni poznikały już słoneczne białe kółka, po liściach latające. Cień odokołu padł i zakrył słońcu gęstą zieleń drzew i trawnik sadu.

— Oj, trza mi iść... — pomyślał wreszcie Franek i westchnął ciężko nie lekko.

— Jeszcze chwilkę... chwiliusię! — prosiła Hanka.

— Co mi dasz, jak ostanę?

— Dam ci jabłek i... czego się śmiejesz?

— Śmieszno mi, że wy nas tak jabłkami raczycie. To musiało już z matki na córkę przechodzić od praprababki Ewy. No, ostań z Bogiem, a nie kuś ludzi nadaremno.

— Franek! Mam ci jeszcze coś powiedzieć...

— No?

Parsknęła śmiechem, gdy się wrócił, i huśtała się przed nim zalotnie, wieszając ręce po konarach za płotem.

— Żebych ja to mógł dojść! — pomyślał. —
Chodźno haw, Hanus...

— Po co?

— Powiem ci coś...

— Już ja wolę nie wiedzieć — rozśmiała się. —
Jakiś ty mądry!

Zbliżyła się po chwili, ale ostrożnie i, zaci-
skając ząbki, śledziła ręce jego, żeby w sam czas
odskoczyć. Nie udało się. Chwycił ją niepostrze-
żenie za ramię.

— Franek! Bo będę krzyczeć — zawołała. —
Ludzie się zlecą...

— I opowiedzą po wsi, że całować nie umiesz
po cichu, na co ci tego?

— Franek! — prosiła, udając płacz. — Puść,
bo mi rękę złamiesz...

Przełękł się naprawdę i puścił. Odskoczyła
z wybuchem głośnego śmiechu, ale i żalem w sercu,
że jej tak łatwo uwierzył.

— Nie, to nie! — zawołał, odchodząc. — Rada
byś ty widzieć mnie tu wnetki. A na despet
nie przyjdę.

— Franek! — leciała obok poza plotem.

— Już mnie nie zwiedziesz — szepnął, ale
się zatrzymał.

— No naści-że, -- wychyliła się ponad krza-
sła — pocałuj, ale tak po swojemu!

Zaszeleściły liście na jabłoni i długo jeszcze
chwiały się nad ich głowami, aż wreszcie ucichły.

— Mój!

— Moja!

Ciche szepty i oddechy drżące.

Chwila dogania chwilę, omija i ginie. Cień rośnie, wydłuża się i rozszerza coraz dalej.

Niezadługo Hanka zeskoczyła na trawnik i biegła pośród jabłoni, szeleszcząc spodnicami po liściach wysokich. Co chwila odwracała twarz ku stojącemu, obiecując niebo całe w uśmiechach słodkich.

Już dawno znikła za węglami przytykającej do sadu stodoly, a Franek jeszcze stał i patrzył za nią.

— Kogoż ty tak wypatrujesz? — ozwało się zblizka.

Zaskoczony tak zniemacka, odwrócił się wartko i obaczył przed sobą Gnieckiego, który suwał kerpcami po przeciwległej stronie drogi, wspierając się na kośćturze z przyzwyczajenia raczej, niż z potrzeby.

— Ja myślał, żeś ty już w chałupie — dodał drwiąco.

— A wy już od wójta? — spytał, pomijając drwiny.

Chciał się dowiedzieć, jak się ta rada skończyła. Zbliżył się więc ku niemu i począł iść obok, wyciągając słowa od starego. Ten też nie dał się długo prosić, bo był człek gwarliwy;

a żal choć miał do Franka, to nie taki wielki, żeby aż gwarę cofał przed jego obliczem.

— Wójt ma czas — prawil — to niech siedzi. A na mnie roboty czekają ze wszystkich stron. Bo jak sam nie dopilnujesz, choćbyś miał i czeladnika, to już djabli po tem...

— To-ście nie doczekali końca?

— Ba, kto wie, kiedy koniec będzie. Gada sie, gada... a tu czas leci, nie stoi, ani sie nie pyta. Każda rada ma dwa końce. Sam dobrze wiesz o tem. Jak sie ją przetnie, to może mieć i więcej. Telo wypowiesz dwoma słowami, cobyś też ta i cały dzień gadał. Ino trzeba umieć takie słowa, mieć dar od Boga... bo inaczej, to sie człek na wstyd i na hańbę narazi bez potrzeby.

Franek odczuł przymówkę, odrzekł też natychmiast:

— Każde słowo, moiściewy, jest, jak złoto czyste, jeśli pochodzi ze szczerego serca i z dobrej woli. Ale to najczęściej ludzie mętne mają pojęcie i podchlebstwa biorą za prawdę, a śmiałą szczerłość za obrazę. Czy nie tak? powiedzcie.

— Bywa i tak, czemu nie? Ale też trza mieć i wymiarkowanie, do kogo sie prawi, bo i człek człękowi nie równy, a każdy przecie radby mieć swój honor, choć jaki taki. Najgorszy dziad, a honor swój w torbie nosi... coż dopiero pedzieć o rodowych!

— Kogóżeście ta ustanowili? — spytał Rakoczy.

— Nikogo jeszcze, bo ja poszedł, ale mi się widzi, że najprędzy Szymka wyprawiają razem z wójtem, bo to krewniaki blizkie, to się zgodzą.

— A wy sami, kogo-byście chcieli?

— Abo ja wiem... Niech idzie, kto chce. Ja się ta nie dopraszam.

— Ba, ale to nie można tak lekceważyć swoich własnych praw, bo ktoż je będzie szanował, jak nie wy? Przecie tu o waszą biedę idzie, zrozumcież. Taki poseł ma być obrońcą w sejmie waszych spraw, rzecznikiem waszych żądań i potrzeb piekących.

— Dyć prawil o tem i Suhaj.

— Nawet ustawy ma prawo układać razem z innymi. To, wicie, trzeba ludzi śmiałych i uczciwych, coby się nie dali przeciągnąć na drugą stronę, nie wybierali dygnitarzy, ale swoich ludzi, sercem i duszą przywiązanych do tej ziemi nieszczęsnej, do tych chałup. Bo inaczej, powiedzcie, po co nam te prawa? Jak my nie mamy z nich korzystać, ino ci, co swoich mają już za wiele?

— No dyć prawda, rzetelna prawda — szepnął Gniecki i zastanowił się chwilę. — Ale poradzisz to z ludźmi? Jak i wójt... No dyć człowiek, zdaje się, oparty. A przecie ja nie dałbym ani złamanego dyszla za jego rzetelność. Bo nie

dziwota! Człek se różnie myśli i nieraz daje sie powodować ku zlej stronie z miętkości serca swego i z obawy. Ale najlepiej, żebyś słuchał, co ci tam szeptce wewnątrz bezustanku, bo to jest jeden doradca prawdziwy...

— I nieomylny! — dodał Franek.

— No to my sie zeszli — rozśmiał się Gniecki, stając. — A teraz musimy sie rozejść, bo ja haw idę, ku chałupie. Nie wiem, jak oni ta co robią. Jak nie widzą gazdy nad karkiem, to robota spi. Tak bywa... No, ostań z Bogiem, Franuś. A niech ci nie bedzie za przykro, żech sie osobą swojną przyczynił do zniewagi, jaka cie spotkała. Lepiej im ta na oczy nie właż...

Podali sobie dłonie i rozeszli się w przyjaźni ludzkiej. Rakoczy poszedł prostą drogą, a Gniecki skreślił ścieżyną ku osiedlom, na lewo.

— Mądry jest, bo jest — myślał o Franku idący. — Ale zastanowienia jeszcze ni ma. Ho, i nie wnet bedzie je miał, aż mu sie sadla dobrze za skórę naleje. Takim tak bywa... Z początku chyci ostro, jak ten żróbek zaprzągnięty w jarzmo, wysila sie i ciągnie, aż mu oczy krwią zachodzą, a potem puści raptem i da folgę przeciągniętym żyłom. Wtedy dopiero widzi, że on głupstwo ludzkie wiózł, nie więcej. A ono takie ciężkie... ho! niejeden już siły stargał, próbując je ruszyć.

Rakoczy zaś, idąc drogą, naodwrot myślał o nim.

— To jest chłop sprawiedliwy i niegłupi, jak widać, ino ci go bałamuca, a on też, gwoli spokojności, woli im wierzyć.

Myśląc kolejno o nich wszystkich, poznał, że właściwie, to do żadnego z nich nie czuje osobistej niechęci, nawet paru dość lubi, jako i Gnieckiego. A wszystkich, razem wzięwszy, prawie nienawidzi, tacy mu się wydają wstrętni w tej gromadzie zapleśniałej i szorstkiej. Czemu to tak? Zastanowił się... Przecie to ci sami ludzie. Musi być tej niechęci jakiś dalszy powód... I przyszedł na to, porównując, że podobnym jest stosunek jego do ludzi, których broni. Jeno stosunek odwrotny. On ich, tych biednych, razem wzięwszy, ogromnie kocha, serce by im wyjął z piersi i uraczył własną krwią, a przecie... Każdy osobiście z tych chałupników nędznych, każdy z tych komorników lamentujących głośno jest mu, co najmniej, obojętnym. Bo to są ludzie głupi, o swoim żołądku nieustannie myślący, łakomi i zazdrośni, mało co różniący się od zwierząt innego rodzaju.

Aż przystanął na drodze, tak mu się to wszystko dziwnem i niejasnem wydało. Jakto? więc nie ma tej miłości, jaką się przechwalał? Może to ino złuda i przekorna upartość serca, a nic więcej?... Zastanawiał się nad tem długo, aż wreszcie rozumem swoim pojął jedno: Że nie miłuje ludzi, ale ich biedę jakąś smętną,

załzawioną, włóczącą się po ugorach na wie-
trze. Powtóre, że nie czuje nienawiści do nikogo
na świecie, ale całą duszą walczyłby z niespra-
wiedliwością, kędy się jeno gnieździ — w sercach
ludzkich, czy na obłokach.

Tu się odnalazł w sobie, jakim był, i uwie-
rzył w to skwapliwie, odkładając przemyślenie
na inszy, sposobniejszy czas. Uciecha z wynalazku
napelniła serce jego pewnością większą,
uspokoila złe siły, buntujące się przeciw woju-
jącej duszy... Tak musi być! — pomyślał. I uczuł
się zespolonym z armią wielką, której nie zna,
ani znał nie będzie. A choć tu jest sam jeden —
tam muszą być insi... Gdzie są, to nie umiałby
słowami określić. Tam — daleko — na świecie —
na szerokim świecie... Czuł ich tam po za sobą —
i siły mu rosły. Duma, siostrzyca jego zmarła,
dotknęła dłonią czoła jego; aże się wstrząsnęła.
Jakieś przypomnienie dalekie wychyliło się, jak
cień z po za grobu, i znikło... Co to mogło być?...
Szedł, jak w sennej gorączce. Nie wiedział pra-
wie, dokąd idzie. A mrok już za nim postępował.
Kto wie, długo tak szedł.

— Napadnie czasem człowieka — pomy-
ślał — pojmie duszę i tak wodzi, jak pijanego
we mgle...

Żal mu się zrobiło tego dnia i czasu, gdy
odwrócił się i obaczył mrok za sobą idący, ale
wnet poznał, że się myli, żalując tych chwil,

oderwanych ustawicznej pracy; a poznał nawet i to jeszcze, że większą wagę mają te chwile dla jego duszy, niż ciągła szarość zajęć rolnych, że po nich serce bije szybciej, myśl swobodniej lata.

— Tak rzadko człowiek daje folgę myśleniu, tak wiecznie w tym tartaku życia się obraca, że gotów do krzty zabaczyć o swojej duszy. A ona przecie też ma swoje prawo i dopomina się o nie głośno, potem cicho już i coraz ciszej. Jak ucichnie doznaku — wtedy człek się stracił. Nie odnajdzie się i w tem i w następnem życiu. Amen wieczne i koniec.

Przechodził potem myślą sprawy dzienne, chcąc je utrwalić w sercu, bo czuł, że odtąd już, jak potok, wartko popłynie jego życie.

Widział ich znowu zgromadzonych, siebie jednego między nimi, a za sobą wielką procesję sprawiedliwych cieni.

— Nie ustąpię i na krok! Niech się walka toczy. Bedziemy widzieli, kto przemoże. I wiatr, choć jeden, a jak zadmie — to sie walą buki stare, odwieczne jedle, cały las gnie się ku ziemi przed jego mocą. Nie ustąpię i na piędź, dopóki sprawiedliwość nie zakróluje nad roztokami. Nie ustąpię.

Zacinał się i zganiał siły odporne, jak wiatr, co chmury zewsząd spędza, nim burza wstanie.

Czuł ją w sobie, czuł i to, że spokojność znikła, a bojowanie jakieś targa jego duszą.

— Pocznie się... Niech się pocznie! Ja nie mam lęku żadnego. Nic mnie już nie stracha na tym świecie — bo jedno prawo jest i jeden kościół. Abo się gmina przeinaczy, abo ja padnę. Rąbanica zacięta. Bedziemy to drzewo zbutwiałe podcinałi, aż samo jęknie. Przywali, to przywali. Jedna śmierć — jeden koniec — taki, czy owaki... Ino czy ona będzie ze mną?

Zamyślił się, idący, wracając ku niej sercem miłującym.

— Ta moja radość! To moje wesele słonecznego dnia, to szczęście moje! Wyleciała, jak ptaszę z ogrodu, anim ją postrzegł. I zaśmiała się głośno, rada, że mnie widzi. A ten śmiech jej! Ten śmiech jej coś mi przypomina. Czy to nie owiec turlikanie, jak dzwonią po lesie? Coś podobnego...

Szedł myślami uboczą, a owce się pasły, a dzwonki drobne turlikały wciąż...

Rzewność jakaś dziecinna patrzyła mu z oczu i wyzierała na świat przez szkliste łyzy.

— Czy ona będzie ze mną? — powtórzył, idący. — Czy mnie ukocha i mój świat? Bo w inszym ona urodzona świecie, choć na tej samej ziemi, tu... A mnie z nią razem lekceżyć, ja bażę, bo już nie będzie takiej pustki przy mnie, zaludni mi się świat... I choćby wszyscy

zwarli się już na mnie i nie było w gminie czleka, coby słowem potępienia nie rzucił, a ona jedna będzie przy mnie — to się nie złękne, to większa siła będzie we mnie wrzeć. O Hanuś, Hanuś, moje ukochanie! Ty ani wiesz, ani przeczuwasz w sercu swoim, jaka mi z ciebie idzie wielka moc — jaka mi z ciebie idzie słodka siła, która kazuje iść, i iść... i nie ustawać, choćby nie wiem co! Choćby się na łeb kamienie staczały, choćby się góry waliły na drogę! Wciąż, bezustanku, naprzód iść, i iść... Co ja by począł sam? Już nie wiem prawie, ani myślę o tem, bo se nie zdołam wyobrazić. Darmo. Tak moje życie z twojem się związało na wieczne trwanie i na wieczny czas. Czy to już było przeznaczenie jakie, czy ino trafunek ziemski? Nie wiem. Ale wszystko jedno. Jest i jest. Myślałech ci ja, widząc ulatujących za kochaniem, że to zwarzowani ludzie są — światu nie widzą całego przed sobą, ino tę jedną z istot ziemskich, tę praprawnęczkę Ewy. A ono przecie nie tak jest, nie wszędy i nie u wszystkich bywa tak. Bo jakoż? Dalekowidzom oczu nie zasłoni, choćby stanęło nie wiem co, a ludziom ślepych światu nie pokaże, choćby oświecił wszystko i słońce ku ziemi im przychylił. Darmo! Są ludzie tacy i owacy...

Począł iść ku chałupie ścieżyną przez pole, wśród zbóż rozchwianych dookoła. A mrok za

nim postępował szybko i zachodził mu drogę, aż wreszcie wyprzedził go i ostawił daleko za sobą. Ciemność rozsnuwała się przed nim szarem po zagonach, gęste miedze traciły się po jednej z przed oczu idącego, aż wreszcie poznikały wszystkie.

Przystanął na chwilę i obejrzał się. Przesłyszało mu się bowiem, że ktoś nań wołał. Ale to jeno echo puste doleciało ze wsi. Nikogo, żywej duszy niema na tych działach.

Kosmata noc zamglila huczne roztoki, stłumiła gwar, że słychać jeno belkoty zdala niewyraźne i szum spadającej po kamieniach wody, jakby gdzieś pod ziemią olbrzymi młyn turkotał, a wiatr przynosił odgłos jego, to silny, to słabszy...

— Gdzieś tam, daleko, huczy młyn — miela się sumienia ludzkie na otręby... Olbrzymi tartak idzie bezustanku — zwolna piłuje serca na trociny... A wszyskiem gazduje śmierć; może zastawić wodę na przykopie — i noc, i spokój, oddechów nie słychać, jakby nigdy nie było życia na tej ziemi... Dziwaczny świat — dziwaczne jego urządzenie.

Dumał idący, a widma przeróżnorodne snuły mu się poprzec oczu. Począł się dziwić sam, że świat mu się czasami przeinacza, jakby miał różne oblicza w różnych chwilach jednej i tej samej doby. Co to w tem? Nie mógł se nijak

wytłomaczyć. Wiedział przecie dobrze, że w chwilach wieczornego zadumania, kiedy oczy utopi w nieprzejrzanym mroku, jakiś tajemny robak wkrada mu się w duszę i podgryza niewidomie moc, zatruwa siłę i czyni w sercu jego cmentarz, na którym grzebie to, co przez dzień żyło. I czuł, że w takich chwilach coś w nim się odzywa, coś, co we dnie drzemało zgłuszone hałasem, a dusza poczyna się, jak ptak, trzepotać, bić o ściany słabemi skrzydłami i wyrwać się do tej pustki, która wiedzie w nieznane, dalekie... Co to może być? Sam już nie wiedział, jak sobie tłómaczyć: skąd to przychodzi, gdzie się to podziewa. Może przynosi noc, a płoszy słońko. Ta noc, co świat zapelnia strachami — to słońko, co strachy wygania...

Potarł czoło swe dłonią i uczuł, że jest rozpalone.

— Za dużo na jeden dzień — pomyślał. — Może się różnie przezdawać.

Obejrzał się jeszcze na wieś, pozostawioną w dole, skąd patrzyła ku niemu czarno-welnista noc migotliwemi światelkami okien, i przyspieszył kroku, by dojść chałupy schowanej pod Groniem, nim się doznaku zczernią pola, nim się niebo zmrooczy na zachodzie, gdzie jeszcze cień od zorzy słonecznej błądzi i, szukając rodzicielki, co za słońcem zbiegła, spogląda: to na ziemię, to pod skrzydła chmur.

Szedł wartko, odganiając zalatujące myśli, i dyszał głośno, co w tej pustce wydawało mu się, jakby ktoś pędził za nim. Ścieżyna wiła się i podnosiła coraz wyżej, krzyżując się z jezdnią drogą, wiodącą w osiedle.

Kiedy dochodził ku chałupie i sad już mógł rozpoznać przed sobą, zdało mu się, że ktoś od pola zasłonił okno świecące. Zdziwił się, ktoby tak wielki w sadzie stanął, żeby cień od niego padał na szyby. Cień to bowiem nie gruszy ani stojących śliw, lecz wyraźnie głowy ludzkiej w kapeluszu chłopskim.

Zaciekawiony, powstrzymał oddech i szedł cicho po trawniku, zginając kolana, by nie spłoszyć tej mary i zobaczyć naocznie, czy ma ciało... w istocie! Skoro już był blisko, widział dokładnie postać małego chłopiny, uwieszonego na ścianie i patrzącego pilnie w okno, skąd światło biło, promieniując po liściach jabłoni. I widział, jak ta postać, jakby przeczuła, że ktoś idzie, bo usłyszeć nie mogła żadną miarą, gdyż bardzo cicho stąpał, odwróciła twarz załęcznioną i spojrzała w mrok, a dwoje oczu zaświeciło zielonawo, podobnie, jak oczy lasicy ukrytej za strzechą; raptem zesunęła się na ziemię i pomknęła w sad.

Franek przeczuł, choć nie poznał, kto to może być — i coś w nim zapłakało litością ogromną.

— Jasiu! — ozwał się półgłosem. — Czemu ty uciekasz?

Zaszeleściały wiszące ponad ziemią liście, i stanął przed nim człowieczek nieduży.

— To ja... — szepnął nieśmiało.

— Wiem... Czego sie boisz?

— Myślałem, że to szwagier wasz nadjechał z lasu... Bo ja, wicie, niechcący, przechodząc, z ciekawości zajrzał. A ludziom mogłoby sie zdawać, że ja...

— Nie sprawiaj sie przedemną — przerwał Franek, kładąc dłoń na jego ramieniu.

Stali obok siebie długo, nie mówiąc nic; nareszcie Franek uczynił krok przed siebie i poprosił zwyczajnym głosem:

— Chodź do izby...

— O nie, nie, nie! — załękł się. — Darujcie, ale nie mam czasu. Cały dzień zbawiłem przy robocie, od samego rana, od świtu. Robi sie ludziom to i owo, i zejdzie do nocy. Tatuś w chałupie oczekują, trza iść, zaśpiewać jaką pieśnię, bo im sie ta cnie... Ja, wicie, zawdy śpiewający żyję, nieprzymierzając: ten kos, co po lesie gwizda.

Mówił nerwowo, zalewając gware gorączką wielką, szklącą się w oczach migotliwie, jak rosa o mroku.

Nie namawiał go już Franek.

— Skoro nie masz czasu...

— Nie mam, nie, ani chwili! Bywajcie zdrowi, a wybaczcie, a nie dziwcie się niczemu na świecie...

Ścisnął dłoń Rakoczego i pomknął sadem na ogród niedawno skoszony. A gdy cień jego znikł w chodniku, pomiędzy zbożami, zastanowienie litosne objęło serce Franka.

— Niczemu się nie dziwię, ino temu, za co ten człowiek pokutuje...

I przez krótki czas, gdy obchodził chałupę dookoła, by do drzwi trafić, przybaczył sobie nie tak dawne lata, gdy ten mały człowieczek był u nich w chałupie, jakoby swój. Pracował przez dzień, a wieczorem siadał i, patrząc w Zosine oczy, opowiadał bajki, albo śpiewował pieśni, jakich nikt nie umiał. Od niego to, dzieckiem jeszcze będąc, pouczał się Franek śpiewów, które mu po dziś dzień w pamięci grają. A odkąd zapamiętał, zawdy wszyscy w chałupie nazywali go Jasiem, ludzie zaś po wsi mieli go za głupiego. Mały był już od czasu i nijak nie mógł rósć, podobnie, jak ten smreczek, gdy mu się w młodych latach zerwie zielony wierch. Z latami, kiedy inni starzeli się — on smutniał, i wiecznie jednakową pacholęcą zachowywał twarz.

— Ktoś winien skonu skarłałego smreczka, ktoś, co zielony oberwał mu wierch...

Z tą myślą gniewnie popchnął drzwi przed sobą i znalazł się w oświetlonej izbie.

— Witajcież! — ozwał się cienki głos kobiety. — Myślałam, że cię nie ujrzę przed nocą, tak cię cosi stronami wodzi...

Franek nie odpowiedział nic, zdjął kapelusz i usiadł ciężko na ławie. Rękawem ocierał spoczone czoło, odgarnując palcami opadające strączki włosów.

— Mojego też nie widać. Pojechał do lasu... Żeby go ino nieszczęście nie spotkało jakie, broń Boże...

— Siostro! — zawołał Franek. Lecz wnet się pomiarkował i, nie dodając więcej ani słowa, opuścił głowę nisko i oparł ją na dłoni.

Siostra zaś pytająco patrzyła na niego, a nie słysząc nic więcej, zaciekawiała się niemal i bliżej podeszła.

— Miałeś cosi powiedzieć...

— Nie.

— Możesz głodny, bracie?

— Abo ja wiem!

Stała jeszcze chwilę przy nim, czekając daremnie.

— Taka z tobą zawdy gwara... — szepnęła z wyrzutem, i odwróciła się niechętnie ku nalepie.

Franek po chwili, gdy przechodziła obok

niego, wyciągnął rękę po jej dłoń i zmęczonym głosem wyszeptał:

— Przebacz mi, siostró, bo ja czasem dziwnie z tobą gadam. Ale, jak człowieka myśli opadną...

— Ja wiem — odrzekła, — bo ty ino temi myślami żyjesz, nie dbając na to, że człek, to nie para. I planetnicy, a przecie jeść muszą.

— A ja żaden planetnik. Choć, kto wie...

— Bój-że sie Boga, Franek, nie pleć takich rzeczy. Abo ja cię to nie kąpała w poświęcanej wodzie?

— Ale ta woda była z potoka?

— No jakże...

— Może sie w niej kąpała jaka planetnica...

— I cóż to płaci? Świecenie zawdy czary odżegnuje...

— A jak ostały na dnie? Boś musiała po wierzchu ino kropić.

— Kanyby zaś!... Przecie sie woda maści...

— Oj, Zośka! Zośka!

— Nie turbuj sie nic... Ino tak żyj, jak ludzie żyją. Trza mieć uwagę na się przecie... no bo jakże?

Tłómaczyła mu długo, jak powinien żyć, a on słuchał, nie słysząc ani słowa z tego; melodia tylko cicha jej głosu miękkiego snuła mu się po sercu niby pasma lnu. Odpoczął, potem wieszczał razem z nią, bo szwagier jeszcze nie

nadjechał, a mała siostrzenica spała już oddawna na maminej pościeli w izdebce.

Powieczerzawszy, niedługo siedzieli, bo siostrę nadlatywał sen. Poszła do izdebki, a Franek wyjął z półki świecę, zapalił i, rozciągnąwszy się na równej słomie, sięgnął po książkę na ławę za łóżko, bo zwykł był czytać o tym czasie, kiedy wszystko spało.

Nie mógł jednak tym razem przykuć uwagi do czerniących się przed oczyma rządków. Myśli chodziły samopas i nie dały się pozganiać żadnym sposobem; a gdy przystrzegł się na nie, by je pasterskim przykazem zegnać w jeden kerdel, rozpierzchły się pomiędzy drzewa o dziwnie poskręcanych konarach, lub furgnęły, jak stada ptactwa na jesieni, kiedy się je, obiadle na ugorze, znieńska podejdzie.

Nie mógł sobie dać rady z temi latawcami. Za krótki czas obleciały powrotnie cały dzień, przeżyty od rana, i zawracały zwolna, kołując nad każdą chwilą czynu, jak te zgłodniałe orłęta, zataczające kręgi coraz większe nad miejscem wypatrzonem z góry.

Przeżywał wszystko powtórnie, w gorączce daleko większej. Był w gromadzie u wójta, ścierał się zajadle, nie ustępując ani skiby ze swojego świata. Potem z Hanką się spotkał, ze swoją Hanusią. Droższą mu teraz jeszcze była, niż tam, przy tym sadzie. Wyciągała do niego

ręce i obejmowała go za szyję, przeginając się i turlikając białymi ząbkami, jakby paciorki szklane przesypywał po zgładzonych kamkach w roztoce. Gorąc uderzał mu do głowy i zamgliwał oczy. Uciekał od niej ugorami prosto ku chałupie. Obejrzał się — a z dołu, z cichych roztok pelzała za nim, wyciągając ku miedzom włosiste, szare łapy — kosmata, czarna noc... Umykał przed nią i spotkał w sadzie przy chałupie... dziwaczne spotkanie... Jak on to obojętnie tłómaczył... Niechcący — powiada — zajrzałem w okno, czy się świeci, co tam ludzie robią...

— Prosta ciekawość... Uwierzyłoby stu ludzi... powinni wierzyć! Wierzą w bajtki sto razy więcej warte śmiechu...

Otrząsnął się i podniósł głowę, zdało mu się bowiem, że ktoś za oknem płacze. Ale nie. To wiatr porywa śpiew daleki i przeciąga w płacz. Słuchał, oparty na łokciu, i oczy mu się uśmiechały do znajomej melodji z dziecinnych swoich lat — a twarz rysowała się ostro na pościeli i drgała żalem, gorzkim żalem nad czyjąś niedolą.

Wiatr uderzał o szyby i zawiewał śpiew daleki, wyraźne słowa...

»Oj, słułgował ci ja, Zosiu,
Bez niejedną wiosnę —
Powiadałaś: »Bede twoją,
Jak ino urosnę«...

I urosłaś taka śmigła,
 Jak jedlica w borze —
A ja zmaliał, jak ten smerek
 W skalistym ugorze...

Oj, co mnie też przesadziło
 W to samotne pole!
Wysłużyłeś tobie szczęście.
 A sobie niedole...«

Wiatr uderzał o szyby, jakby chciał obudzić śpiących, by lepiej słyszeli.

— Zośka! Słyszysz? — ozwał się surowo Franek.

W izdebce powstał szmer, i odrzekł niewyraźny głos kobiety sennej:

— Zdmuchnij świecę, bo ta łazęga myśli, że ja nie śpię, i nie przestanie do rana zawodzić... Mój nie przyjechał jeszcze?

Frankiem zatrzęsł gniew serdeczny. Już miał dla niej goryczne słowo na wargach, opamiętał się jednak prędko i nie odrzekł nic. Długo leżał bez ruchu, dumając nad różnicami serc z jednej urodzonych ziemi.

— Nie warta jego śpiewu — szepnął wreszcie. — Niech i on się wyśpi... Choć może przez tyle roków oduczył się spać.

Powstał i zgasił światło.

Za chwilę przemknął koło ściany szmer, a za nim szelest. A potem wszystko ucichło.

IV.

Nazajutrz, nim słońko wyszło, zerwał się Franek z pościeli, zarzucił biały serdak na ramiona i wyszedł przed sień, na osiedle. Niedaleko była studzienka nieduża, gdzie owce piły wodę, wracając z pastwiska. Poskoczył ku niej, nachylił się i czerpał dłońmi zimną wodę, chlustając na twarz, na włosy, na odsłoniętą szyję. Parskał przytem głośno, jak pławiący się w rzece młody żróbek, gdy mu się nozdrza zalewają wodą. Potem rękawem lnianej koszuli przetarł oczy i obejrzał się po świecie...

— Prześliczny ranek! Cudowny się zapowiada dzień — pomyślał. — Trzeba wygnać owce, niech się o chłodzie napasą, bo przed południem będzie gorąc i upał słoneczny.

Nie poszedł już do izby, żeby przetwieraniem się nie zbudzić szwagra, który późno wrócił, ba ruszył prosto ku owczarni i odsunął wrota. Wysypały się owce rozespiane, jedna za

drugą. Zajął je i pognał po za izbę na starą koniczynę.

Szły przed nim wolno siwe owce stare, córki ich wybiegały raźniej, potrząsając kędziorami skręconej wełny, a jagnięta bawiły się przeska-kiwaniem płotów, których nie było. Gdy sta-nęły na zagonie ściętej koniczyny, nie odrazu chwyciły się paszy, lecz pozierały po sobie, z niedowierzaniem oglądając się na Franka, czy ich dalej nie popędzi, czy to rzeczywiście dla nich ta przednia strawa, o której nieraz myślą na ugorze, jak o czemś bardzo słonem; bo u nich sól, to kwiat słodyczny smaku. A widząc, że ten wielki pasterz jest na nie łaskawy i nie myśli gnać ich dalej na ugorne pustki, pomyślały, że dziś musi być wielkie święto, dzień, w którym wszystko wolno, i roześmiały im się oczy we-selem szczęścia. Wartko też, by nie utracić do-brej chwili, rozbiegły się i poczęły skubać listki, omoczone rosą. W początku rwały skraja, na-wet razem z trawą; potem już, rozwydrzone, ostawiały inne liście prócz koniczynnych; na-końiec i to im się sprzykrzyło; wybierały tylko duże listki, pomijając mniejsze.

Stał przy nich Franek, bez odzienia prawie, i nie czuł porannego chłodu, lecz rzeźwe drga-nie krynicznych strumieni we wszystkich spło-tach żył. Czuł w sobie siłę, moc potężną życia,

smrekaby złamał, jak uschniętą trawę, stu chłopów mógłby przerzucić przez dach.

Dziwił się mocno, przybaczywszy sobie, jak on to wczora włókl się, chwierutany smutkiem, przez hańte działy. Dziśby je przebiegł, jak rogacz spłoszony, po trzy zagony przeskakując naraz... Ale to czasem nadejdzie planeta, niby chmura, co się na pogodnem niebie urodzi z obłoków parnych, i obsiedzie mgłą duszę człowieczą i osłabi ciało doznaku.

Patrzył w doliny i widział, jak roztoki się budzą, jak się powoli rozrzedza i niknie mglista srezoga, jak szare pola nasiąkają barwami przeróżnych odcieni i zbliżają się ku niemu krajobrazy czyste, świeżości pełne i uroku. Ludzi jeszcze nie widać, ale dymy, wysnuwające się pasmami z dachów, świadczą, że już powstałi.

Obejrzał się na swoje osiedle i tu równie obaczył siwy dym, wijący się leniwie, miękko po wilgotnym dachu.

Słońce stanęło czerwonym kołem na lubomierskich szczytach, i można było patrzeć w nie bez mrużenia powiek. Zwolna kolisty ogień martwy rozpalał się w ognisko żywe i wnet buchnął płomiennym żarem, białym od skrzących skier, rozsypujących się promienisto na wszystkie strony.

Ta przemiana tarczy słonecznej, choć ją Franek nieraz i dłużej oglądał z wysoko polo-

żonych polan, zastanowiła go i teraz, gdy stał, dumając, obrócony twarzą ku wschodowi.

Żywy odblask ozłocił stojącego, kładąc smugi różowe na ubiór jego pasterski, i ożywił brązowe oblicze, rzucając na nie krwawe odcienie, załamujące się ostremi linjami w jasne i ciemne płaszczyzny.

Głowa jego stała się podobną odzieniu czarnych jagniąt, kiedy wyjdą z kąpieli, a wełna ich od mroźnej wody powije się w pukle i długo świeci kropelkami nieobeschłej rosy; włosy bowiem, nienakryte, poskręcały się swobodnie w połyskujące stałą strączki, na których kołyszą się i błyszczą ogniem górskiego kryształu niestrzepane krople studziennej wody.

Stał w krwawym blasku wschodzącego słońca, jak młody bóg pasterski, stojący posągiem na polanie urocznej wśród drzewnej zieleni i osiwiąłych poranną rosą traw.

Stał pełen swobody pierwotnej, a żyłami jego ciała szedł płomień życia gorącego, zapalając rozkwitłe siły i stusmrekową moc.

— Świecie mój, świecie! — powtarzał w koło, nie umiejąc wypowiedzieć słowami tych pieśni, co w sercu jego dzwoniły rozgłosnie na cześć złotego słońca, na chwałę świętej ziemi.

Nigdy nie czuł się tak pewnym, że naprawdę żyje, nigdy nie czuł w sercu swoim takiej świeżej mocy, jak w tej chwili porannej, kiedy

słońce wstaje, kiedy ziemia przeciera oczy, wilgotne od błyszczących ros, a one iskrzą się, jak blaski precudnych kamieni.

Spojrzał w rozutki zagłębione... Obaczył jasne smugi, niby miotły ogniste związanych promieni, jak rozmiatają mgły obsiadłe nad wodą i rozgarniają mrok płowy, kosmaty, który cofa się przed niemi, przypada w rozpadliny wązkie, a znaleziony, mknie chyłkiem popod strome urwiska, czai się i posuwa ku lasowi, gdzie ma ojczysty, ciemny gmach — smrekowe świątynie... Obaczył sady ozłoczone, jak wieńcami, przetykanymi czerwienią, otoczyły osiedla odymione... Obaczył drzewa jesionowe, osiadłe na kępach; zagony wązkie, zbożem tkane, przeróżną zieleńią, która się mieni za podmuchem pieszczącego wiatru, niby równe zwierciadło stawu zielonego, załamujące światło żywe taflami złotemi. A gdy szedł wolno znużonem od blasku okiem przez sine pola, zdało mu się, że widzi, jak promienie słoneczne czeszą złotym grzebieniem zadzierzysty len.

— Cudny ten świat! — pomyślał. — Przepiękne jego malowanie... Kto je rozumie? Kto je widzi? Ani jeden człek...

Obejrzał się po całej wsi. Nikogo.

— Pochowali się w tych norach swoich, jak podziemne krety. Przywykli do tej ziemi, grze-

bią w niej, jak te myszy polne, szukając życia. A to życie tak niedaleko!

Poczuł rozkoszne drgnienie serca, jakby w niem odezwało się to życie, zaklęte w niem.

— Na świt! Na świt!

Jak ranny ptak w gęstwinie, tak w głębokościach serca jego śpiewało narodzone życie.

— Na świt! Na świt! — grały zbudzone pieśni dookoła.

Rósł szczęściem swobody ponad ziemię, olbrzymiał i czołem prawie sięgał ku obłokom. Poczuł w chwili tej rozpętania duszy, że człowiek jest potęgą, której nic nie zmoże — nawet śmierć zdała mu się złudą, marą jakąś bezsilną, która po nocy straszy.

Niczego i nikogo w chwili tej nie pragnął, jeno serca jednego z pośród ludzi, któreby za nim szło w płomienne życie... Poniósłby owo serce nadpowietrzną drogą, jak orzeł niesie ptaszę małą, które mu na skrzydle usiedzie i z ufnością powierzy swoje życie królewskiej opiece. A jak lot orła, niosącego ptaszę słabą ku niebu, zdumiewa piskłą śmiałością swą i mocą rozpędu — tak droga jego prędką płomiennej wędrówki zbudziłaby podziw szczery i wiarę ufności w sercu, które mu się powierzy na życie i śmierć...

— Niema jej tu koło mnie — myślał z żalem — tej mojej okruszyny słodkiej...

Tęsknicą wyrywało mu się serce ku niej, pragnąc i wołając napróżno. Ani wie, ani słyszy, kto ją wywołuje na słońce, na polanę ową jasną, gdzie rozkosz kwitnie i życie szczęśliwemu człowiekowi gra przedziwne pieśni.

— O skarby moje! Zakłęte w dusznej piwnicy, strzeżone wiecznie przez te sługi, przez tych małych czeladników powszedniego życia.

Uczuł żal do niej, a do ludzi gniew. Bo zdało mu się, że widzi jagnię, które pasterz niebaczny zapędził w cierniaki. Zaplątało się nieboże i nie może wyjść. Patrzy ino oczyma żalospnemi w nieporadnym smutku.

Żeby tych ludzi można było dosięgnąć, pokarałby ich, jak tego pasterza. Ale to jagnię samo winno swojego nieszczęścia. Zbliża się i podchodzi myślami ku niemu, a żal taje i tkliwość serce zalewa mu zwolna. Maleństwo takie...

— No czemu-żeś się zaplątało? — mówi już miękko i bez żalu prawie. — Co ja mam z tobą utrapienia! Kłopotcie mój...

Duma, jakby ją tu odwikłać z tej sieci niewidocznej, która może szarpaniem długim zaciągnąć się tak, że włókna ostre dostaną się w krew i zatrują to serce młode na wiek wieków.

— Bo to życie kłamliwe gorsze od bożej męki...

Wiedział o tem oddawna, patrząc się codziennie na kupiectwo świata ludzkiego.

Zwolna, dumając, począł roztaczać sny zakwitłych myśli, jak roztacza się pokosy wonnych traw na łące leśnej, skoszonych dziś o ranem słońcu po rosie. I jako pasterz, bawiący przy sianie, który wie, że pogoda nie zmieni się prędko, z rozkoszną niedbałością przetrząsa pokosy, a niekiedy, senny, spocznie i nurza się w odurzających zmysły ziołach — tak i on zwolna i leniwie roztrząsał w myślach sny tęczowe, wiedząc, że czas budowy planów nie wnet się zachmurzy.

Snuł przeróżne sposoby porwania Hanusi i uprowadzenia jej w świat nieznaną, daleko od ludzi. Czy ona sama zechce, czy się zgodzi, o tem nie myślał nawet małej chwili. Wiedział, że, miłując go tak bardzo, na wszystko przystanie. Przecie to jej zbawienie i wesele życia. A myśląc o tem życiu z kochaną Hanusią, czuł w sobie siłę podwójną do walki z głupotą, gazdującą w narodzie biednym.

— Otrzęście się to wszystko, jak gruszki przejrzałe. Drzewem ruszyć, a posypie się na ziemię osiwiwały grad... Jałowce zgniłe, w cieniu wyrosnięte, nie bedziecie wy udawać lasu, niech wam się nie śni!

Ani widział, zadumany, jak po trawniku od izby przytoczyło się ku niemu nieduże bobo. Postrzegł je dopiero wtedy, kiedy usłyszał zbliżka szepleniący głos:

— To ujek pasie tak raniutko? Cie, cie...

Roześmiał się z przemądrej siostrzenicy, udającej zawczasu gospodynię setną.

— Wujek pasie — powtórzył — a Marysia śpi?

— Ale! — zaprzeczyła odrazu. — A kto przy ujku stoi?

— Cyganka jakaś mała, cyganeczka...

— Nieprawda! to ja!

— To ty? to ty?... — dziwował się, a potem sięgnął po nią i uniósł lekko w obu dłoniach, huśtając w powietrzu.

Bardzo była temu rada, śmiała się rozkosznie i trzepotała rączkami, jak ptaszę. Ślaniała się, zataczając, gdy ją na ziemi postawił, i zamiała rosę nieobeschłą bosemi nożętami.

— Pomąciło mi się w głowie — mówiła żałośnie, by śmiech wywołać na twarz wujka, co jej się udało.

Pomknęła potem za owcami, które się porozchodziły daleko, zegnała je wartko, a wracając wolno, uważnie podnosiła stopy i szukała czegoś pilnie po ziemi. Schylała się przytem często, zrywając paluszkami liście koniczynne, pozierала ukradkiem w stronę wujka i śmiała się po cichu z oszukaństwa swego. Ostatnio zerwanego nie upuściła na ziemię, jak poprzednie, lecz zamknęła go szczelnie w dłonie, piąstki obie scho-

wała za siebie i zbliżając się z uśmiechem skrytym, zagadnęła wujka swego, niby od niechcienia:

— Kto pierwwej najdzie szczęście?

Rozbawiła szczerze Franka ta przebiegłość kobieca u dziecka i pomyślał sobie zaraz:

— Gotuje się komuś bieda na tym świecie...
Oj, niemały los!

Nie chcąc jednak płoszyć prędko wesołości pustej, postąpił parę kroków na zagon i, schylając się, udawał, że pilnie szuka tego szczęścia, a nie może znaleźć. Marysi aż łzy w oczach stały od śmiechu i szczęśliwości wielkiej; nie mogła już wytrzymać dłużej, by nie parsknąć głośno i nie zdradzić się przed wujkiem.

— Ja już mam szczęście.

— Pokaż! — zawołał z uśmiechem.

Podbiegła i, wyciągając naprzód obie skurczone piąstki, pytała się:

— W której? Niech ujek zgadnie, w której ręce szczęście?

— W tej...

— A nie!

— To może w tej...

— A nie!

Śmiała się coraz głośniej i tańczyła przed nim, podrygując na palcach.

Pobłażliwie przebaczył to niewinne kłamstwo, ale chciał się przekonać.

— Otwórz obie ręce — powiedział.

Posłuchała i zaraz otworzyła piastki, radując się teraz jego zdumieniu. Próżne obie...

— Po coś wujka cyganila? — zganil surowo.

— Bo mam!

Patrzyła nań filuternie, przeginając się radośnie z uporną miną. Teraz dopiero, gdy koszulka jej rozchyliła się, wujek dojrzał szczęście: cztery listki koniczynne, przyklepione wilgną rosą do piersi.

Zasmuciła się, że je odkrył — i szczęście jej przysło.

Zadumał się i on, bo z tej psoty urodziły mu się dziwaczne myśli.

— Szukamy szczęścia... Kłamstwo nas prowadzi. Niewinne kłamstwo i pustota...

— Maryś! — doleciał ostry głos od chałup.

— Ujku, — szepnęło dziewczę zaleknione — bo mnie kazali iść po was, cobyście gnali do śniadania.

— Teraz powiadasz?

— Zabaczyłach se doznaku, ale to nic...

— Idziemy zaraz! — odkrzyknął wołaniu. — Pozganiaj Maryś owce, bo i one, widzisz, napały się i poczynają szukać szczęścia...

W chałupie już oczekiwano Franka od chwili, kiedy Marysię wysłano po niego. Musiał ją bronić i wymawiać przed siostrą, bo inaczej nie obeszłoby się bez krzyku i głośnych zawodzeń. Skończyło się na tem, że jej matka zapowie-

działa święcie za najbliższe przewinienie podwójną karę.

— Chwała Bogu i za to, nieszczęścia nie było — pocieszał ją wujek, wywołując na załzawione oczka śmiech. — A co zaś będzie jutro, to już dziś naprzód niema czem się trapić. Każdy wie, że musi umrzeć, a nie martwi się. Poleciałabyś lepiej na grządkę i wyplenila mlecz, bo ci doznaku te kwiatki zagłuszy. A sadziłaś je swoją własną rączką... Nie pamiętasz? co?

Usłuchało dziewczę dobrej rady i strzeliło prosto w pole, a w izbie nastał spokój, niezmaczony ni jednym słowem. Bo i Jędrzej, mąż Zosin, Rakoczego szwagier, milczkowatego był usposobienia i z natury nie lubiał dużo gadać. Było co robić — robił, było co do jedzenia — jadł, ale mówić poczynął dopiero wtedy, jak mu co dokuczało. Inaczej nie odzywał się lekko-myślnie, szanując słowa, jakby ich nie duże posiadał bogactwo w tej głowie, z grubsza ociosanej i nie wygładzonej naleźycie ze wszystkich stron. Karby na niej były nierówne, jakie się widzi nieraz na bukowym pniaku, ponacinanym rąbanicą tępą i wyszczerbaną.

Twarz mu się łuszczyła, jak ta kora zeschnięta na drzewie, ale ino podczas nowiu, kiedyindziej nie. Był to człowiek zwyczajny, jakich setki żyją w tych roztokach, zamysłony o jutrze i zajęty pracą, pozatem niewidzący nie,

nawet niebu niemający ochoty przyjrzeć się, czy podparte czem, czy samo na powietrzu wisi.

Do gminy się nie mieszał, bo powiadał, że tam są głowy do tego stworzone; gmina też nie wiele więcej o niego dbała, powołując go ino do opłaty, albo do wyboru wójta, jak padło. Czuł jednak stanowisko swoje niepoślednie śród zagrodników całego Przysłopia, bo choć sam był rodu nijakiego, jako że się zwał po ojcu Niepilak, wszelako dostał żonę z familji godnej, o której gadki chodzą pomiędzy narodem.

A Rakoczemu teraz przyszło na myśl, czemu ten człowiek, nie kto inszy, jest akuratnie jego szwagrem. — Miała też co Zośka wybrać. Jakby już taki straszny brak było chłopców i ostatek świata. Wspominała nieraz matka ze łzami słowa ciężkie ojca nieboszczyka, jak biadał, umierając, że to osiedle jego dziadów przejdzie w niepilę ręce... I dziwnym losu trafunkiem gazduje na tym gruncie rodzony Niepilak, a on, Rakoczy z ojca i pradziada, musi po świecie wyszukiwać miejsca, gdzieby mógł owce chować i wypasać woły. Dziwaczny los, zrzadzony przez babskie rozумы.

Przybaczył sobie Jasia; tem większą złość szarpnęła go za piersi, uczuł gniew do tego człowieka, co grzechu swego nieświadomy wprawdzie, ale wszedł na ołtarz kerpcami i błota nie otarł z nóg w przedsienu.

— Sprawiedliwy człek, ani słowa. Z Panem Bogiem jada...

Widział, jak się nabożnie żegnał, kładąc łyżkę, i podziękował »za te dary«.

— Jakiem prawem on ma mieć spokój, kiedy tamten...

— Czemuż ty nie jesz, bracie? — zagadnęła Zośka.

Mruknął coś w odpowiedzi i odsunął stolec. Czuł się tu prawie obcym, daremno kryć przed sobą. Nie ma do kogo słowa przepowiedzieć. Nie mówi się tu nigdy o rzeczach niewidocznych dla oka, wszystkie myśli kręcą się około kłopotów.

— Pożyć tak z dziesiątek lat w tej życia mielnicy, to można dostać owczej kołowacizny, ani sie człek nie opatrzy, jak sie raptem straci, i wnet sie stanie błędnym cieniem swojego żywota. Wypatruj wtedy człeku duszy w piętach i lamentuj poniewczasie nad sobą. Ani cię pies nie pożałuje, boś sam, nie poniewoli, wetknął szyję w to jarzmo... Ciągnij mocno, zapieraj sie nogami, a nie ustaj. Świat sobie, a ty sobie. Oto życie nasze kochane... Poczciwy naród! Zaprzegnał sie i chwali Boga, błogosławiąc dary... A niech was jasne pioruny!... Kto przywyknął do gnójnicy, niech ją pije zdrów. Ale niech w drugiego nie wmawia, że to woda studzienna, świeża, bo...

Słów nie miał na oburzenie targające pier-
siał. Już mu piaskiem stanęło w gardle to pi-
wniczne życie.

— Dusze tu rosna, jak te naci ziemniaczane,
blade. Wilgoć trująca ich podkładem, dusznota
powietrzem. A wywieść je na słońce, to sie
skurczą i poschną, jak osty. Oczy zamkną przed
światłem, powiadając, że ich piecze; poślepną
doznaku... Różne, widać, bywa szczęście, jak
różni ludzie na tej ziemi. Ptakowi i w kościele
niebardzo wesoło, a niejakiemu stworzeniu
i w chlewie dobrze. Od przywyku zależy, a i od
natury.

Może jego natura taka insza, chora. A ludzie
tacy sami, jakich Pan Bóg stworzył?... Dumal
nad tem, nie mogąc dojść pamięcią początku
owego, kiedy to myśli poczęły go wodzić ścież-
kami nieudeptanemi przez ludzi. Dawno to mu-
siało być, może wonceas, kiedy szkoły opuścił
z przymusu, bo z cichych rozgoryczeń codzien-
nego życia długo strzelały iskry w jego serce,
zanim ogień rozgorzał i powstało piekło cale
nieznanych udręczeń.

Szwagier, siedzący naprzeciw niego, najspokojniej
oprawał płaszcz, przyszywając nową
łatę na starej. Niekiedy, nawlócząc igłę, mrużył
lewe oko, a prawem pozierał na Franka, jakby
się dziwił, że ktoś może siedzieć poprózniczy,
kiedy on szyje.

Drażniło Franka srodze to prawe oko szare, popędliwość nim trzęsła, lecz się opanował. Zwrócił się jeno bokiem, schylając głowę, i starał się nie patrzeć w tę stronę, gdzie szwagier spoczywał. Udało mu się wreszcie zająć myślą czem innem. Dumal o Hance swojej, o jej otoczeniu...

— Biedna i ona. Ludzie gnębią tę habinkę słabą, przyginając ku ziemi zawczasu, by nie wystrzeliła bujnym pędem ponad ich czoła. W turkocie wiecznym żyje, w kotłującym gwarze, ani się opamiętać w tym ciągłym jarmarku! Zawdy coś myśli porozgania, rozpłoszy, jak te ptaszki głupiutkie na drzewie, gdy je odleci matka nieopatrzna — i w tej głowince ukochanej, drogiej, ostaje puste gniazdo, wyścielone sianem.. Cóż mi z tego wszystkiego, jak ona się straci i nie pozna głosu mego wśród hałasu świata, choćbych ją tak nawoływał, jak jesienny wiatr!

Trwoga przed zatraceniem ukochanej duszy ścisnęła jego serce gorzej, niż gniew na życie owo szare, które oblewa serce pomyjami i oczy osypuje chmurą złego piasku, trującym żwi-rem.

— No, stało się. Trza wybrać jedną drogę: prawą, albo lewą, bo inaczej człekby skapał, dumając w pośrodku.

Pomyślał to prawie głośno, wstał i począł

chodzić, zataczając koła wążkie, odedrzwi do pieca.

Szwagier wbił igłę w sukno i wodził po izbie za Frankiem oboma oczami, w zdumieniu wielkiem, jakby chciał zapytać kogo, co mu się stało. Znał go już dziwacznym zdawna, ale przecie nie tak bardzo, żeby go o warjactwo można było posądzić. Od niejakiego czasu coraz gorzej. Ciska się, jakby osy latały dokola niego... Powiedźcie ludzie, co jemu jest, co jemu dokucza?

Zośka ruszyła ramionami, nie odrywając się i na krótko od pilnej roboty. Franka znała od dziecka, wiedziała, że ma naturę inakszą, niż ludzie, a potem świat go jeszcze do reszty odmienił. Co prawda, przypominał nieboszczyka ojca, którego pamiętała, jak przeze mgłę ciemną, ale się dużo przeinaczył dumaniem i... Pan Bóg może wiedzieć zresztą, co jego tam trapi. Odmieniec był i będzie do skończenia świata. Darmo dziwić się temu, nikto nie poradzi... Nie dziwiła się i teraz, bo czasu szkoda; uwijała się z robotą, myśląc o jutrzejszem święcie Matki Boskiej i o tem, jak ulegować chłopu, żeby jej nie bronił iść na odpust, niedaleko, ino do Ludźmierza.

Franek po izbie chodził długo, nim ostudził głowę i pozbierał proste słowa, zrozumiałe

wszystkim. Wtedy stanął nad pochylonym nisko Jędrkiem i odezwał się:

— To tak szwagrze... Musimy się zastanowić, jak dalej żyć. Bo trudno. Razem nieporada. Zresztą sami wiecie o tem...

Szwagier wypatrzył się nań, otwierając usta, jak człowiek zaskoczony nagłą niespodzianką.

— Jak to niby myślisz — odrzekł — bo ja nie pojmuję... Czy nam to źle?

— Daleko lepiej będzie, jak się rozłączymy...

— Franek! — skoczyła Zośka, rzucając robotę pilną. — Co ci też wpadło do głowy? Przeżegnajże się krzyżem świętym i proś Boga o lepszy rozum... Wicie wy ludzie! O rozłączaniu będzie gadał... Czy nas to tak dużo? Nie możemy się pomieścić w jednej chałupie, czy co? W inszych piętnaścioro narodu mieszka, abo więcej... a nie ciasno im. Czy nam brak czego? Bieda jaka? Nie mamy co jeść? Inszych bieda rozgania po dalekim świecie, a przecie się garną ku sobie, jak te ptaki wyrzucone z gniazda... Franuś! Bracie kochany... Czy my to nie z jednej matki, nie z jednego ojca? Upamiętaj się przecie i nie rób mi krzywdy...

Mówiąc to zapłakała serdecznie, jak dziecko, a w nim tajało serce prędko, jak wiosenny śnieg.

— Przecie ona mnie lubi szczerze i prawdziwie kocha...

Nie wiedział, co powiedzieć, by jej nie zamucić i nie wywołać nowych łez potoków. Daremno przemysliwał, szukając łagodnych słów, bo przystać odrazu na prośby dobrego serca nie mógł i obawiał się tego podobnie, jak obawiałby się zamknięcia w kościele, gdyby ludzie powychodzili a on został, zamodlony całkiem, i nie ocknąłby się wcześniej, ażby ostry zgrzyt przekrecanego z pola klucza o uszy jego uderzył.

Coś wołało w jego duszy, ale coraz słabiej, jakiś, sercem duszony, niewyraźny lęk... Czuł, że nie będzie miał siły opierać się ludziom, jak do niego przemówią płaczem. I to go przelęknęło. Zawdy będzie to samo. Wiecznie zamierzone wyprawy na dalekie wyspy i cofanie się wieczne przed morzem cichych łez, które wróci, odpłynie, a jego na piasku ostawi... Takie życie. Pokuta wieczna i piekło palące. Za jakie winy świata? Żeby skałę miał na miejscu serca...

Zośce już dawno oczy obeschły, ale miała nową miarkę łez na pogotowiu, jakby Franek począł gadać o nieszczęsnym dziele.

— Skąd mu to przyszło? — myślała po cichu. — Pewnie to Hanka nakładła mu w uszy, bo ją wczoraj musiał widzieć. Kanyźby inedy chodził, jak nie do niej? A to przebiegłe, chytre, jak polna łasica, mądrzejsza od swego ojca, choć to niby wójt.

Szwagier zaś inaczej myślał, po swojemu, prosto.

— Zachciało mu się, widać, gazdowania, i czeladzi, i baby i, djabeł nie wie, czego jeszcze, radby majątek pod siebie przygarnąć, a ty kochany szwagrze bieduj na polówce, abo idź na zarobek do świata, jak nie bedziesz miał w chałupie co do gęby włożyć.

Tego się dużo obawiał. Bo choć wiedział od czasu, jak się tu przyżenił na swoje nieszczęście (a jak przedtem powiadał — na swoje szczęście), że się Frankowi polówka należy, to potem jakoś zabaczył doznaku, zdawało mu się, że on gazdą na całej zagrodzie. Sam uwierzył w to święcie, i nic go nie trapiło. Myślał, że tak do śmierci będzie, jak bywało, i nic się nie odmieni na tym bożym świecie.

Bo Franek zgodliwy był i nigdy słówkiem nie napomknął o swojej części, aż tu naraz... — Nieszczęście spadnie niewiedzieć skąd, ani się czleku spodziejesz. — Strapilo go to srodze i boleśnie. — Co tu odpedzić na takie łakomstwo, na takie w zlej godzinie pomyslane słowo?

Jeszcze w Zośce miał dbę, jako, że to niewiasty umieją wykrzyzczyć, czegoby nie zdolali wybić z głowy chłopi; a przytem Zośka jest i siostrą jego, nieraz koszule wyprała mu w rzece, powinien mieć wzgląd jaki i wymiarkowanie,

bo to grzech ludzi napastować w samiutkie południe.

Widząc, że Franek duma, nic nie mówi, udobruchany, widać, płaczem Zośki, pragnąc do reszty przekonać go słowem i oddalić to nieszczęście, wiszące nad głową, nabral otuchy w serce i ozwał się:

— Tak Franuś... Uważ sobie dobrze. A zanim słowo rzekniesz, sto razy się zastanów, bo może być źle i tobie i.. zresztą, co to gadać? Sam widzisz dobrze, że się tu nic nie przelewa, choć razem w jedną stronę ciągniemy ten wóz. A łatwiej zawdy parą wołmi jechać, niż dwoma o jednym wole, i osobno...

Rakoczemu z każdym słowem onej perswazji czyniło się w gardle słono i podobnie cierpko, jakby z musu połykał niedojrzałe jabłka. Siostry słuchał, dumając pilnie nad słowami jej, bo miała prawo święte napominać w strachu swoim brata, jako, że siostrą jego jest od urodzenia, i że go lubi; a choć ino po swojemu prosto, nierozumnie, to trudno więcej pragnąć od chowanej owcy. Ale ten, niepilak obcy, nuczający Rakoczego zardzewiałym głosem, jak ma się zastanawiać nade dniem jutrzejszym, rozpałił go i na nowo obudził zaciętość w sercu, chwijającem się już długo.

— Rozumiem — odrzekł prędko — że ła-

twiej uciągnie wóz troje, niż jedno, ale ja się do jarzma nie nadaję.

— Przyzwyczaisz się — odparł szwagier. — Bo i wół z początku, nim się wciągnie...

— O ludziach — przerwał Rakoczy — dwójki trza mieć sąd. Bo nie każdy ma naturę wołu i nie każdy przed oczyma widzi ino żłób!

Silą wstrzymywał cały potok słów, by ich nie wylać na woli łeb szwagra, nie umiejącego pojąć, czem Franka uraził, kiedy mu przecie dobrze radził i po przyjacielsku.

Rakoczy dyszał ciężko, odganiając goryczą przesiąknięte myśli, co, jak osy zjadliwe, siadały mu na wargach i doily krew ściętą ostremi żądłami. Po próżnicy ciskać się na czyjaś głupotę. Trza się już zgodzić na to i nie mieć za złe temu, co się już ladajakim urodził człowiekiem.

Żeby przeciąć gadanie dalsze o rozłące, a podać przytem powód prosty, zrozumiały wszystkim, powiedział głośno i dobitnie:

— Myślę się żenić. Oto jest cała długa historia rzeczy.

— Tak mów! — zawołała Zośka. — Nie o żadnej rozłące... Wiedziałach ja oddawna, jaki mól na sercu twojem siedzi.

Ale szwagier nie uradował się tak bardzo, choć i on wiedział, o kim Franek przemyśliwa często. Wiedział przytem, że Suhaj nie wyda

jedynaczki z chałupy, i Franek, chcąc się żenić, musiałby opuścić swoją część zagrody. To jedno dobro. Ale drugie na to miejsce wchodzi zło niemałe. Bo Suhaj, ostawiając Hance majątek swój cały, radby pewnie zięcia przyjąć z pieniędzmi dużemi. Juści Franek z chałupy będzie wypląt ciągnął i kosztów mu narobi... Czy tak, czy owak, to zawdy źle i nieporęcznie. Wyjścia zaś niema żadnego. Chyba jeszcze Bóg zlituje się nad ludźmi i powoła niektórych zawczasu do swojej chwały niebieskiej... Ale o tem cicho. Trza teraz myśleć nad tem, żeby oddalić postanowienie prędkie, jak się da, na później, a może się przecie rozejdzie to wszystko, jak się rozchodzą nieraz chmury ciężkie, zagrażające gradem wielkim i straszną ulewą.

Z tą myślą też odezwał się nieśmiało:

— No dyć dobrze... Ożenić sie każdy może, nikt nie zabroni. Ale pilności takiej robić nie trza, bo potem...

— Was już nie będzie boleć, co potem nastąpi! — zawołał Franek — Wy sie nie trapcie tem, co kogo spotka. A ze swoich rad możecie bicze kręcić, bo was przeznaczenie na doradcę swojego nie pyta... Przestał nagle, bo usłyszał kroki w sieni, a nie chciał przy obcych ludziach robić w domu piekła.

Ledwie usiadł na ławie, kiedy drzwi się otwały, i do izby wszedł z »pochwałą Bożą«

wysoki chłop, zgarbiony nieco, znajomy im dobrze. Odrazu, obaczywszy zasepione twarze, domyślił się i poznał, że coś musiało zajść, jak to zwykle w rodzinach chrześcijańskich. Nie zdziwił się bynajmniej, a skoro nikt nie myślał zagadnąć go pierwszy, ozwał się:

— Ciepło na polu, chwała Bogu, słoneczko dopieka.

Zośka podstawiała mu stolec, prosząc, żeby nie stał przecie. Przysłał po małym oporze i, siadając nisko, zgarbił się, jak ten obłąk na starem kosisku. Łokcie sparł na kolanach. Przedtem jeszcze wyjął cybuch z zanadrza, wsadził go do ust końcem, który się do fajki zakręca, i począł ssać nieznaną słodycz soku, osiadłego przez długie lata w czarnym otworze cybucha.

Nie poruszając głowy pochylonej, plądrował okiem całą izbę uważnie i długo, jakby dopiero pierwszy raz tu był i chciał sobie zapamiętać każdy sprzęt z osobna.

Znali go już ludzie wszędy, jako taksatora, umiejącego opowiedzieć najdokładniej w świecie, ile kto ma pieniędzy, majątku, chudoby, wiele kto może dać ze swoją córką, komu się trafia żenić, kogo kto zaskarżył i o co — wszystko umiał opowiedzieć składnie, przyzwoicie, dodając ino to, co ludzie mówią. Złapany na oczywistem kłamstwie, nie tropił się, ale odrazu przystawał na poprawki, choćby one zmieniały

doznaku to, co dopiero opowiedział, jako świętą prawdę. Nie miewał zatargu z ludźmi, bo też i nigdy nie był ekliwy na obrazę. Spłynęło po nim, jako deszcz po skale, i śladu nawet nie zostało.

Błażejem ochrzcili go drzewiej. Dawno to musiało być, bo ludzie zabaczyli se doznaku o jego imieniu, nazywając go poprostu »byczym ozorem«. Nie do smaku mu to było, ale co poradzić? Każdy musi mieć swój krzyż na ziemi — jak nie taki, to taki — aby był zbawionym.

I on, co go Błażejem nie chce nikt nazywać, nijakiego był rodu. Wiedział o tem dobrze i miał poszanowanie duże dla imiennych rodów, większe jeszcze dla władzy, której się zawdy lękał.

Taki to był ten człek znany, siedzący na stołku, dziwiący się jedynie temu, że nikt jakoś nie czuje ochoty posłyszeć od niego, co tam we wsi na dole słyhać, jak tam żyją... Nie po to on tu przyszedł, żeby opowiadać, ale nowin posłuchać przecie nie zawadzi, a on się przytem dowie, co Rakoczy myśli, czy go chęćka wojowania z Radą nie odeszła. Krzywdy nikomu przez to nie uczyni, że się dowie przypadkiem o czyich zamiarach, a wójt, jako zwyczajnie człowiek sprawiedliwy, opuści mu za to karę za peczki sąsiada.

Wyjął z ust cybuch, otarł o koszulę i schował go do zanadrza głęboko. Potem splunął

przez zęby, powiódł okiem po obecnych, i jakby Franka nie było między nimi, ozwał się nie-
dbale:

— Dużo haw wiedzy ludźmi o Rakoczym gwary...

— Musiała się Hanka rozchwalić — powiedziała Zośka, pozierając z uśmiechem na brata.

Błażej nadstawił pilnie ucha.

— Może go już ożenili? — zwróciła się doń, gdy Franek nie odpowiadał zaraz.

— Niby z kim? — niewinnie spytał.

— Muszą przecie ludzie wiedzieć, skoro gadają...

Pomiarkował wnet, że w ten sposób niczego nie dojdzie. Trzeba gwaraę odwrócić, jak serdak podczas deszczu, kudłami na wierzch.

— Ludziom nie warto wierzyć — rozpoczął po chwili — bo nie mają wymiarkowania w słowach, ino pletą, co im ślina do gęby przyniesie. Jak i teraz... Opowiadają, że Rakoczy stara się na posła, zwołuje do gromady samych komorników, bo nastał — powiadają — czas, że komornicy będą światem rządzić, a gazdowie zaś, jako że ich mniejsza liczba, muszą cicho siedzieć. Popłoch między narodem wielgi. Jedni się radują, drudzy klną, a trzeci oczekują, co z tego wypadnie... Przysiężny jeden opowiadał, jak rody kiesi zeszyły się do wójta, sporo Sołtysów, Gnieckich i Cichańskich, jak uradzały

same między sobą, jak na to szczęście nadszedł Rakoczy i zaczął im prać w oczy niesłychane rzeczy!... Podrętwieli doznaku — powiada — i oniemieli do krzty; aże potem, po chwili, skoro ich ostawił samych, przyszli do siebie i uradzili nie dopuścić do żadnej odmiany. A ja wiem z drugiej strony, że to bajtki; bo uradzili zgodnie usunąć się na bok, niech młodzi idą i gazdują, kiedy mają siły zdrowe i moc potemu.

— Czy to prawda, bracie — spytała Zośka zalękniona — żeś ty tam był i tak dowodził akuratnie, jak powiadają?

— Ale nie wierzcie! — zabiegł Błażej. — Bo to wszystko bajtki ludzkie, wierutne kłamstwo! Przecie widzicie, że brat siedzi spokojnie na ławie, i ani mu się śni mieszać w te przekłete jarmarki. Woli on o czem inszem myśleć, niż o zadzieraniu z ludźmi, abo ich naprawie. A tu już udali, wiecie, że z rodami wojuje, że dniami i nocami pomiędzy ludem chodzi, że chciałby ostać posłem i, djabeł wie, co nie wymyślili jeszcze! Zwyczajnie ludzie, nieumiejący o niczem gadać, ba ino o ludziach. A kto dalej od nich siedzi, tem więcej o nim idzie gwary.

Popatrzył na Rakoczego i czekał na to, co on powie. A widząc, że nie myśli nijak odpowiadać, poradził się chytrości i zaszedł z drugiej strony:

— Dyćby dobrze było i nieźle, jakby naród

biedny miał swojego obrońcę w człowieku, co mądrości wszelakich nabył i rozumów, a nie chce ich dla siebie chować. Na ten przykład, jak i wy...

— Dużo wam za to Suhaj przyobiecał? — spytał Rakoczy, wstając z ławy.

— Jak to niby myślicie?

— Że on kiep, a wy drugi! — odrzekł ostro, a zwracając się ku drzwiom, dodał: — Niech was do bydła najmie za pasterza, będzie miał większe skrzepienie...

I wyszedł. W izbie nastalo milczenie, zdumieniu blizkie. Szwagier znów nie wiedział dobrze, co o tem myśleć. Poziarał na Błażeja, a Błażej na Zośkę, bo i on też udawał, że nie rozumie.

— Nie dziwcie sie — szepnęła Zośka. — On już taką ma naturę od czasu.

Błażej też nie dziwał się długo, i żeby odwrócić uwagę i nie dać myślom czyim dojść zastanowienia, odezwał się spokojnie, jak człek przyzwyczajony do wypadków:

— Pono jutro odpust...

— Matki Boskiej Szkalpierznej — objaśniła skwapliwie Zośka.

— Chmara ludu idzie do Ludźmierza... Ze Mszany, z Dobrej, z Lubomierza, zewsząd kompanje przechodzą, śpiewający, bo czas bardzo

piekny. Bedzie tam narodu siła, księży i biskupów!

— Nie bedziesz mi bronil, Jędrus? — przy-
miliła się Zośka.

— Kany?

— Do Ludźmierza.

— Dzisz, znowu te odpusta! Nimasz to w swo-
jej wsi kościoła?

— Coż z tego, że mam? Cały rok do niego
chodzę...

— Bóg cię wyslucha i tu, ino sie pomodlij
szczerze.

— Chcialabych se tam isc do spowiedzi...

— Mozesz i tu, ksiadz zawdy siedzi w słu-
chanicy.

— Ale ja wolę do obcego.

— Coż to znowu za przebiory? Moiściewy
ludzie...

— Ty nie wiesz, boś nie był na odpuscie...

— Wam odpust w głowie! Jak mnie elemen-
tarz... Przewietrzyć sie, obejrzyć światu kawał,
napaść oczy księżami — to was ino ciągnie.

— A choćby, to we święto czas nie taki
drogi...

— Już mnie ty nie przekonasz! Daremne
gadanie.

Zośka już była blizka płaczu, ale jeszcze
nie traciła nadzieji, lzy ostawiając na ostatek,
gdy insze zawiedzie.

— Dy nie brońcie, niech idzie — popierał ją Błażej. — Nic sie wam tu w chałupie za jeden dzień nie okoci, możecie być pewni. A to przecie nie takie dalekie światy, żeby za dzień nie obeszła. Z dalsza narody idą... Od Tater, od Orawy, od Spiskie krainy, a nawet z poza Tater i z po za Orawy. Słowiaki, Bułgarowie, Lup-taki, Światowce...

Przerwał mu tę litanję narodów śmiech pusty, który zadzwonił przed sienią, i hałaśliwe głosy paru niewiast.

— Honorka! — zawołała Zośka ucieszona, podbiegając do drzwi, by je otworzyć.

Otwarły się same, i za progiem stanęła niewiasta nieduża, przy niej mało większa Hanka, a za niemi Franek. Wszystko troje roześmiani, każde swoim szczęściem.

— Nie stójcież tak — prosiła Zośka — ino pójdźcie dalej...

— Idziesz na odpust? — zagadnęła starsza. — Bo jak nie, to nie wejdziemy do izby, ani za próg...

— No dyć bych szczerze rada iść, ale mi chłop nie da. Może wam sie prędzej uda skłonić jego serce.

— Coż to takiego — krzyknęła Honorka — żeby baba nie miała swojej woli? Ciewy! Od kąd-że to panowanie chłopom sie dostało? Jadam w rajku na piesku tańcował przed Jewką

swoją, a nie wstydzil sie Pana Boga, choć nie taki chyrlak był, jak wy. Pójdźno Hanuś — pociągnęła za rękę towarzyszkę swoją. — Nauczmy go, jak ma swoje święte przykazania czcić i szanować.

Zrobiło się w izbie jasno, gdy weszły obie: tyle promieni było w chustkach, w szerokich spódnicach, tyle białego śmiechu w twarzach, tyle światel w oczach.

Przypadły do Jędrzeja, siedzącego nisko i, nachylając się z obu stron, mówiły, każda do jednego ucha:

— Pierwsze: Nie bedziesz miał innej baby, ba swoją rodzoną... Drugie: Nie bedziesz miał swojej woli, jak ona ci nie da... Trzecie: Nie bedziesz robił swoim dumem nic, o czemby ona przódy nie wiedziała... Czwarte: Nie bedziesz jej zakazywał chodzić po odpustach... Piąte...

— A deścież mi święty spokój! Niech idzie, niech robi, co żywnie chce! Ino mi już nie wrzeszczcie dłużej nad uszami, bo mi łeb na ćwierci pęknie, w drzazgi sie rozleci!... Co to za naród babski! La wszyteckich świętych...

Opuściły go ze śmiechem, otoczyły Zośkę i z radością pomagały jej zawdziewać lachy, które kładła gorączkowo z pośpiechem na siebie, żeby nie dać chłopu czasu do rozmyślenia.

»Byczy ozór« znikł. Skorzystał z przykazań babskich i z chwili, kiedy Franek skoczył do

komory przyoblec się w świąteczny strój. Nie spotkał nikogo w sieni, wychodząc w pole.

Niezadługo Zośka wyglądała mało co gorzej od Honorki. Spódnice miała równie białe, chustkę błękitną, jak i ona, jedną twarz ino inszej barwy, ale to już mniejsza.

Zabrały się i powiedziały nawet Jędrzejowi na odchodnem: — Ostańcie z Bogiem.

Przed sienią stał i czekał na nie Franek.

— To i ty idziesz z nami? — zdziwiła się Zośka. — Tak odpustów nie lubiałeś...

— Nie lubiałech dawniej! — odrzekł popędliwie, jakby chciał teraz o wszystkim zabażyć.

— Cit... przykazanie babskie! — odezwała się Honorka szeptem, przykładając palec do ust.

Zaśmiali się na to wszyscy, Hanka najdonioślej. Przeżegnali się potem na drogę i poszli...

V.

Do Ludźmierza, kto z Przysłopia chciał iść drogą prostą, nie robić koła dużego, musiał przechodzić wszystkie wierchy, całe Gorce w poprzek. Inaczej nieporada, bo się harde góry z drogi człekowi nie umkną, chyba jakby je przedziurawił doznaku na wylot. Idziniery to umieją wiertać nawet skały i drogi po pod ziemię na mile prowadzić. Powiadali różni ludzie, że od Krakowa pójdzie kolej prościutko na Tatry, a wtedyby nie mogła ominąć Przysłopia, ani obejść Obidowca. Ale to jakoś wnet ucichło, nie słyhać już o tem. Jakby w swoim rozumieniu inedy umyślili poprowadzić kolej, to Obidowiec byłby temu rad, że go nie rozprują, ale za to narodowi stałaby się krzywda. Bo, czy to na woły spiskie do Nowego Targu, czy na odpust do Ludźmierza, czy też kanyindziej, zawdy uciążliwość wielka spinać się po górach. Latem jeszcze, jak latem, ale w zimie, jak padnie, na okrutne zaspę... Niejeden już tam znalazł śmierć

swoją na wierchach, niejednego bielutka mogiła nakryła; żeby mu się dobrze spało na wiek wieków wieczny.

Obidowiec byłby rad i nie ruszyłby się z miejsca, choćby ślubną Obidowę ognisty smok przejeżdżał nieustannie, bo iskier lęka się naprawdę, by się na nim odzienie suche nie zajęło: serdak z cetyny smolnej, wyszywany po krajach bukowymi liśćmi. Wolałby już Obidowę ostawić w nadzieji, że ją kolej, idąca ku Tatom, przejedzie — ludzie zaś woleliby jeździć na siedzeniach, choć i teraz po urwiskach na siedzeniach jeżdżą. Wszystkiemu narodowi Pan Bóg nie wygodzi, bo każdy ino tego pragnie, co drugi posiada. Zazdrość już za Jadamem chodziła po rajach, zanim zgrzeszył, niechcący. Bo ona dużo starsza od grzechu i enoty.

Tak i naród przysłopski... Zazdrościł Podhalańcom, że mają Matkę Boską cudowną w Ludźmierzu, miejscu nie poślednim, skąd wyszli już przemocni ludzie na chwałę narodu. Idzie o nich hyc nie mały daleko po świecie. A jak o morze się obije, to Tatry usłyszą i opowiedzą narodowi, ludźmierskiemu naprzód, kto jego sławę zaginioną po świecie roznosił. A naród będzie słuchał, dziwując się wielce, że to nie obcy, nie światowce, ale nasy ludzie.

O tem jeszcze głucho w Tatrach i w całej dolinie. Tembardziej przysłopski naród, jako za

górami po głębokich roztokach osiadły, nie wie nic o nowych cudach cudownych obrazów. Jedną Ludźmierską Pannę zna i czci ją w sercu swoim, ale mu szczerze markotno, że w obcym kościele mieszka i tam cuda rozdaje, a o dalszym narodzie zapomina. Przemysłiwali nad tem sprawni chłopcy, czyby się nie dało wykraść tej Panienci i przynieść do swojego kościoła w Przysłopiu, ale im starzy odradzili, bo, powiadają, może się rozgniewać i ani jednego cudu na złość nie uczyni. Kto na tem straci? To już lepiej tam dochodzić od czasu do czasu i gorąco molestować o przeróżne łaski, tak, żeby miejscowym nic nie ostało, abo niewiele co do wyproszenia.

Święta oczywiście rada starszych przypadła do serca wszystkim, i chodzili do Ludźmierza, nie ciążając sobie drogi, na każdy odpust. A chodzili, jak się rzekło, przez wierchy wysokie, przez Suhorę, Obidowiec, Turbacz i Kotlarkę, abo, jak częściej, przez Tobołów, omijając Turbacz.

Słońce zniżyło się i stało prawie nad Babią Górą, kiedy wesola gromadka pątnicza wyszła na pierwszy wierch. Tu niewiasty, zdyszane, spoczęły na chwilę, a Rakoczy odkrył czoło na wiatr chłodny, lekki i przypatrywał się tej samotnicy wiecznej, stojącej na zachodzie...

— Dlaczego ludzie nazwali ją Babią Górą? — powiedział głośno.

— O czym on jeszcze nie zacznie! — zaśmiała się Hanka — a czemu ciebie wołają Rakoczy? Przecie to samo.

Prawda... czemu na niego wołają Rakoczy? Zastanawiał się już nieraz nad tem, ale niedługo. Cygańskie jakieś musi być przezwisko. Kto wie, co jego ojce kany porabiali, zanim tu przyszli... Nie lubiał strasznie słów, co nic nie mówią. Wołałby insze nosić miano jakie, naprzykład.. Lacki... O... to ładnie dzwoni. A każdy człowiek, choćby i najprostszy, rozumie dobrze, co ono oznacza. Lackie plemię. Lacki król. I swojskie i ładne.

— Nie stójmy-że — prosiła Zośka — bo nas wieczór na wierchach zapadnie. Bedzie czas odpoczywać, jak zajdziemy na miejsce.

Wszyscy zgodnie przyznali rację Zośce, bo ona tu była pośród nich rozsądkiem, podobnie, jak jedyna paroletnia owca między rocznymi jagnicami.

Szli dalej po polanie równej, nie bacząc na chodnik, bo cała hala, miękką wyścielona trawą, ciągnie się długo i szeroko po grzbiecie Suhory, lub inaczej Suchej Hory, jak ją drzewiej zwano. Dopiero ku Tobołowi polana się zwięża, zagłębia w siodło i ostaje pod Obidowcem, na który już drożyna skalista prowadzi, przykra i uciążliwa, jak droga do nieba.

Idąc po tej polanie, mieli czas obzierać się na wszystkie strony i patrzeć po dalekim świecie, którego im nic nie zastępuje, jak tam na

dole w roztokach. Zdawało im się, że podrośli; Hanka nawet nie wierzyła, żeby kiedy była małą, dopiero, jak się zrównała z Rakoczym i spojrzała na czoło jego, przekonała się ze smutkiem, że tak samo, jak i przedtem musi zadzierać głowę, by je dojrzeć i obaczyć czarne strączki spadających włosów.

— Jee! — pomyślała z niechęcią — tak trzeba patrzeć na ten łeb, jak na Obidowiec...

Lecz, mimo to, patrzała często, ani się jej nie sprzykrzyło zadzierać głowy. I Franek zawdy na czas odpowiadał wabiącym oczkom, choć zolbrzymiały wokół świat czarował jego oczy. Widząc dobrze, że Hanusia ma oczka doznaku takie, jak niebo na wschodzie, obaczył równie dobrze i wyraźnie, że Gorce mają kształt podkowy. Musiała zostać chyba od potopu. Rdza ją wiekami ujada i gryzie, ale nie skruszy jej do końca świata, o tem nie wątpi nikt. Podkowa ta olbrzymia otwarta na północ.

Idą właśnie po jednym końcu, po Suhorze, prosto na Tobolów, pod Obidowiec, który się zatacza na wschód i obejmuje Turbacz za ramiona... Z drugiej strony, równoległe do grzbietów, zgarbionych pod ich stopami, stoi Kopa, synowa starego Turbacza, pochylona całym ciałem ku Turbaczykowi. Środkiem zaś doliny idą, i staczają się roztoki prosto ku północy, spadając z hukiem i rozgwarem w zagłębione wioski.

Zadumę Franka, nachodzącą często, przerywała Hanusia ciąglem trzepotaniem. Ale on był rad temu i nie chmurzył czoła, bo czuł, jak przy tem trzepotaniu ptasiem rosna mu skrzydła niewidoczne i orleją nabierają mocy.

— Hej! Żeby tak polecieć... Ale razem z nią! Dziwowałiby się ludzie, dziwowałyby ptaki.

Dziwowałyby się pewnie wszystkie trzy niewiasty, choćby szedł prosto po ziemi, jak idzie, ale jeno myśli swoje otworzył przed niemi. Może kiedyś opowie te cuda Hanusi, ale aż ją nauczy myśleć po swojemu, bo, inaczej, parsknęłaby mu śmiechem prosto w oczy, abo stanęła zdumiona, jak sarna, nie wiedząc, czy się trwożyć, czy radować w sercu.

Szli długi czas po trawie miękkiej, zecerwienionej od słońca, które się poczynało krwawić na zachodzie.

Dochodzili już do Tobołowa, kiedy Franek, idący na przedzie z Hanką, obejrzał się za dwiema niewiastami, ostaleni w tyle, i zawołał ku nim głośno:

— Pospieszcie się! Ujrzymy jeszcze przed zachodem Tatry...

Nie czekali na nie długo, bo wnet się złączyły i ruszyła dalej gromadka młoda, razem, rażno i ochoczo.

— Na Obidowcu widać ludzi — spostrzegła Honorka.

— Musieli hań spoczywać, że my ich nie widzieli idących przed nami...

— Dziwowali się Tatrom — dodał Franek.

— Co wy też widzicie w tych Tatrach? — spytała Zośka, ale się aż zczerwieniła od spojrzenia brata.

Przekorna jej towarzyszka, widząc po Franku gniew, poparła słowa siostry jego, jakby swoje własne.

— Skały i skały goluteńkie, więcej nic...

— Ostańcie! Po co wam za nami lecieć?

— Franuś! Nie złościj się! — przerwała Hanka i zażegnała chmurę.

Zośka z Honorką nie ostały, naprzekór Frankowi, ale szły wartko, nie dając się nikomu wyprzedzić. Minęli siodło zagłębione i weszli na drogę, wiodącą stromo, jak po ścianie, na wierch Obidowca. Gorączka owładnęła naraz wszystkie serca.

— Kto pierwiej dojdzie?

— Kto naprzód ujrzy Tatry?

Słońce już czerwonym kołem sparło się na ramieniu Babiej Góry...

— Wartko! — przyspieszał Franek. — Bo wnet może zajść, i nie ujrzymy.

Sam lekko przeskakiwał powalone glazy, podając rękę Hance, gdzie większe zwałiska. Nikt już nie mówił nic. Niewiastom pot zalewał oczy, dyszały głośno, lecz nie ustawały.

— Nareszcie! — krzyknął Franek, stając na

polanie. — Ale jeszcze do wierchu spory kęs... Przynajmniej głazów nie ma i nie tak skałisto...

Oddychli na jeden moment i szli dalej warko, bo już daleko lekcej było iść po trawie miękkiej. A dochodząc do wierchu, poczęli prawie biedz — serca niewiast były mocno — Rakoczy płomieniał. Pierwszy też dobiegł szczytu i, z tryumfem szczerym olśnionych dusz, zawołał:

— Tatry!...

Stały przed nim w ogniu zachodzącego słońca — olbrzymie, krwawe... Podnóża ich zastępowała góra przeciwległa, i nie widać było, skąd wyrastają. Zdawało się, że za tą górą morze się rozlewa — i one wyskakują z niego prosto w niebo ogromem rdzawych ścian porysowanych, przebijając błękit w górze ostrymi szczytami.

Stały wysoko w ogniu, oblane skrzeplą krwią świecąca; była w nich skamieniała hardość i potęga i martwa дума konających przed światem olbrzymów.

— Tatry... — powtórzył Franek uroczyście, gdy niewiasty stanęły przy nim.

— Tatry... — szepnęły wszystkie trzy i nie rzekły więcej ani słowa.

Szła bowiem od nich moc potężna, która nakazywała milczenie.

Wszyscy poczuli w sercach swoich, że ich owiało dziwne tchnienie. Coś, co zapiera oddech w piersi, tamuje wyrazy, budzi nieznanne jakieś dreszcze, rozkoszne i święte.

Bo tak owiewa serca ludzkie dziwne tchnienie Tatr.

Patrzeli długo.

Niewiasty pierwsze ocknęły się i poczęły szeptać między sobą.

— Tak bliźiutko się zdaje, choć to przecie mile...

Kto hań zdole wyjść na takie ściany?

— Na takie turnie ociesane...

— A przecie ludzie idą.

— Chyba po swoją śmierć! Bo trudno, żeby ich Bóg uchronił i strzymał w powietrzu...

— Ale to góry, góry!

— Na całym świecie może takich nima...

— Skąd one się tu wzięły? Powiadają, że skały rosną. Odkąd one muszą rósć!

— To nie wiecie o tem — szepnęła Zośka — jak święta Kunegunda... Ale to wam po drodze, idący, opowiem, żeby i Franek słyszał.

Spojrzały na niego.

Stał obok, zadumany, z zaplecionymi rękami na piersiach i patrzył ku Tatrom... Oczy, jak lunatykowi, błyszczały szeroko, i źrenice świeciły iskrami. Po twarzy jego bronzowej migwały często płomienie łyskliwe, i krwawiąc ją na jedno

oka mgnienie, gasły. Z odkrytego czoła jego widniała duma i jakby wyzywanie śmiałe nieznanym sił..

Hance, gdy patrzyła w niego, wydał się tak pięknym, jak nie Rakoczy, ani człowiek ziemski, ale jakiś...

— Doznaku, jak święty Michał na obrazie! — krzyknęła, ucieszona porównaniem swoim. — Ino może...

Bała się powiedzieć głośno: piękniejszy...

Obudził go ten okrzyk dziecinny, zwrócił się, postąpił parę kroków i stanął przed Hanką.

— Coś powiedziała? — spytał, nie myśląc o tem, co mówi, jak człowiek, którego dopiero co ze snu zbudzono.

— Powiedziała — podjęła siostra — żebyś do jutra stał na Obidowcu. A wieczór się zbliża. Kiedy zajdziemy do wsi?...

— No to chodźmy, kiedy wam się już przykrzy stać... Ale wam powiem, że niełatwo drugi raz przeżyć taką chwilę...

— Rozumiem przecie dobrze — tłumaczyła się Zośka — i żeby nie ten odpust...

— Za taką jedną chwilę — przerwał niecierpliwie — daruję ci sto odpustów!

— Nie bluźnij, Franek! — pogroziła — bo cię Pan Bóg skarże. Obaczysz...

— Co mu się stało? — szepnęła Honorka. — Taki był wesół przedtem, rzeźki...

— Ani się nie dziw! — odszepnęła Zośka. — Bo on już taką ma naturę zmienną.

— Jak wiatry, co się prędko zmienia...

— Doznaku tak.

— Którędyż mamy iść? — spytała Hanka, odwracając się, bo wybiegła naprzód, i patrzyła na Franka w oczekiwaniu, jakby chciała powiedzieć, że on tu ma prawo do rozkazywania, więcej nikt.

— Którędy chcecie — rzekł Rakoczy. — Możemy iść dwojako... Abo przez Turbacz, potem na Kotlarkę, skąd już zejdziemy prosto na Nowy Targ...

— To zadaleko!

— Abo przez Tobolów, do Klikuszowej, co jest dużo krócej.

— Zróbmy tak! — przerwała Zośka. — Idźmy teraz krótszą drogą, bo już noc za nami, a na powrót możemy iść przez miasto i przez hańte wierchy...

— Słusznie! — poparła Honorka. — Siostra dobrze radzi. Zapadłaby nas noc na samych wierchach, cożybśmy wtedy poczęli? A tak, za wideka jeszcze zajdziemy do chałup i postaramy się o nocleg.

Głosy za krótszą drogą przeważyły, bo i w oczach Hanki widać było chęć poparcia towarzyszek swoich.

— A dobrze — przystał Franek. — Ale z powrotem, pamiętajcie! przez Turbacz pójdziemy.

Zgodziły się, tem chętniej, że się do jutra może dużo zmienić. Może być deszcz... Choć Babia Góra była czysta, nie pokazywało.

Zwrócili się gromadką na prawo i zeszli z Obidowca na niższą polanę tobołowską, skąd już Tatr nie było widać.

Franek poweselał. Mając przed oczyma to jagnię, swawolące jak te jagnice wypuszczone ku wiośnie z owczarni, nie miał siły chmurzyć się, choć mu jeszcze na dnie serca nie ustał się smutek. Rozgwarzył się i opowiadał o podhalskim świecie, o dawnych ludziach, jacy tu bywali, jakie miewali przybiory i stroje, a jakie dzieła poostawiali w pamięci ludzkiej po sobie, że jeszcze do dzisiejszego dnia o nich gadki idą...

Niewiasty słuchały pilnie, dziwując się wielce, jak on to zdołał zapamiętać wszystko i tak składnie ułożyć w tej głowie, jakżeby czytał.

Podziwiała i Hanusia tę czarną głowę stręczystą, a taką przemądrą.

— Mówi, jak ksiądz — myślała z dumą, bo nie wierzyła, żeby kto był nad księdza mądrzejszy. — Przecie to piastun Boży — dumiała se nieraz — to musi być i dużo mądry. Nacóżby sie Paniezus dał głupiemu piastować?

Zadzierała głowę, idąc obok, i zdawała się pilnie słuchać, co Franek opowiadał o tych cza-

sach minionych i przeszłych. Czasy ją jednak mniej obchodziły, niż Franek. Bo czasy były daleko, a Franek tu. Śledziła bystro i chwytiała jego spojrzenia, zabiegając wartko oczom, gdy się zwracały w inną stronę. Miała czas przy tem zajęciu przypatrywać się twarzy bronzowej, która drgała, gdy mówił, i światła po niej chodziły podobnie, jak po skale, kiedy przez bukowe liście prześwieci słońce zachodzące i padnie na nią prosto, a wiatер liśćmi poruszy.

Podobał się jej bardzo, nie ma co kryć, ale już nie tak, jak tam w górze.

— Najpiękniejszy wtedy, jak się na Tatry patrzy... Żeby tak wiecznie miał Tatry przed oczami! Tak, ale by o mnie wtedy ani nie pomyślał...

Wolała już mieć go takim, jakim jest na dole, ażeby ino patrzył na nią, a nie na te Tatry. Bo przecie zawdy inakszy od ludzi...

— Mielście opowiadać o tej Kunegundzie — zagadnęła Honorka, skoro Franek przestał.

— Posłuchaj-że i ty, Franuś — poczęła siostra. — Ale ty to z książek musisz lepiej wiedzieć.

— O czym?

— Zaraz się dowiesz. Było tak... Kiedy Tatarzy wpadły do Krakowa...

— Jakie Tatarzy?... — spytała nieśmiało Honorka.

— Tatarzy, o jednym oku... Kiedy wpadły do Krakowa, to nie zastały nikogo, ino starego dziadka, też o jednym oku, co go zbawiło od śmierci, bo myślały, wiecie, że to swój... Pytają się go: «Kany wasza królowa, Kinga?» Bo ją tak przezwali. A on nie odrzekł nic, ino zerknął mimowolnie tem okiem ku Wiśle... Aha! — pomyślały se — toś tam... I puściły się za nią na oślep w tę stronę. Rzeka, nie rzeka — góra i nie góra — aż dojrzały ją zdaleka, jak uciekała ku Węgrom, bo ociec jej podówczas na Węgrach panował. Ale i ona ich dojrzała. Myśli: co tu robić? Skrzydeł nima, coby furgnąć i uciec powietrzem... W rozpaczy wielkiej załamała ręce i wyrwała pasmo włosów, jak białą garstkę lnu, a wiatер podjął i rozwiał po ziemi, a z onych włosów wyrósł las ogromny — niedawne lasy gorzeckie. Wstrzymało ich to, ale nie tak długo, żeby ona tymczasem mogła do Węgier dojść. Byli już blisko, kiedy dziwnym trafem opadła jej przepaska, którą się opasowała, a z tej przepaski błękitnej — Dunajec... Zanim Tatarzy przeszły, już była daleko. Aleby ją i tak były napewno dognały, ino że już przy granicy rozplątały się jej włosy — grzebień z nich wypadł — a z grzebienia... wiecie co?... no Tatry! Tu już Tatarzy stanęły, jak głupie i musiały się wrócić bez niczego.

— Ładna bajka! — poszepnął Rakoczy, który

już nieraz słyszał tę opowieść, różnie opowiadana.

— Dla was, to wszystko bajtki! — mruknęła Zośka urażona. — Ale wasze książki, to dopiero bajtki wierutne!

Chciała tem Frankowi dopiec, ale on ani myślał się gniewać. Rzekł tylko w zadumaniu, jakoby do siebie:

— Jak ładna bajka, to warto posłuchać. Życie nie bajka, to nie warto żyć...

— Coż znowu? — zawołała Hanka i trwoniwie spojrzała na niego.

Już się przeinaczył w duchu. Szedł zamyślony i nie mieszał się w rozmowę, którą wiodły między sobą po cichu.

— Nie dziwcie się — mówiła Zośka — bo on zawdy taki. Napadnie go nie wiedzieć kiedy, co, jak, abo skąd...

Ożywił się na nowo, skoro w Klikuszową zeszli i osiedla obaczyli przed sobą. Wtedy, jakby chciał nagrodzić, szczególnie Hance, że ich nie obsermował i nie bawił, jak się niewiasty obsermować winno, kiedy powierzone są opiece męskiej i troskliwości serca jego, począł wesóło, śpasobliwie gwarzyć, a najwięcej, bo najchętniej z Hanusią, której śmiech dzwonił i mieszał się z dzwonekami owiec, zganianych do wsi z polan niedalekich i pastwisk. Rada mu była wielce za to i, gdy jej towarzyszki wychodziły na-

przód lub ostawały za nimi, szeptała, przytulając się do niego:

— Mój!..

A Rakoczym dreszcz wstrząsał, jak smrekiem, kiedy gorący wiatr uderzy weń.

Długo szli roztoką na dół, zanim się zmroczyło. Stanęli wówczas i poczęli radzić, kędy się mają udać i do kogo, żeby trafić na ludzi dobrych i gościnnych, którzyby ich chętnie przemocowali, nie okazując twarzy chmurnych, jak się to nieraz zdarza szukającym u ludzi noclegu.

Uradzili se, że najlepiej nie szukać daleko, ale zboczyć do chałup w najbliższe osiedle, a sam Anioł Stróż ich zaprowadzi do ludzi sprawiedliwych. I tak się stało. Anioł Stróż zaprowadził ich do swego imiennika, bo gazda, z którym się spotkali w progu, kiedy otworzyli drzwi pierwszej chałupy, nazywał się Janioł. Nie wiedzieć ino, czy z rodu Janiołów, czy go też tak ludzie między sobą przezwali. Poznali go, i on ich poznał; spotykali się bowiem często niedawnemi laty, jak na gorzeckich polanach bacował.

— To wy tu mieszkanie?

— A tu, widzicie ludkowie, moja dziedzina.

— A my myśleli, że koło kościoła...

— Dyć mie Janiołem nazywają, bo wiecie o tem, ale mie od kościoła precki odegnali. Tacy to ludzie, moiściewy, taki świat łakomy na dobra ziemskie.

Uśmiechał się, jak człowiek, który przywykł żartami odpowiadać, i rad był temu, że go nie minęli.

— Pewnie na odpust do Ludźmierza... bo kanyźby inędy?

Nawet się już nie pytał, ale kazał pasterzowi skoczyć do stodoły i narzucać na boisko łońskiej słomy drobnej dla Franka na posłanie, a dla niewiast polannego siana, jako, że młode i do pościeli twardej nienawykłe. Pasterz w mig się uwiął i wrócił do izby, powiadając, że pościel gotowa. Powstali na to z ław, ale gazda zmusił ich do siedzenia, mówiąc, że jeszcze czas na spanie, że on ino kazał wcześniej słomę przygotować, bo potem pasterz uśnie i nie miałby kto.

— Wieczerać musicie z nami, to nic nie pomoże. Nie pomoże «Święty Boże» — dodał żartobliwie i jał ich bawić powiastkami, żeby im się nie cnęło czekać do wieczery; a służącą przynaglał, żeby warzyła prędko to warzywo i pilnowała ognia na nalepie.

— Bo u mnie nima gospodyni — prawil — ani swojego dziecka. Człek ostał sam na świecie, jak ten janiół boży. Aby zeżyć to życie, niech sie ta już tak wlecze...

I opowiadał, jakie to nieszczęścia zwały się na jego głowę, a on wszystko znosił cierpliwie do ostatka. Nareszcie przewaliły się te chmury ciężkie i już od paru lat nie mu nie zasłaniało

słonka, aż dopiero kiedyś niedawno spotkało go niemałe strapienie, bo mu dwie owce zdechły.

Sluchali go pilnie i z uwagą, bo umiał opowiadać składnie i zabawnie; o najcięższych nieszczęściach opowiadał lekko, jakby to nie jego samego spotkały, ale kogoś, co na drugim końcu świata żyje.

Wieczerzali, a on im opowiadał nieustannie, wciąż. Po wieczerzy już ich nie wstrzymywał długo, sam poszedł z nimi na boisko i radził, którądy mają przejść, żeby trafili prosto na pole.

— Niech wam się tu śpi, jak może... ino czy wam nie będzie zimno?

— Mamy chustki, spodnice...

— No to ostanicie z Bogiem.

Zawarł drzwi od boiska, a oni ostali z Panem Bogiem w ciemnościach. Skoro gazda odszedł, i kroków nie było słyhać, niewiasty wybuchnęły śmiechem. Nie wiedzieć, co im się wydało śmiesznem. Może przez wieczór, gdy słuchały, nazbierało się w ich sercach tyle śmiechu, że wytrysnął sam z siebie.

Franek namacał swoją pościel, a potem drzwi do szopy na oścież otworzone. Ozwał się, żeby je naprowadzić w tę stronę, lecz długo stał i czekał, zanim bojaźliwie, czepiając się ścian boiska, doszły ku niemu. Gdy przechodziły próg, poczuł czyjąś dłoń, wspierającą się na ramieniu

jego... Drgnął mimowoli, a Hanka się rozśmiała i zapytała cicho:

— Boisz się strachów?

— Nie.

— A jakby strach do ciebie przyszedł?

— To niech przyjdzie...

— Hanuś! — ozwała się Zośka — kany-żeś ty? Póđź, bo inaczej bedziesz skraja leżeć, nie w środku...

— Ja wolę skraja! -- odrzekła, przytulając się do Franka, lecz, zanim ręce podniósł ku jej włosom, wywinęła się, i zaszeleściło tylko siano, jak odeszła w mrok.

Franek stał jeszcze chwilę, a potem wrócił na swoje posłanie. Przeżegnał się krzyżem świętym i opadł na słomę.

Słyszał, leżący, brzęk dalekiej gwary, zawieranie drzwi i szepty coraz cichsze za ścianą, bliziutko... Szuściąco coś, jak liście uschniętej osiny. Za chwilę szepty ucichły, a podnosiły się oddechy coraz dłuższe i wyraźniejsze i coraz więcej jednostajne, wpadały w uszy, jak miarowe suwanie suknianych wałków po ostrym stole.

Posnęło wszystko, a on czuwał, niechcący, bo nie mógł usnąć. Odleciało go sspanie doznaku. Czuł jeszcze gorąc jej przytulonego ciała, jak rozpalonego na słońcu mchu... Dreszcz go przebiegał i coś dusiło za gardło. Nie mógł się nijak

opamiętać, co się to dzieje z nim. Starał się gwałtem zająć myśli czem... lecz nieporada. Mgła zachodzi na oczy i osłania wszystko pomroką szarą, gęstą. A z po za mgły Hanusia wychyla głowę ku niemu, zbliża się i przytula... Piekący płomień obiega ciało jego...

Wstał, odrzucił płaszcz od siebie i dygotał cały, ale nie z zimna; zdawało mu się, że potoki ognia płyną przez żyły i krew... Myśli jakies spragnione, głodne, krzyczały w niebogłosy, szarpały się, jak psy na łańcuchu, i wyły głośno, przeraźliwie, jak jesienny wiatr. A w piersi płomień szalał. Popielił, jak liście suche, wszystkie uczucia młodzieńcze i przepalał do granic białego żużla pragnienie twórczej miłości. Czuł, jak płomień ten wzmaga się w piersiach, rośnie, przechodzi do głowy, zapala mózg, zalewa oczy, usta...

— Nieporada! — szepnął. — Coś straszego stać się może na świecie...

Slaniając się, namacał drzwi, szarpnął je i otworzył. Zimno owiało go z pola. Usiadł na progu, twarzą do osiedla zwrócony.

Siedział tak długo, aż odrętwiał cały.

Wtedy powstał, zawarł po cichu drzwi i ułożył się na posłaniu. Czuł się trochę zmęczonym, ale jak zwykle po całodziennem skłopotaniu i dalekiej drodze. Jak codzien prawie, gdy się układał do snu, tak i teraz: wróciło mu falą dzienne

życie od samego rana, od świtu, kiedy wyгнаł owce w pole na konieczyne. Potem już od śniadania nie mógł sobie przybaczyć dokładnie wszystkiego, co w izbie zaszło, ino to se jeszcze zbaczył, jak «byczy ozór» zachodził go zręcznie bokiem, ale po głupiemu, i on wnet poznał, że to nie kto inszy, ino Suhaj wysłał tego rajcę na przeszpiegi. Potem, jak rozgniewany wyszedł w pole i spotkał Hanusię, a ta go namówiła... Prawda, jutro odpust... I on poszedł, jak Pan Bóg przykazał. No, no. Ale to jagnię tak patrzyło, że trudno... nieporada nijak było zostać. Zresztą nie ma czego żałować — Tatry... Tu najdłużej zatrzymały się jego myśli. Widzi je dobrze, jeszcze lepiej, niż tam z tego wierchu. Stoją takie potężne, jakby samemu Bogu groziły postawą swoją... Olbrzymi mur... Niebotyczne wieże krwawe czerwonych kościołów... Tatry!... Co to ma w sobie, że powiedzieć: Tatry — to jakiś dreszcz na samo imię przechodzi człowieka... Co one mają w sobie, że tak ciągną oczy i duszę porywają ku sobie. Chciałoby się tam lecieć... królować... panować... jak ten orł nad nimi króluje. Dziwne wstrząsnęło nim uczucie, kiedy myślał o tem. Jakaś moc, nie z tego świata, dotknęła ręką czoła jego i znikła. Skądś zna tę moc nieznaną... przypomina... daremno! Odeszła pamięć... i wszystko... i Tatry się rozwiały w mgłę...

Usypiał prawie, kiedy coś zaszeleściło i spło-

szyło sen. Poruszył się i zbaczył se odrazu, że na słomie spoczywa... w Janiołowej stodole... na boisku. A tam, za ścianą śpi Hanusia... tam Hanusia śpi. Przyłożył głowę do pościeli, ale nie mógł usnąć, a wciąż mu się zdawało, że coś szeleści słomą.

— Pewnie myszy... bo cożby inszego? Musi tu być mocki tego narodu. Że też nie chowają kota... Dziwaczni ludzie. O, znowu!... Nie dadzą spać... doznaku wybijają czleka ze snu... A niechże was jasny koty!...

Słyszał teraz wyraźny szmer po ścianie.

— I po ścianach łażą... Coby nie! Bestje mają przemyśl w nogach... I po szybie wyjdzie, jak jej o to będzie chodzić, żebyś ty nie spał... Ale to dziwna... Nie... to chyba nie mysz...

Usłyszał suwanie słomy, jak suwa się stopami... Podniósł głowę i patrzył szeroko otwartymi oczami w ciemność, ale nic nie mógł rozpoznać, nawet cienia... Czuł jednak, że ktoś tu jest... i stoi niedaleko... blisko... bardzo blisko.. Oddechu nie słychać — ale słychać wyraźne uderzenia serca czyjegoś.

Wyciągnął ręce w mrok — i napotkał w mroku ręce, wyciągnięte ku niemu...

VI.

Odpust w Ludźmierzu ściągał rzeczywiście moc narodu, jak Błażej opowiadał, bo przypadał w tym czasie, kiedy wszystko w polu rośnie, dojrzewa, nic się nie sieje, ani też nie zbiera, nie ma robót naglących, a ludzie zabijają czas śleobodny poprawianiem plotów.

Tembardziej tego lata naszło się ludu mocki, bo deszczu niema, jak łońskiego roku, pogoda biała, czas przepiękny.

— Matka Boska zawczasu uprosiła u Pana Jezusa, by na Jej święto słoneczko świeciło — powiadają ludzie, wierząc święcie, jako że łońskiego roku musiała se doznaku zabaczyć, że to Jej odpust w Ludźmierzu przypada, i nie udała się zawczasu do Synaczka Swego, aż nazajutrz we święto, a trudno było chmury wstrzymać, jak już od Tatr szły.

— Nie dziwota, w niebie zawdy jest o czemsi myśleć... Tyle narodu biednego! Mościewy...

A przybaczyć niema kto, bo i święci nie próżnują.

— Tego lata musiał Im zbaczyć święty Marcin, bo jego odpust był koło Ludźmierza. I jemu sie ta czasem zwartnie raz do roku święto.

Kto zbaczył trudno dociec — dość, że słonko dogrzewa od tygodnia blisko. Wywołało ludzi z chałup i ściągnęło ich na odpust. Z dalekich stron poprzychodzili, nie mają się nawet kany podzić, bo kościół nie pomieści w sobie tyle narodu. Na polu stoją, na cmentarzu, a jeszcze im za ciasno.

Cały trawnik przedkościelny, to jak obszerne pole, gęsto zasadzone kapustą, gdy główki się pozawiażują i, nie mając miejsca rósć swobodnie, rozpierają się wzajem i gniołą. Ścisk taki, że kości trzeszczą i, zdaje się, każdy musi być splaszczony doznaku. Lud między murem, a ścianą kościoła, stoi jak las w dolinie wąskiej pomiędzy dwiema górami, które się schodzą i przyciskają ku sobie: gałęzie kruszą się, jak źdźbła, pień do pnia przystaje szczelnie, tworzy się zbita warstwa stojących prosto drzew.

Tak doznaku stoi lud pątniczny na kościelnym trawniku cmentarza. Ani drgnąć, ani ręką ruszyć! Najgorzej tym, co przywykli schylać się i klękać na każde zawołanie dzwonka, bo nie mogą zgjąć kolan, ile razy dzwonek się odezwie.

W mniemaniu swoim grzeszą strasznie i trapią się tem srodze.

Na szczęście dla nich suma się kończyła i procesja miała wyruszyć niezadługo.

Mali chłopcy i niedorostki, których bolało, że nie nie mogą widzieć, ani procesji, ani księży, ani odpustu, ino plecy stojących przed sobą, poczęli się wysuwać i pływać pomiędzy nogami, kierując się na domysł ku najbliższym drzewom, ku lipom i kasztanom, rozgałęzionym szeroko. Niejednego spotkało brzydkie słowo, niejeden ugrzązł i nie mógł się wydostać z ciżby, ale większość doparła swego. Wnet rozłożyste drzewa poczęły się chwiać, a konary trzeszczeć niepokojąco. Niejeden też, stojący pod kasztanem, począł cicho odmawiać »Kto się w opiekę odda Panu swemu« z tą niedużą przemianą, że gdy przychodziło mówić: »W cieniu tych skrzydeł uleżysz bezpiecznie« każdy wołał powiedzieć wyraźniej: »W cieniu kasztanów ustoisz bezpiecznie«, i już był pewnym, nie bał się wypadku. Choć się zdarzały... Paru chłopców zleciało na głowy stojących w pobliżu, ino wiadomo, czy ci odmówili »Kto się w opiekę«, bo jak nie, to tych, którzy w opiekę oddali się Panu, spotkał oczywisty cud...

Szkoda, że ojców jezuitów nie było na tym odpuscie; sprawdziliby naocznie i zapisali w księgach swoich dla większej chwały Bożej... a tak —

przeszło, minęło, jak tysiące innych cudów, i nikt się o tem nie dowie.

Za murem, okalającym dookoła cmentarz, pełno było gawiedzi, ciekawszej obrazów, które handlarze porozkładali na stołach, niż odpustu. Dopiero, jak dzwony się ozwały i śpiew potężny wybiegł poza cmentarz, wszystko poczęło biedz do furtki, wylazić na mury, lub stermać się na drzewa, by na swoje własne oczy ujrzeć procesję, porachować dużo księży i narodu pójdzie.

Niedaleko stało parę smreków śmigłych i wysokich. Jednego z nich dopadł chłopiec kilkunastoletni i począł się wspinać po nim, radując się naprzód, jak to z wysoka będzie dobrze widać calutenki odpust i wszystko. Na nieszczęście gałęzi nie było u dołu — jedna jedyna gałązka w polowie smreka, a reszta u samego wierchu. Ale on się nie zraża, dobywa wszystkich sił i, choć mu się dłonie oślizgują, pnie się gwałtem do góry. Pot mu zalewa oczy, żyły na rękach poczynają boleć, czuje, że słabnie z każdą chwilą...

— O najświętsza Panienko! — szepce żałośliwie — żebych wylazł do hańtej gałązki, tobych ci już zmówił sześć pacierzy...

Pnie się, wyteżę wszystkie siły — wylazł. Siadł na gałązce, odetchnął głęboko...

— No, kiedych już tu — mruknął, pewny

siebie — tobych ci głupi był sześć pacierzy gadać...

Nie domówił jeszcze — gałąź się urywa — chłopak bęc! na ziemię, i leży...

— O Najświętsza Panienko! — zawołał z wyrzutem — jak sie też Ty na śpasach nie znasz! Edyc bych Ci był i siódmy dodał...

Odchodząc od tego smreka, przeklinał go w sercu, i ani mógł pomyśleć, że na tym przekętym smreku cudownie się objawiła Dusza podhalańska.

Tymczasem koło kościoła procesja szła falami, lud jęczał, jak morze. Potężne chóry tyśiąca organów zlały się w jedno, spłynęły ze sobą, i powstał chór, podobny halnemu wiatrowi, który lasy pochyla, jak trawę na łące, gniesmreki, ścina jedle, skały przed sobą toczy i pędzi, zrywając dachy, z piekielnem wyciem na doliny, gdzie pada z jękiem na ziemię, wybuchaszalonym płaczem i w obłędzie żalości strasznej umiera.

Gdy zaczęto bić we dzwony, to ziemia dudniła i niebo dygotało, jak błękitna chusta, a doliną nowotarską szedł pomruk daleki. Za każdym uderzeniem dzwonnych serc -- pochwili jęły — boleśnie Tatry...

Wśród tych hymnów rozgłosnych i dzwonów i jęków płynęła rzeka ludzka cmentarzem kościelnym. Fala głów, odkrytych w słońcu,

kłębiła się zwolna; zdawało się, patrząc z nieba, że to nieprzeliczone stado czarno-stręczystych owiec, zegnanych w ciasny wąwóz, tłoczy się i kłębi.

Niedaleko furtki, w zagłębieniu wązkiem cmentarnego muru, stał Franek Rakoczy. Fala go wyniosła i wypchnęła na brzeg; nie miał już ochoty płynąć dalej, przywarł plecami do muru i oparł się przemocnej sile żywiołu. Ani drgnął, jak się żywa ściana ludzi o niego ocierała. Stał mocno, jak pień wysoki wierzby, wyrosłej na brzegu; rwąca woda podmulila brzeg, zabrała ziemię, lecz pnia nie mogła ruszyć, bo korzeniami wrósł do skały i trzyma się mocno. A jak podczas powodzi rzecznej fale wynoszą na ramionach, okrytych pianą, spróchniałki wierzb i młode drzewka i ostawiają je koło pnia przy brzegu — tak z tej powodzi cmentarnej narodu wynosiły fale często zgrzybiałe kobiety, dzieci i niedomorki, ostawiając je przy Franku w zagłębieniu wązkiem. Wnetby go ta rzeka ludzka doznaku zamulila. Na szczęście procesja się skończyła i chorągwie pochylały się, znikając we drzwiach kościelnych.

Franek, choć sięgał ponad głowy ludzkie, stojąc na miejscu wyższem od cmentarza, wspiał się jeszcze na palcach, by znaleźć niewiasty swoje, które mu się straciły z przed oczu i utonęły w ciżbie. Rozpoznałby je może po chust-

kach na głowie, ale tyle tych chustek mieniających się w słońcu, że nieporada odróżnić ich barw — tak wszystkie w jedną zlewają się tęczę.

Całą uwagę skupił w oczach i patrzył po tem polu głów, po rozkołysanej wiatrem kwietnej łące, szukając lnu, błękitem rozkwitego: włosów lnianych, połyskujących złotem w słońcu, nakrytych chustką błękitną, bo taką miała na głowie Hanusia. Pamięta dobrze. Poznałby tę swoją główkę pomiędzy tysiącami. Częstoć jednak ludziły go oczy, zdawało mu się bowiem, że ją widzi, jak ją fala niesie.. Wówczas wyciągał ręce, jak ten pływak, gdy ma się rzucić do wody, i chciał płynąć przez ciżbę, rozbijając fale piersią — lecz, po bliższem wpatrzeniu się, poznawał prędko, że się myli... Przecie to nie ona. Jak mógł o takie rude włosy posądzać Hanusie? A gdy jeszcze przypadkiem twarz błysnęła pod słońce i zalśniły w niej szklane, głupie, rybie oczy, to się złościł sam na siebie i martwił się wielce, że niechcący taką przykrość sprawił swej niewieście.

I na nowo jej szukał, wypatrywał oczy, śledził pomiędzy głowami, napróżno. Fala za falą przechodziły zwolna, lud się tłoczył, rozbijał o drzwi kościelne i wpływał do wnętrza. A jej nie było widać... Reszta narodu ostala na cmentarzu. I między tymi jej niema... Gdzieby się podziała? Począł się już niepokoić o nią. O to-

warzyszkach nie myślał na razie, dość miał już jednej biedy z tem utrapieniem.

— Po co to lezie w ciźbę? Wiecznie ta natura jagnięcia. Zapląta sie, i szukaj, i trap sie człowieku...

Trapił się srodze, bo nie widział rady, jak ją odnaleść w tej ciźbie.

— Wolać na głos nie wypada, juści, że nie wypada. A tu inaczej nie poradzi, na nic wszystka moc człowieka. Choćbyś i zaklął na wszystkie świętości, nie usłyszysz. Daremno, trzeba czekać, aż sie ta fala ludzka nareszcie przewali. Mogliby już raz skończyć te ceremonje...

Inaczej odpust wydawał mu się, gdy ona stała przy nim. Kazania wprawdzie nie usłyszał, bo czasu nie było, ale dzwony i śpiewy i to morze ludu kołysały jego duszę, jak to pole zboża, gdy wiatr powieje od południa gorący i parny, a na powiekach sen zacięży, dziwnie rozkoszny sen. Teraz jeno wyczekiwał, rychło się ta ława ruszy, ta szeroka ława pleców i nierównych głów.

I turbował się w sercu o całość tej odrobiny, którą mogą zatarasić w tłoku, że ani piśnie. Bo to przecie nie śpas! Tyle narodu, jak się zgruchnie... Matko Ludźmierska!

Modlił się szczerze i gorąco do cudownego obrazu, prosząc o łaskawą opiekę nad swoją Hanusią. Uspokoił się trochę, gdy przybaczył,

że ona ma przecie koło siebie towarzyszki obie, które, jako starsze od niej i na odpustach doświadczone, ochronią ją od ścisku i uprowadzą z ciżby, tem chętniej, że i własne bezpieczeństwo będą mieć na oku.

— A może poszły do spowiedzi? — przyszło mu na myśl i zadziwiło niepomalu, że na to nie wpadł prędzej. — To najpewniej, że przy konfesjonale jakim ślęczą, a ja się tu trapię, szukam... To zawdy tak bywa. Niewiasta, jak ci się z przed oczu straci, to jej nigdzie nie szukaj, ino w przedsionku piekła, abo nieba. Przysięgać można, że ją tam napotkasz.

Widział w myślach jej głowę, pochyloną przed kratą, i te oczka niebieskie, a takie jaśniejące, że samego Pana Boga mogłyby oszukać. — Z czego się to ma spowiadać? — pomyśli sobie ksiądz, kiwnie palcem i zawoła ku sobie. A słysząc przewinienia, które nawet w najostrzejszym kościele za grzech nie uchodzą, jako, że dzbanek stłukła, idący po wodę, albo rozmaryn utopiła w lesie na potoku (bo one od tego zawdy zwykły rozpoczynać), przerwie i, nie słuchając dalej, da jej rozgrzeszenie. A jak się zapłacze sama, i spowiednik zmiarkuje, że nie o ten dzbanek chodzi, ani o to mleko, wtedy zaprze się serdecznie i w skruszeniu serca całutką winę złoży na drugiego, malując go tak czarno, jak dusze białe malują

djabła na obrazie. I tak chłopcze, tyś winien, odpowiadaj sam przed Panem Bogiem, a ona się oplucze łzami i wyjdzie taka czyściuteńka, jak biała gęś z wody.

— O niewiasty! niewiasty! Pan Bóg już nieraz musiał pożałować i zabiadać w sercu swoim, że nie przespał godziny, kiedy stwarzał ten okpiśny naród. Wieczne utrapienie człeka i nic więcej.

Ale czuł równocześnie, że bez tego utrapienia płone by to życie było i strasznie jednakie. O tyle i Adamowi lżej było chodzić po tej smutnej ziemi, że mu przecie Ewa czasem przypomniła raj... No, a choć i piekło czyste zbaczyła mu niekiedy, to dla ozrywki, by nie wsze jednakowe miał wspomnienia.

Tak se Rakoczy przemyślał, stojąc, to o raj, to o różnych oszukaństwach niewieściego rodu, aby jeno czas przeszedł i przeleciała ta chwila rozłąki, bo mu się zdało, że już rok blisko mija, jak ją stracił z oczu. Tak mu się ten czas dłużył, tak się ogromnie powoli ślimaczył.

Nie jemu tylko, widać, bo i ludzie stojący obok pozierali dość często głodnemi oczyma ku bramie, wyczekując uważnie, rychło ksiądz pobłogosławi naród stojący w kościele.

Nagle organy zahuczały głośnie, wszystkie dzwony uderzyły wraz, i cały kościół zatrzęsł

się w posadach od przepotężnej pieśni: »Święty Boże!«...

Poleciało jak wicher po lesie.

Pochylily się wszystkie głowy, jak wierzchołki drzew, ku ziemi — jak zboże, ścięte burzą, runął pokotem lud — i słychać było jeden jęk olbrzymi, jeden płacz rozdzierający powietrze. Jakoby ziemia jęczała w dzień sądu, jakby się morze rozplakało głośno...

Suplikacje korne śpiewał naród wszystek, i wszystkie serca dygotały razem, tarzając się w prochu ziemskim, u stóp Wszechmocnego.

Rakoczy stał pochylony, jak smrek wiszący nad ziemią, nie mogąc kolan zgiąć z powodu ścisku, i szedł przejęty całą duszą w ten rozjęczały bór, którego krańce zdają się opierać o brzegi wieczności, a w głębi, w cieniach dębów starych błyska piorunem Bóg...

Zawsze ta pieśń, śpiewana tysiącami piersi, wstrząsała nim do głębi i czyniła wrażenie jakoby strasznej prośby ziemi, grożącej niebu swoim bólem — tak, że On musi uleść tej prośbie jękliwej, choćby...

Wierzył w to, całą duszą wierzył, z wielkiem przejęciem śpiewając tę pieśń.

Śpiew przebrzmiał i przeszedł prędko, jak naremna burza, która jeszcze w oddali grzmi, ale już cicho, coraz ciszej, aż nareszcie ucicha doznaku. I jak wysokie trawy, zwalone ulewą,

prostują się po odejściu burzy i otrzepują rosy z ocieźałych liści — tak ludzie wolno powstawali z ziemi, otrzepując proch z odzienia swego.

Nabożeństwo się skończyło.

Rakoczy ruszył z falą, płynącą do furtki cmentarza, cudem wy dostał się na zewnątrz i stanął z boku, by mó dz widzieć każdego z wychodzących i zatrzymać niewiasty swoje, skoro wyjdą. Ale to niełatwo było zatrzymać śledzące oko na każdym z osobna; ludzie bowiem kłębili się i kotłowali w ścisku, wyżsi plecyma zasłaniali niższych, niewiastom ledwie czubki głów i chustek było widać; ginęły w tłumie, i czasem tylko zamigotały chustki ich jaskrawsze, jak potracone jaskry w leśnej młace, zarosłej gibrzyną ciemną, podobną kołyszącym się wysoko pręciom.

Większa część narodu wyszła i rozsypała się po kamieńcu. Rakoczy niewiast swoich nie zobaczył. Niecierpliwość go żarła, nie mógł już ustać na miejscu, bo mu się zdawało, że przeszły i na niego czekają pewnie kanyndziej. Poszedł więc po kamieńcu, daleko swobodniej, bo się lud przerzedził znacznie, i patrzył dookoła, wypatrywał pilnie, czy której z nich nie dojrzy między niewiastami. Ale same obce twarze napotykał w tłumie. Gniewało go to więcej, niż trapiło.

— One tu przecie muszą wyjść. Nieporada,

żeby dzień cały w kościele siedziały. Jużbych na ten czas sto odpustów uzyskał, zabrał je do torby i zaniósł na sam wierch Obidowca. A te siedzą. Wymiarkowania żadnego. Jak dopraśnie obrazu, toby ślęczała przed nim trzy dni i trzy noce. Niech się chałupa spali, niech ludzie poschną z turbacji o nią, nie ją to nie obchodzi. Z takiej wiary ani niebu żadnej korzyści, ani piekłu. Bo żeby się to modliły, jak dusze myślące, ale nie! Paciorki i paciorki, wiecznie te paciorki. Taki sam pożytek z przesypowania piasku, abo z rachowania ziarn na popróźnicy. Ale śmiej powiedzieć głośno, to ci od heretyków bądźkto nawymyśla. Bo każdy ino wtedy święty, jak o cudze sumienie idzie.

Nie myślał też głośno, bo i zresztą nie tak mu chodziło na razie o te pacierze, jak o Hankę. To go pocieszało tylko, że razem są, a siostra, jako starsza, dopilnuje przecie, by się jego utra-pieniu krzywda od ludzi nie stała.

— One tu przecie muszą wyjść... — powta-rzał i snuł się pomiędzy ludźmi, wypatrując oczy. — Żeby spotkać jakiego człeka od nas...

Ale nie widział nikogo z Przysłopia.

Za to miał czas przypatrzeć się, i zblizka, narodom okolicznym, czego nie zaniedbał, skoro go już opuściła gorączka szukania, bo nie trafi się tak prędko sposobność widzenia tyłu razem

zebranych narodów, o których się jeno ze słuchu wie i z opowieści.

Oto idą Zakopiańcy: naród strasznie chytry, umiejący i diabła samego oszukać, jakby tego trza było koniecznie. Wysoko się niesą po nad głowy, pamiętają, widać, jeszcze owe dobre czasy, kiedy to Luptów drżał przed ich potęgą, a narody podhalańskie czuły ich przewagę i podziwiałały ich jastrzębią drapieżność i siłę. Teraz jakieś kupiectwo ich opanowało, chciwość ludzka na pieniądze, i zmaleli przez to...

Rakoczy z ciekawością patrzył na tych ludzi, których dziady i ojcowie po dziś dzień są w pamięci narodu.

— Harne chłopcy, na pozior, umieją się trzymać ostro, ale to nie tamci... Ho! Zbójnickiego mało w nich ostalo. Jakaś dziwna letkomyślność wyziera im z oczu. Djabie sztuczki jeszcze, widać, drzemią w ich naturze, ale na herszta u żadnego nie widać przymiotów...

Mysząc to, poczuł w sercu, że jednak radby nimi przewodzić.

— Zawdy to przecie krew zbójnicka, chłopcy, jak te smreki. Ino człowieka niema między nimi...

Idąc dalej, spotykał Podhalańców z różnych miejscowości, jednakich prawie co do wzrostu, różniących się jedynie barwą przyodziewku, po którym też poznawał, skąd którzy pochodzą.

Wyraźnie mógł odróżnić ludzi: z Poronina, z Dunajca, z Klikuszowej i z Nowego Targu. Wszystko to chłopcy śmigłe, prawdziwie na podobieństwo i obraz Boga stworzone.

Tuż pod ratuszem-karczmą ujrzał ludzi nie obcych, a przecie mało znanych sobie, którzy go już przy kościele zdziwili odmiennością swoją. Byli to gazdowie sami, biali od starości. Rzędem teraz siedzieli na ławie pod ścianą i nieruchomo patrzeli przed siebie. Powaga jakaś od nich szła naokół. Ludzie stojący zblizka nie mówili głośno, lecz przyciszali głos podobnie, jak w sieni kościoła.

Zdawało się Rakoczemu, gdy obaczył ten siwy rząd zmartwiałych doznaku ludzi, że widzi oto na jawie zaśniętych ojców narodu, władków, o których dawne gwarzą opowieści.

Rad był przecie usłyszeć, kto oni są, skąd przyszli, i jak się tu znaleźli pomiędzy żywymi. Zbliżył się do gromady stojących i spytał:

— Nie wiecie, moi ludzie, kto są ci gazdowie, co hań na ławach siedzą pod ratuszem?

— A to wy ich nie znacie?

— Nie...

— Chochołowscy!

Rakoczy uchyleniem kapelusza podziękował za to wielkie słowo i odszedł wolno, w takim zamysleniu, jakby się znalazł w kościele pa-

miątek, gdzie wszystko przypomina coś i dumać każe.

— Chochołowscy — powtórzył — chochołowscy chłopi...

I ujrzał w myślach tę samą gromadę, krzepką jeszcze i zdrową, podkładającą śmiało smolne szczyпы pod wilgotne ściany gmachu, nasiąknięte krwią...

— Nie zajęło sie... a szkoda! Buchnąłby ogień taki straszny, żeby go stu Florjanów świętych nie ugasiło...

Zaszedł bliżej ku ławom i oglądał ich zbliżka, by sobie dobrze i na długo w sercu zapamiętać ich omszałe, kamienne, szare twarze... Siedzieli wszyscy nieruchomo, a on stał przed nimi z uczuciem świętej i smutnej zadumy. Podobne uczucie rodzi się tylko w sercu topniejącem na widok trumien otwartych, w których spoczywają ludzie ongi mocni i sławni z wielkich czynów.

I długo stał przed nimi w zapatrzeniu ciężkiem, i nie umiałby wypowiedzieć, co mocniej serce jego wzrusza: cześć dla tych zaśnieżytych wiekiem, omszałych postaci, czy żal serdeczny, że już nie ożyją...

Odszedł powoli między ludzi z pochyloną głową i długo nie mógł przyjść do siebie; a gdy usłyszał gwar dokoła, i śmiech uderzył w jego

uszy, przezdało mu się, że trafił na jarmark, wychodząc prosto z cmentarza.

— Żyli i przeszli... I wnet już o nich wspominku nie będzie. Coraz mniej ludzi na tym świecie. Owczarnie się mnożą...

Chodził długo i bląkał się pomiędzy tymi ludźmi, jak pasterz, chodzący pośród owiec w obszernym koszarze. Zabaczył nawet, kogo szuka, czego wypatruje. Dopiero głos znajomy ocknął go i zbudził.

Obejrzał się za siebie i obaczył dwóch chłopów, znajomych z Przysłopia. Pozdrowił ich i spytał, czy nie widzieli kany jego siostry, abo jedynaczki wójta, starego Suhaja.

— Ho! Dawno poszły! — odpowiedział jeden. — Kompania przysłopska już będzie na wierchach...

— Jakto? Widzieliście na swoje oczy?

— Przecie nie na cudze, chwała Bogu... Cała kompania wyruszyła zaraz po sumie.

— Jakże ja mógł przeoczyć?

— Ha, to już nie nasza wina, Rakoczeńku drogi. Musiałeś chyba na dzwonnicy wypatrywać Hanki.

Franek żartu nie słyszał, tak był zaskoczony tą wiadomością.

— Poszły i nie czekały... A ja szukam, chodzę. A wy — zapytał — czemuście ostali, skoro kompania...

— Kompania sobie, a my sobie. Tu nima przymusu. Ktoby zresztą na odpust chodził, jak po ogień? Odpust, jak ma być, to już niech będzie zupełny. Prawda kumotrze? Co se mamy żałować? Pódz z nami i ty, Franuś, do ratusza! Postawisz choć ze dwa słupki...

Franek widział, że obaj są już po kilkunastu słupkach, i nie dużo im brakuje do zupełnego odpustu. Wymówił się też prędko i stracił się im z oczu.

— Juści — pomyślał — inędy nie poszły, ino przez Nowy Targ i Turbacz, bośmy wczora uradzili tamtą drogą wracać. Trza iść wartko, może ich jeszcze dojdę...

I, nie namyślając się długo, ruszył prosto przed siebie.

Ominął wnet gromadki stojących za kościołem i podał się w otwarte pole, szukając oczyma chodników, którymiby najprędzej można zajść do miasta. Wypatrzył je i zboczył ku nim — i szeleściły ino dźbła trącane, jak szedł ścieżkami wśród zbóż.

A w głowie jeszcze huczały mu dzwony, śpiewała procesja, ale coraz ciszej, i coraz dalej i dalej... Jakgdyby echa przytłumionych głosów, szły melodje od pól.

Ucichły wreszcie. Natomiast mgła wysunęła się przed oczy i cofała się przed nim, albo nikła, by za chwilę wyjść. W tej mgle białej,

widmowej, przezdawały mu się obrazy, jak we śnie...

... Oto gromada jakaś wyszła ze wsi — pędzi polami, jak wiatr. Podnoszą się do słońca harne czola — i widać twarze rozognione, a w oczach błyskawice. Lecą powietrzem prawie, nie dotykając ziemi — włosy każdego płoną, jak archanielski miecz. Zboża i trawy przed nimi kładą się, jak podcinane kosą, cichym pokotem wzduż. Słońca w górze nie widać — zakryła je ta chmara — ino łunami od zachodu rozwidnia się świat...

Przelecieli. Jeszcze kiedy niekiedy we mgle lyskały płomienie, ale i te wnet pogasły. A idącemu wartko ścieżynami zaszedł przed oczy nowy obraz...

...Oto idzie od kościoła orszak dziwnie biały. Wszystkie postaci pochylone, z odkrytymi głowami o włosach długich, powikłanych, ośnieżających czola blade, szyje i ramiona. Widać twarze zastygłe i martwe, bez kropli krwi, i oczy mgłą osłonięte, bez światel patrzące, jak szare, zimne grudki ziemi zlodowaciałej. Taki smutek beznadziejny wieje od tych ludzi, jakgdyby szli za pogrzebem swoich własnych dusz, albo gromadnie grzebli swój wiek młody, swoją straconą Sławę. Smutnym orszakiem zdażają na wzgórze, gdzie rosną gęste jałowce i szarzejają krzyże...

Rakoczy stanął, przetarł oczy, które pot zalewał. Nijakiej mgły, ni obrazów, ni cmentarza blisko... Zdało mu się jeno, widać; a przecie, gdyby kazano, wahałby się przysiądz, że tej mgły i tych obrazów nie widział na oczy.

— Kto wie, może to ich duchy potracone tak wojują we mgle, kiedy ciała ich tymczasem wleką się na cmentarz.. Oj, Chochołowscy! Mogliście wy już nie wracać do swoich dziecin — trupami.

Długo jeszcze wolne dumy plątały się koło tych postaci widzianych pod ratuszem. A że nareszcie serce jego, skąpane w dolinie słońca i rozświeconych zbóż, pozbyło się zalatujących od zaświata smutków, tem łatwiej, że i własne nieuśpione strzegły.

Rakoczy dość nierzadko pozierał ku Turbaczowi, to na bliższe wierchy, to na dół, jakby się spodziewał ujrzeć kogo i poznać z takiej oddali. Widział w dolinie ludzi zdążających ku miastu, ale ci już zdaleka wyglądali obco. Poza tymi nic, nikogo, nawet zająca w polu.

— Coby ci czekała. Poszła z całą kompanią i ani pomyśli, że tam może kto sam idzie...

Pocieszał się tem, że, idąc wartko, dojdzie kompanji, która w cieniach odpoczywa nieraz i godzinę, a wtedy powie Hance! Choćby jej nawet przykro było słuchać...

— Niechta. Niech nie ucieka przedemną...

Zbaczyła mu się odrazu ostatnia noc. I wyrzuty po jednym ginęły, jak ćmy przy świetle — jak krople na spalonym od słońca kamieniu, wysychał prędko żal.. Baczył jedynie na to, jak ona bardzo musi go miłować, że bez pamięci na wszystko..

— Drogie moje skarby! — wyszeptał cicho.

Lecz niepokój nadleciał i powikłał szczęściu pióra, zamącił przezroczysty staw pamięci słodkiej. Wyrzuty, które sobie czynił dziś rano, nie odeszły, ale, perswazjami zcichłe, ozwały się na nowo.

— Trza było przecie mieć rozum za siebie i za nią..

— Łatwo to gadać potem — odpierał wyrzutom. — Jak się już serce rozjarzy, to na nic wszelkie rozumy! Wtedy świat maleje w oczach, i ziemia się traci, człowiek o wszystkim zapomina.

— Może być z tej niepamięci niemąla bieda..

— Ja się tej biedy nie lękam. Bedzie, to moja, nie czyja... rozumiesz palko?

I, nie czekając odpowiedzi, dodał:

— Ona już odtąd moja. Niczyja, ino moja, moja! moja! Na całe życie! na wieczność!..

Zgnębił doznaku wyrzuty, które też pomilkły. Jasny baldachim błękitu rozpostarł się nad jego sumieniem. Nic go już nie chmurzyło.

Z lekkim sercem przebiegł most na Du-

najcu, ominął miasto stołeczne Podhala, i zawahał się na chwilę, którądy ma iść. Wybrał, jako i poprzednio, krótszą drogę przez pola i poszedł ścieżynami pomiędzy owsy, bo inne zboże tu nie rosło, ino jeden owies. Stoki się już poczynały połągą uboczą.

Niezadługo zszedł się z jezdnią, kamienistą drogą i obaczył przy niej, po obu stronach stojące, odymione szatry. Zdaleka poznał cygańskie osiedle, zwane pomiędzy ludźmi Kowańcem. Ciekawość go popchnęła zobaczyć nacznie, jak oni se tu gazdują, ci wieczni latawce. Postanowił przejść uważnie przez całe osiedle,

Jeszcze nie doszedł pierwszej z dołu szatry, kiedy chmara czarnych dzieci zgruchnęła ku niemu, otoczyła go z jękiem i lamentem, i nie ustąpiła, dopóki się nie opłacił monetą drobną. Wtedy kędzierzawy drobiazg rozbiegł się czempredzej, łyskały ino strączki włosów z poza węgiel szatr.

Za chwilę wybiegł na drogę smukły wyrostek, a obaczywszy obcego, stanął i poczekał, aż Rakoczy do niego doszedł. Wówczas, jak długi, padł na ziemię i począł skomleć, całując raz po raz kamień przed jego stopami. Rakoczego przykro uderzyło to płaszczenie się poddę, i ominął go prędko, idąc dalej.

Przybaczył sobie cyganów, których widy-

wał w Przysłopi. Zbaczył sobie i tego, który do nich zachodził. Szwagier, jako wierny katolik, przy czasie uczył go pacierza. Co się ten z nim nakłopotał! Zwłaszcza przy »dziesięciorgu przykazaniach«. Szwagier powiada wyraźnie: »Siódme: nie kradnij«, a cygan powtarza za nim: »Siódme: Żyj jak możesz«... I nijak nie mógł z nim poradzić. Wreszcie dał spokój.

Widział, że ci osiedleni żyją jak mogą, ale za to robią twardo, ciężiej od chłopów. Przecho-
dząc, widział w sieniach mężczyzn, kująco-
żelazo, kobiety, warzące strawę w dymiących
kotłach. Nie zwracali na niego uwagi, jak to
bywa w cygańskim zwyczaju; każdy pilnował
swej roboty, nie podnosząc głowy. Chciał się im
przypatrzeć z bliska i stanął w progu jednej
szatry. Cyganka na ziemi w kącie skrobała
ziemniaki; przy niej pelzało na raczku gołe cy-
ganie. Stary cygan — mąż, czy ojciec — stał
przy nalepie, lewą ręką poruszał miech, a w pra-
wej dzierżył młot i patrzył w ogień.

— Coż to robicie? — spytał Franek.

Cygan, zamiast odpowiedzi, wskazał młot-
kiem na leżący na ziemi łańcuch i ogniwa.

— To na sprzedaż?

Cyganka przykiwnęła głową.

Oniemieli w tej niewoli, że i słowa trudno
było od nich wydostać. Franek, patrząc w oczer-
niałą twarz starego, pomyślał, że tak musi wy-

glądać twarz wiecznego smutku. Odszedł, i nie zajrzał już do żadnej z szatr.

Za osiedlem opuścił drogę jezdnią i podał się w pola. Dochodził prawie pierwszej miedzy, kiedy ujrzał przed sobą zjawisko dziwnej cudności: cyganek młodą, o takim obliczu, jakie widywał nieraz we śnie. Noc i południe — pogrzeb i wesele — w jednej postaci. Spotkał ją, jak się spotyka szczęście i nieszczęście. Na dużą chwilę zapomniał o świecie, a gdy się ocknął, już pustka była koło niego, ni żywej duszy. Ino te oczy zewsząd patrzące ku niemu, te czarne oczy... Szły przed nim, jak słońca spadłe, zachodziły drogę, i nie mógł się ich nijak pozbyć. Aż o Hanusi pomyślał, wtedy dopiero znikły.

— Boże uchowaj od takiej planety! Gorsza od śmierci...

Chciał odejść spotkane widma i przyspieszał kroku, ale to się na nic zdało, bo myśli często, uparcie wracały w osiedle. Czuł, że jest w nim coś dziwnego, co go wiąże z tym narodem, jakaś skryta nić. Nie umiał pojąć, ale czuł wyraźnie, że oni mu nie są obcy, ani obojętni. Jak i teraz... Czemu zboczył, aby ich obaczyć? Przecie nie z próżnej ciekawości tylko. Oddawna lubiał ich naturę wietrzną. Jak widział w niej zło, to na świat zwałował za to winę. Świat zepsuje — powiadał — ludzie sami spodłą.

I bronił ich w sercu swoim przed najgorszym zlem.

Dumał o tem, idący, i upewniał rozum, że musi być w sercu jego cygańska przegroda, bo inaczej, cóżby go tak ciągnęło, jak do swoich.

— Nazywają nas we wsi cygańskim plemieniem. Ha, kto wie, co ta moi ojce kany porabiali... Wiekami zaszło, i pomarli, nikt się już o tem nie dowie.

Zbaczył, jak ludzie prześmiewali rodowe ich miano.

— Rakoczy, hm... Po prawdzie, trochę to nieswojo. Czemu, naprzykład, nie Lacki?

Ale zaraz zmiarkował, że to wszystko jedno. Taki baran strzyżony, jak i ogolony. O czem on też ino nie myśli! Oderwał się wnet od tych przedumywań, co mu się tem łatwiej dało, że dochodził wierchu i spodziewał się obaczyć kogo z tamtej strony.

Wyszedł — obejrzał się w około... ani żywej duszy! Ino orzeł kołuje nad czołem Turbacza. Począł teraz powątpiewać, czy tą drogą poszły. Ale zawracać stąd już nie czas. Odetchnął chwilę i poszedł po wierchu Kotlarki.

Stąd wiodła droga na Turbacz, ujeżdżona, gładka. A choć po równej szedł wyżynie, nie było mu lekko. Żal znowu go nawiedził i przyniółł skałą serce. Obejrzał się na Tatry, ale już dziś nie były takie groźne. Nawet zmalowały

przez to, że ich nic nie osłaniało, i widać było wzdłuż całą dolinę, z której wyrosły. Zalewało ją słońce od zachodu; stała się jasną, przeraźliwie białą; białość ta nużyła oczy, rozleniwiała myśli patrzącego.

Chętniej i dłużej spoglądał naprzeciw, na ziemię spiską. Ta chowała się przed słońcem w cieniu wysokich Tatr i miała piękności nowe, których był nie widział. Poznał zaraz, że te sterczące skały nad Dunajcem, to nie innego, ino Czorsztyń. A te czerwone mury, to Niedzica. Przyzierał im się długo i uważnie, zanim je stracił.

— Widziały one, te mury, niemało... Wydzwoniłyby długie historje. A taką pustką stoją dziś, jak cmentarz, który pochował wieki. Tak... Powoli wszystko się rozpada. Skały wietrzeją, żelazo się kruszy... Czemże mocniejszy jest człowiek?

Szedł w ciężkiem przygnębieniu i nie wnet opamiętał się, aż stanął na Ramieniu starego Turbacza. Obejrzał się na zachód — słońce już było nisko. Przyspieszył kroku, niezadługo wszedł na wąską Szyję i miał zejść na polanę niższą, z kąd wiodła droga do roztok. Na skępcie rozglądął się i stanął zdziwiony. Nigdy tu jeszcze nie był i nie widział, że Czolo tak nisko siedzi, prawie równo z Ramieniem.

— Zdaleka te polany inaczej się widzi. Czoło zdaje się wysokie, Ramię pochylone. Powiadają, że na Czołe jest kamień z napisem...

Postąpił w prawo parę kroków.

— Widać, rzeczywiście. Żeby to nie było z drogi...

Zawahał się chwilę. Ale zamiast wrócić na dół, poszedł po polanie. Żeby nadłożyć czas stracony, biegł po suchej trawie, ale wnet musiał zwolnić biegu, bo pochyłość rosła. Stopy oślizgiwały się po gładkiej trawie, a wyżej trawy już nie było, ino ślizki mech. Piał się teraz i widział, że to nie tak blisko, jak się zdawało z przeciwka, i daleko wyżej. Już też począł żałować, że się dał uwieść zachciance i sprowadzić z drogi, ale postanowił dojść do wierchu, skoro już tu doszedł. Pomagał sobie rękami, czepiał się badyli suchych — wreszcie wy dostał się na wierch, na równiejszą ziemię.

Sprostował się i ujrzał o kilkanaście kroków oddalony kamień czworogranny, podobny olbrzymiej skrzyni, wykutej ze skały. Z dziwnem, niepojętem uczuciem zbliżał się ku niemu. Coś go pchało i odciągało zarazem. Ale się prze-mógł — parę kroków — i stanął przy ścianie.

Uderzyły go odrazu litery duże, głęboko wryte w skałę, mchem trochę zarosłe. Wspiął się na palcach, paznokciami poomszykał mech i cofnął się nieco wtył, aby je módz odczytać.

Naraz począł drżeć cały, dygotać jak w febrze. Lęk go ogarnął taki straszny, że zbielał na twarzy. Machinalnie poruszał wargami i szeptał nieustannie:

— Lacki.. Koldras Lacki..

Nad tem imieniem głęboko wryty był krzyż.

U spodu cyfry, z których tylko dwie były wyraźne: 17..

.

Słońce zachodziło prawie, kiedy Rakoczy zstępował z Turbacza.

W twarzy jego okrwawionej nie było już lęku, ino zaduma taka ciężka, jakby do ludzi powracał z tamtego świata.



VII.

Suhaj nie chodził po odpustach, ale pilnował swojej sprawy. Hankę za to wyprawiał serdecznie, powiadając jej na odchodnem:

— Żeby ci się samej nie cnęło iść, to zajmij Zośkę...

Przeczuwał sprytem swoim, że zajmie i Francka. Nie wspomniał o nim naumyślnie, by się nie zdradzić z pragnień swoich. Najobojętniej dodał w końcu:

— Żmów ta pacierz i za mnie...

I wyprawił ją, żegnając na drogę, jako dbały o jej duszne zbawienie rodzic.

A gdy się dowiedział od Błażeja, że Rakoczy poszedł, wtedy porwał się ochotnie i począł czynić przygotowania na jutrzejsze święto. Kazał zaprządz parobkowi konia, który jeszcze nie kulał i jechać do propinacyi po ćwiartkę piwa. Głupiego Józka z osiedla wysłał po arak, obiecując mu to piwo, co się przy nabijaniu rozleje.

A sam poszedł do owczarni i wybrał barana, którego już od wiosny trapiły motylce. Przywodził go do izby, dał mu jeszcze soli, a potem powiązał mocno i własną ręką krtań poderznął. Wnet go rozodział ze skóry i począł krajać wnętrzności. Mówił przytem do Błażeja, który mu pomagał:

— Patrzenie, jakie zdrowe płuca. Mógłby jeszcze pożyć lat niemało...

A Błażej, przytakując, powtarzał nieustannie:

— Hej!

— Ino wątrąba ladaco. Wicie, jakie strzępy... Poprzegryzały doznaku. Niedługoby on chodził po ugorach.

Błażej też począł powątpiewać, czyby mógł dożyć do jesieni.

I tak dumali nad nim oba, rachując mu życie. Wreszcie zdecydowali jedno: że mógłby żyć, gdyby go nie zarżnęli.

Po ukończeniu roboty zapytał Suhaj Błażeja:

— Pójdziecie jutro na sumę?

— Dlaczego nie? Jak trza będzie...

— To idźcie. Rozejrzyjcie się między ludźmi i uważcie: Komu powiedzieć można, to powiecie, a komu nie, to...

— Ja już wiem. Mnie nie trza dużo gadać.

— Ino rodowych a letnich żeby sie zeszło jaknajwięcej...

— Ja ich ta już dopilnuję...

Zebrał się, stanął przy drzwiach i pozierał na barana, który wisiał w kącie. Suhaj się wnetki pomiarkował.

— Idziecie już? — spytał. — Zaczekajcież, weźmiecie se łeb na święto...

— O, nie starajcie się...

— Jakżeby zaś było? Pomagaliście przy zabiciu...

Podał mu łeb z kąta. Błażej myślał, że choć nogę dostanie, abo plecy... Ale dziękował głośno i przyrzekał wdzięczność aż do śmierci.

— A nie zabacicie o jutrze!

— O, nie zabaczę!

Suhaj zabrał się spokojnie do dalszych przygotowań.

Nazajutrz, o tym czasie, kiedy Franek szukał Hanki po ludźmierskim rynku, w chałupie Suhajowej było pełno ludzi. Naschodzili się, jak zwyczajnie, do wójta, przy święcie, a nawet i niezwyczajnie dużo ich przybyło. Każdy znalazł jakiś powód swojej obecności, którym się przechwalał głośno, by wszyscy słyszeli. Gwary było, co niemiara, aż izba dudniała. Suhaj był taki przystępny, jak w wilję wyboru wójta. Ga- dał z każdym, kto przyszedł — bogaty, czy biedny — choć, prawdę powiedziawszy, komorników tu nie było, ba sami gazdowie.

Skoro już nikt więcej nie myślał przyjść, a nieprzyjemni oczom wójta pozabierali się

z izby — wtedy Suhaj wniósł barana i zaprosił naród; przyczem wygłosił mowę o braterstwie i o zwyczajach ojców. Z oporem, ale chętnie poprzysuwali się gazdowie do stołów i, nie dając się długo raczyć, jedli. Suhaj roznosił piwo, sam nalewał ludziom i zapewniał, że jest więcej, by nie żalowali. Niektórym zaś dziwno było, co on ich tak poi, i pytali się nieśmiało, czy to jaki jubileus, abo urodziny. Ale Suhaj odrzekł:

— Coby! Żadne urodziny. Kto ta może wypamiętać, kiedy się rodził! To ino tak, zwyczajem nieboszczyków ojców, chciałech was jako uszanować, kie-ście sie tu zeszli. Nie bogato, bo nie, ale darmo. Tak dziś pomału wszystko idzie z góry. Ho! To nie drzewiej! Kiedyś mógł wołu zabić i sprosić sąsiadów...

Na to jakiś głos cichawy odezwał się z kąta:

— Dziś telo baranem zrobi, kielo drzewiej wołem...

Suhaj bystro popatrzał w kąt, ale nie mógł zmiarkować, kto mówił. Siedzieli tam mało znani, podletni gazdowie. Przy nich siedział i Gniecki. Czyżby on poszepnął? Ludzie zaś bliżsi, rodowi, chcąc zatrzeć te przykre słowa, a zarazem okazać przychylność swoją dla ojca Suhaja, poczęli mówić między sobą:

— Już ta takiego wójta drugiego Przysłop miał nie bedzie...

— O, bo nie!

— To nasz ociec, opiekun prawdziwy!

Poczęli pić jego zdrowie, najpierw między sobą, a potem całą gromadą siedzącą po ławach. Suhaj pojaśniał, widział dobrze, kielu ma przyjaciół. Wyniósł arak i częstował dookoła stołu, poił wszystkich, nie bacząc już, kto bliższy, kto dalszy. Wszystkich jednako szanował, zachęcał i prosił. Rozpowiadał przytem głośno o swoich utrapieniach, jakie przechodził dla gminy przez tyle roków.

— Za to mnie dziś zaufaniem boją się obdarzyć...

— Kto sie boi? — zawołali gromadnie od stołu. — Takiego tu nie uświadczy! My wszyscy za wami!

Poczęli się ku niemu przytaczować, bo już pijani byli setnie i całować po rękach, powiadając, że go do śmierci nie opuszczą.

— Ino wy nas, ojczaszku, nie opuście... Bo coby naród bez was począł? Brońcie nas i opiekujcie, pokiela ino zdolecie, a my za wami wszyscy do jednego! Niech skrepnie, ktoby was nie słuchał!

Jęczała izba, jak jedla wypróchniała wewnątrz, gdy o nią wiatr uderzy naremny i mocny. Jednych rzewność ogarnęła, plakali po cichu, a drugich zapamiętanie takie, że pili na umór.

— Abo jest na świecie miłość, abo jej nie ma!

Całowali się grupami, obejmowali za szyje, a potem pili zdrowie swoje, całego narodu. Suhaj nawet rozrzewnił się i począł ruszać powiekami, jak gdyby myślał płakać. Skoro widział, że im już pomiękły serca, począł mówić: o gminie, o upadku rodów i o tem, za jakimi przewodnikami naród ma iść, aby nie przyszedł na biedę.

— Uważcie ludzie! — prawil — bo czas nie-daleki... Trza sie gromadą wziąć za ręce, stanąć za swoimi, a nie dopuścić nikogo, co sie naprzód pcha i woła, że on najmądrzejszy. Gminie rozumu nie brak, nie, ino oparcia! Tak moi mili... Oto was też proszę...

Powstali na to z ław i poczęli wołać, że cały kraj się może na nich oprzeć. A za ojcem Suhajem pójdą i do piekła. Przyrzekali mu święcie i obiecywali więcej, niż od nich żądał. Każdy z osobna zachodził przed oczy i sumitował się na wszystko: że on przyjaciel Suhajów do śmierci, rab i czeladnik jego najwierniejszy... Nikt już, choć mało kto ustać mógł, nie siedział; był ruch, jak w ciasnym koszarze. A gdy Suhaj na ostatku wspomniął o nieprzyjaciolach gminy — powstała taka zajadłość, takie wrzenie wielkie, że, zdawało się, ściany pękną i powała spadnie.

Długo w noc słyszano po wsi hałasy i śpiewy, jak się widziało, wychodzące z osiedla Soltysów. Ludzie biedni mówili, że u wójta święto.

Powróciła nareszcie i Hanka z odpustu. Oj-

ciec nie obaczył jej aż rano. Zauważył odrazu, że się odmieniła; zmizerniała na twarzy i przybladła nieco. Widocznie droga ciężka tak ją utrudziła. Powoli też zauważył, że i w naturze jej zaszła niemała odmiana. Ani się popróźnicy nie śmieje, jak dawniej, ani ojcu nie dokucza — nic, ino swojej roboty pilnuje i słowa niepotrzebnego nie powie.

— Co to, widzicie — dumał — jeden odpust może. Odmieni człeka doznaku na lepsze. Musiała pewnie być u jakiego ciekawego księdza do spowiedzi i ten jej nakładł w uszy: Tak a tak, powiada, ojca swojego szanuj... Ono ta czasem, jak sie trafi, to i ksiądz nie najgorszy.

Miał się ją o Franka spytać, ale dał spokój, bo się obawiał, że ją może drasnąć jakim słowem i odmienić znowu całkiem... leć-że ta na odpust! A tak bardzo był z niej rad i często przegadywał do niej. Mijały dni pogodne, bez dużej odmiany.

A po wsi szło... Jak woda, gdy ją wiatr pomąci w stawie, tak bulkotało. Aż glucho było od gwary naokół, takie szły fale wieści. Rozpowiadali jedni drugim o Suhajowych zabiegach, o tem, jak naspraszał gazdów, karmił ich i poił, aby ino mieć oparcie, gdy wybory przyjdą. A insi znów inaczej powiadali: że Suhaj, z mordowany latami i pracą, pragnął złożyć z ramion swoich to ciężkie jarzmo wójtowania. Jedyne

na gorące prośby swoich blizkich, by gminy nie osierocał, dał się przecie namówić i ostał jeszcze na urzędzie do jakiegoś czasu. Ale niech się ino trafi jaki godny człowiek, coby mógł piastować urząd, to się zaraz zrzeknie. Wiary temu nie dawali słuchający ludzie; wielu jednak podumało w sturbowanych sercach, jakaby to była bieda dla przysłopskiej gminy, jakby, czego nie daj Boże, Suhaja zabrakło. Ktoby się umiał tak szczerze narodem zaopiekować?

Najwięcej mątu czynił po wsi Błażej. Ten nie dospał, nie dojadł, ale, co świt, gnał do chałup i gadał niez mordowanie, czy kto chciał słuchać, czy nie. Nie było we wsi chałupnika, ba, nawet i na komorze siedzącego chłopca, którego by nie odwiedził w owym krótkim czasie. Nie ciężał se iść najdalej, na sam koniec roztok. Wszędzie go pełno było i nigdzie miejsca nie zagrzał. A miał w zapasie historyjek mnóstwo. Jak się jedna nie widziała, to poczynął drugą, aż nareszcie natrafił na taką, co się przyjęła, jako prawda i ostała w głowach. Sam dużej pamięci nie miał, co go wielce gryzło. Bo zdarzyło mu się nieraz, że zaszedł do chałupy, w której już był wczora, i jał to samo, a odwrotnie, opowiadać ludziom. Dopiero po śmiechu ich miarkował, że kiepsko; musiał chytrą nadrabiać i dziergać na nowo. Miał jednak swoje chwile powodzeń niemałych, zwłaszcza wśród komorników, którym dużo roz-

powiadał o szczodrobliwości i dostatkach starego Suhaja.

O Rakoczym słychu dychu. Tak jakoś o nim ucichło, jakby go we wsi nie było. Nikt o nim słowa nie umiał powiedzieć. Błażej tam już nie zachodził od jakiegoś czasu, a od kogo inszego trudno się dowiedzieć. Przedumowali nad tem ludzie i suszyli głowy.

— Zląkł sie, widać, Suhaja — powiadali — abo też, kto wie...

Pytali się o niego szwagra, bo go spotykali; ten jednak ciekawości ich nie zaspokoił.

— Chodzi — powiada — po izbie i duma całymi dniami. I po nocach nie sypia. Nie wiadomo, co sie w nim dzieje... A taki jest od czasu, jak wrócił z odpustu. Musiał chyba jaki urok paść na niego.

Uwierzyli odrazu, nawet szwagra utwierdzali w tem i radzili, jakimi sposobami odegnać może od Franka to nieszczęsne zło. Ale szwagier nie podawał chętnych uszu radom i zarzekał się wtrącania w cudze doległości.

— Ja mu sie ta już — mówił — narażał nie będę. Chce dumać, to niech duma, niech nie śpi, niech chodzi — ino to jedno powiem Zośce, żeby dbała o niego więcej i przypilnowała każdym razem, coby zjadł uczciwie...

I znów długo nie było o Rakoczym wieści.

Aż raptem jednego dnia spotkało go ludzi wiele w takiej opresyi:

Było to w jarmark. Jak zwyczajnie przy pogodzie i o takim czasie, naschodziło się ludu niemało zdaleka i zblizka, pełno było na kamieńcu, na rynku i w sklepach. Każdy coś zmawiał, lub sprzedawał, ale i takich było dużo, co przyszli jedynie po to, aby robić ciżbę.

Przed ratuszem wrzała bitka. A poczęła się w ratuszu, przy pijatyce. Oddawna już wojowały ze sobą dwa rody: Potaczków i Sołtysów. Ostatnio, na odpuście, Sołtysów pobito, to też honor ich ucierpiał, chodzili, jak chmury. W ratuszu pili synowie Potaczków. Jeden z Sołtysów podszedł ku nim i rozpoczął zwadę. Porwali się od stołu, a w te razy i Sołtysi wpadli. Bitka jednak zawrzała dopiero wówczas, kiedy Potaczki, uchodząc, wypadli na pole. Tu im na pomoc zbiegli się krewniacy i rozpoczęła się walka.

Z początku dwie gromady walczyły ze sobą, parły się naprzód ławą zbitych piersi i cofały się, jak fale, odbite od brzegu. Wnet jednak ustał ścisk, lud się pocofał dookoła, a walczący ślebośnie mogli się obracać. Poczęły wartko śmigać pięści, latać, jak łyskawice. Wśród zawieruchy rąk ginęły głowy, a jak się podnosiły, to krwawe, niepodobne ludzkim.

Hałas jarmarczny ucichnął, słychać było ino wrzawę, jęki i przekleństwa. Wszystek ciekawy

naród zgruchnął się pod ratusz i patrzył, jak na widowisko, z trwożliwą uciechą.

Ustało zwolna wrzące kotłowanie. Naremny zapal bijących się przeszedł, ale zaciekłość nie osłabła; poczęła się zawzięta walka w pojedynkę, chytra i pełna podstępów. Potaczkowie padali, jak podcięte drzewa; straszni jedynie w gromadnej zawiei, nie umieli nijako bić się po jednemu. A Sołtysi, obrotni, porozdzielali ich zwartemi ścianami, nie dając się skupić, i osaczyli każdego, jak, nieprzymierzając, gromada psów zajadłych osaczy dzika w gęstwinie. Widać było zdaleka, że Potaczki słabną; mało ich było, a co chwila to któryś się tracił. Nikt im nie szedł na pomoc. A Sołtysów przybywało coraz to więcej. Zbiegali się, zwolywani z całego jarmarku, i wnetby stanął do bitki cały prawie ród.

Na to zjawił się Rakoczy.

Widzieli go już zdaleka, jak szedł płomieniem przez tłum. Przedarł się przez gęstwienę ludu i spadł na bijących się, jak jastrząb na koguci drób... Począł prać chłopami o ziem, jak snopkami zboża. W mig się uwinął z gromadą. Nie wyszło chwili, a rozeprowadził zwartą kupę na wszystkie strony.

I, nie dając onym czasu opamiętać się, zawołał:

— Czyście już tak doznaku zgłupieli, czy co?! Bieda was bije, nędza młóci — to wam

jeszcze za mało? Sami chcecie się do reszty zniszczyć? A któż wam zdrowie odda, jak się straci? Czy wam już nic po niem na świecie?

Począł ich gromić w słowach ostrych, nie stając po żadnej stronie, co ich najwięcej złagodziło. Najpierw ochłonęli starzy; a potem już i młodych odpadła zawziętość, wnet ich dotkliwy ból uśmierzać począł, było bowiem wśród nich wielu ciężko poranionych, niemało srodze zbitych; niektórzy z nich odeszli, powlekli się do swoich chałup, a niektórych widziano jeszcze długo, jak świecili po jarmarku skrwawionymi łbami.

Rakoczy urósł w oczach ludzi. Garnęli się ku niemu zewsząd, każdy chciał choć słowo z nim przemówić. Tłok był taki, gdzie się ruszył, że go to poczęło drażnić, pozierał tylko, jakby się wydostać i zejść z tłoczego rynku. Nagle dojrzał zdaleka Hanusię, jak wchodziła do sklepu. Czempredzej popłynął w tę stronę, wydarł się gwałtem z ciżby i zniknął za drzwiami sklepu, napelnionego narodem.

Na rynku o nim gwara szła bez końca. Przychojącym dopiero na jarmark opisywano całą bitkę dwóch zajadłych rodów i niespodziane wmieszanie się Franka. Opowiadano po sto razy, coraz to inaczej. Przypominano ową kłótnię, jaką miał z radnymi, pamiętliwsi powtarzali jego słowa śmiało, tłómacząc je po swojemu

wszystkim ludziom wokół. Najdonioślej ci głosili Rakoczego sławę, co zwątpili już byli o jego mocy doznaku.

— Takiby się wam Suhaja zląkł? — mówili. — On się ich wszystkich nie boi...

— Ale też ma siły w sobie!

— Hej!

Trafiali się zaś ludzie, którzy, widać, już od urodzenia źle byli usposobieni do świata. Albo insi zmożeni do ostatka biedą. Ci nie wierzyli nigdy wartko słowom. Ale jak posłyszeli Franka Rakoczego — pomiękli.

I niejeden z nich szepnął:

— Żeby to nie było wszystko jedno, to kto wie, czyby nie warto było uwierzyć w sprawiedliwość jaką...

W jednej z izb przytykających do sklepu siedział Franek z Hanką. Nikogo, prócz nich, tu nie było. Z przybocznej izby dolatywał gwar; tem śmielej przeto mogli mówić z sobą. Przed nimi na stole stały nienaruszone lampki wina.

— To mi zarzucasz, żem twoich krewniaków zgromił, a cożby było, jakby się na śmierć pozabijali?

Mówił z wyrzutem, nie kryjąc swego żalu. Zabolalo go to ciężko, że ona miast pochwały, wymówki mu czyni. Kiedy rozwałił całą górę chłopów, a ludzie stali dookoła — myślał przecie i o tem, że ona może z niedaleka patrzy i dzi-

wuje się jego mocy wielkiej. Ale się zawiódł, bo ona przeoczyła, widać, jego śmiałość, a baczy ino o despecie, jaki się jej rodowi stał z jego przyczyny. To go bolało, gdy mówił:

— Tak, trza mi było stanąć zdala i nie mieszać się w to piekło. Ale człowiek nie poradzi, jak naremność porwie. Najlepiej, żebyś między ludzi nie szedł... Nie stałoby się dużo rzeczy, których potem żałuj...

Przestał mówić, a ona wpatrzyła się w niego z uwagą, jakby dalsze myśli chciała poznać, i powiedziała z naciskiem, by słyszał:

— Ja ta zaś nigdy nie żałuję...

Zrozumiał słowa jej odrazu, podniósł ścieżalą od zamyśleń głowę i długo patrzył w jej oczy. Żal, jak mroczny cień o wschodzie słońca, ustępował szybko przed promieniami jej spojrzeń i chował się w najskrytsze kąty jego serca. Natomiast południowe gorąco uczucia wiało, jak podmuch wonnych traw, na jego zmysły. Wnet już nie baczył nic po za nią. Wyciągnął rękę po jej dłoń i szepnął tkliwie:

— Hanuś... ty wiesz, żeś moją?

— Nie wiem... — odrzekła z naiwnością, patrząc ku niemu uśmiechem z po za zsuniętych na dół rzęs.

— Najdroższą moją żoną! — powtórzył.

— A kiedyż mnie tak ludzie nazwią?

Niewiedzieć czemu, pytanie to powiało, jak chłód, po jego sercu.

Po dużej chwili szepnął:

— Prawda, że to i ludzie żyją...

A obaczywszy w jej oczach zdumienie, dodał wartko:

— Ja zawsze zapominam o tem, jak jestem przy tobie... Zdaje mi się, że nima nikogo na świecie, ino ty i ja — nas dwoje...

Przysunął się ku niej blisko i mówił serdecznie:

— Ja wiem, co cię niepokoï... Nie lękaj się przecie. Sto ślubów nic nie znaczy, jak miłości nima... A czy może kto bardziej miłować ode mnie? Wierz mi, ja o tem przemyśluję często, aby się jaknajprędzej pochwalić światu, żeś moją...

— A o wyplat mówileś?

— Nawet parę razy. Szwagier nijak nie odpowiadał, ale widać, że jak będzie pilna potrzeba, to da. Woli przecie postarać się o wyplat, niż odstąpić połowę gruntu i chałupy.

— No to jakże?

— Wpierw z ojcem twoim muszę dojść do rzędu. A nie, to i bez tego się obejdzie. Niech padają pod nogi i najhrubsze kłody — nie cofnę się i przejdę i przewiodę cię do swojego domu...

— A kanyż twój dom?

Na to pytanie żartobliwe nie odrzekł nic, ino

spojrzał na nią prędko, ale tak dziwnie, jakby to nie był jego wzrok. Za chwilę, w której, widać, bronił się czemuś, co go złękło, szepnął:

— Pytasz sie, kany mój dom...

Wstał i przeszedł parę razy po izbie dokoła, potem wrócił, ujął obie dłonie Hanki i, zdziwionej, serdecznie popatrzał w oczy...

— Jesteś moja! I nigdy już mnie nie opuścisz... No powiedz, Hanuś, tak?

— Ino sie staraj o to, com ci powiedziała...

Siadł przy niej, przysunął wino i uprosił ją, że nadpiła. Sam dopił do dna, odstawił i oparł głowę na dloni.

— Bo, widzisz Hanuś, mnie od jakiegoś czasu dziwny niepokój prześladuje... Bronię sie temu, jak mogę, nie daję przystępu, ale zwalczyć nie porada. Chodzi, jak cień, zdaleka i nie ustępuje. Pytasz sie, co to takiego. Czy ja wiem? Zmora jakaś... Może to i nazwy nie ma, bo nie widać nikany, a jest. Jakby człek nie odganiał, toby sie na śmierć zadumał. Taką ciężką chmurą zwali i obsiedzie myśli. Zlatują sie nieraz chwile po cichu, jak sowy, i taki czynią postrach w sercu, jakżeby już śmierć wnet nadejść miała. Tak trwożą, tak niepokoją, tak mnie z jarmarku życia wywołują. Ale jak se pomyślę, że jest naród boży, a w tym narodzie jest ktoś, co mnie czeka, i ktoś, co nigdy już mnie nie opuści...

W te razy Hanka wyrwała mu dłoń swoją,

którą z uczuciem przyciskał do piersi, i podbiegła ku drzwiom.

— Czekacie na mnie, tatusiu? Zaraz idę, ino jeszcze koszyk...

Wróciła się prędko, wzięła z ławy i, przechodząc, szepnęła Frankowi:

— Nie zadumuj się napróżno, lepiej o tem pomyśl, coby ja ich już nie musiała słuchać...

— Idziesz, czy nie? — zadudniło w sklepie, i oczy groźne, czerwone, łysnęły przez drzwi.

— Ostań z Bogiem...

Poprawiła chustkę na głowie i poszła.

Rakoczym zatrzęsł gniew. Zerwał się, ale wnetki usiadł.

— Co ja mu powiem? Ma prawo...

Wpatrzył się w otwarte drzwi i długo siedział nieruchomie. Widać, miał jeszcze nadzieję, że Hanka wróci. Skoro chwil minęło sporo, i nikt nie nadchodził, wtedy poczęło mu być ciężko, ale to tak bardzo, jakby się góra owiozła na piersi. Zwolna gorycz, jak źródło zamknięte pod ziemią, dobywała się, rosła i buchała warem. Pieniła się w nim i wrzała dusząca wściekłość.

— Czy ja mam na świecie jaką moc?

Trzymanym w ręce kielichem trzasnął o ziem, aż szkło na wszystkie strony prysło. Wpadł zadyszany kupiec i zalekły pytał, co się stało.

— Wina!! ni mogę się dowołać...

Kupiec odszedł, za chwilę przyniósł dużą fla-

szkę. Rakoczy począł pić, jak wodę świeżą w czasie letniego upału. Ale wnet przestał, czuł wyraźnie, że mógłby tak do rana pić i dłużej, a smutku z serca nie odeгна. Zwiesił głowę i popadł w martwe zamyślenie. Mrok już zalewał izbę, hałas ucichł, ze sklepu ino gwar dochodził. Przy gwarze tym, jak przy belkocie wody po kamieniach, dumal Rakoczy w izbie.

— Tak przyjdzie... wylamać zęby na zgrzytaniu i udławić się nimi na ostatku. Jedyny koniec.

Poprzed jego myślą procesya szła. Za Suha-jem ludzi mnóstwo, znajomych i obcych.

— Żeby też choć jeden człowiek znalazł się w tej ciźbie.

Przyszło mu na myśl: gdzie on stoi? kto jest koło niego? Hanusi niema. Poszła z procesją. Nawet się nie obejrzała. Co ją tam powiodło? Czyja wola? Powinna zostać przy nim, tu... Rozgląda się dookoła... Jakaś pustka... Nie był tu jeszcze nigdy w życiu. Co go tu przywiodło? Procesya minęła i nie widać jej... Może ją jeszcze z tej górki obaczy... Wybiegl lekko, jak pióro podrzucone wiatrem. Nikany nic nie widać... ino szare piaski... Słońce domiera na zachodzie... A tu cmentarz... widocznie... jałowce porosły... Ani jednego krzyża ponad ziemią... pogniły... pozapadały się już dawno. Idzie pośród jałowców,

po uschniętej trawie, i widzi grób wysoki, zarosnięty mchem... Zachodzi bliżej...

— Światła!! — zawołał takim głosem, że się aż sam wzdrygnął. — Nie opuści mnie to widmo... ten umarły Ja...

* * *

Nazajutrz i przez wszystkie dni następne rozchwalali się po wsi ludzie biedni, jak ich Rakoczy uszanował w rynku.

— Zeszło nam — powiadają — na jarmarku do samego zmroku. Juścić słyszymy, ludzie mówią: Rakoczy w ratuszu... «O, to pódźmy, kiedy tak, pogwarzymy nieco». Bo z takim czlekiem warto i pogwarzyć. Przychodzimy, on siedzi i дума o czemsi. Wino przed nim na stole, światło mu się świeci... Jak człek, wiecie, uczony, to go wszędy poważają. Rozradował się, że nas widzi, bo strasznie był czemś otruty, juścić nas obsadza skraja, kazuje wina sporo, i pijemy... Jak zwykle przy pijatyce, każdy mówi o tem, co go boli. Poczynamy się uskarżać na tę miłą biedę, a on słucha i słucha i do końca słucha... Skoro my już wygadali, po kolei każdy, co komu ino ciężyło na sercu — wtedy on wstał i powiada: «Mnie haw też nie letko, może gorzej, a nikt mi na to nie poradzi»... Trapi go, wiecie, cosi dużo niepomału. A wracając do nas, mówi: «To sie da przewalczyć, ino chciejcie!» No

chciejże, jak cię niemoc gnębi? «Krzepcie się — powiada — wzajem, bo was bieda późre, zniszczy tak, że i śladu po was nie ostanie»... Dyć niejaki! Może lacywo i do tego przyjść... «Ni mają o was starunku, to się sami krzepcie! Ratuje się — powiada — bo was śmierć wytrapi»... I tak jał rozpowiadać długo a niekrótko, a wszystko, co powiadał, było sprawiedliwe. Niejeden otarł łzę po cichu, bo serce nie skała. Skoro ino zakończył, tak my: «Rakoczeńku!... Ty nas broń, ty nas wspieraj, bo nikt nie da rady. Poratuj nas w tej biedzie i nie opuść przecie»... Zgruchnęli się ku niemu zewsząd, molestują... Aże powstał na nowo i rzekł uroczyście: «Bóg świadkiem, że was nigdy w nędzy nie opuszczę!» Taka, wiecie, otucha wstąpiła w każdego, jakżeby się na nowo na świat narodzili. Co se myślicie! Taki człowiek, to przecie nie sieczka! Widzieliście, jak na rynku Sołtysami prał? To mocarz wielgi! A uszanował nas godnie, choć ta wiecie, z nas niejeden człowiek bodaj jaki...

Tak się to rozchwalali po wsi ludzie biedni. Co było w tem rozchwały, a co prawdy — któż wie...

VIII.

W sołtysowem osiedlu niezwyczajnie ludno. Roi się od głów na podwórzu, w sieniach i na drodze. Przeważają włosy siwe, osędziałe, śnieżne. Nie pamiętają ludzie, jak żyją, takiej gromady u wójta. Sam kwiat sędziwych ojców rodu, cały stary Przysłop. Widać zgrzybiałe postaci, których się już oddawna na świetle bożem nie widuje, gazdów, o których młodzi sądzą, że dawno pomarli. Pozłazili z wyrków swoich i o kulach przyszli, aby dać świadectwo prawdzie — jak Suhaj powiada.

Powoli naród ściągał i oblegał ściany. Widziało się, że już ani jednego gazdy nie brak; po chałupach ostały ino: czeladź, niewiasty i dzieci.

Za chwilę wypadł głos Suhaja z sieni i zadudnił po osiedlu, niby odgłos bębna. Wszystek lud naraz zachwiał się i ruszył i począł się pchać do sieni, jak stado niesfornych owiec, gdy je gazda, troskliwy o statek, zwołuje na

sól. Wnet się osiedle opróżniło. A z chałupy Suhajowej dobywał się gwar, jak z wybutwiającej wewnątrz starej kłody, którą trzmielę zajęły rojem.

Niedaleko osiedla Sołtysów, przy drodze, na obalonej wiatrem wierzbie, siedział Franek Rakoczy i dumał. Gniew i oburzenie chwiałały nim, jak wichur smrekiem, a wściekła prawie świadomość niemocy przyginała ku ziemi głowę jego, na dłoniach opartą, podobnie, jak naremnica wietrzna, która idzie za burzą po lesie.

— To ja nie mam prawa głosu? Kto mi śmiało odebrać?! Czy ja do gminy nie należę, nie płacę podatku?

Milczenie wokół było ciężkie. Ino potok huczał w dole, jednostajnie, głucho.

— Przeszli rodowi procesyą, chałupnicy, wszyscy... I nikt się na mnie nie obejrzał. Możesz owce paść przy czasie, jak nie masz co robić...

Gorycz kroplami sączyła się w serce. Tyle jej naszło, że ją uczuł w krtani. O mało ino, że nie trysła z ocz.

— Żadnego prawa! Jak człowiek umarły... Abo ten, którego nie ma. Nie urodził się i kwita. Tyle żyć, co i nie żyć — na jedno wychodzi.

Zlatywały się myśli coraz większą chmurą, jakby je jakiś trybunał zwolywał na protestowy

sąd. Obsiadły ugór jego duszy i rozkrzyczały się, jak smutne kanie, łaknące kropli dżdżu.

— Małego prawa! Abych czuł, że jestem człowiekiem... Bo dotąd, jak zwierz podły, poniewoli chodzę. Nijak się z więzów oswobodzić... Poskrępowali ręce, nogi, ani się rusz, bo zewsząd ściągają powrozy. Od małości wrzynają się w ciało, i wejdą w żyły, w krew, jeśli nie porwiesz. Zatrują ducha rdzą, i nie uwierzysz, żeś mógł być kiedy zdrowym.

Tak myślą płakał, zadumany, a gorycz w nim rosła.

— Kto śmiał bezemnie rozporządzać mną?... Zaszczepili mi niewolę, jak ospę dziecku — najbliżsi.. Ochrzcili mnie poniewoli i związali węzłami na życie. Potem, choćby człek chciał iść, któredy sam pragnie — już nie może... Lecz za nim głosy drogie, ostrzeżenia blizkie: »Wróć się! Tam niebezpiecznie...« Abo jak często: »Nie przeskakuj! Podleż...« I skrepują troskliwością, sprowadzą na drogę, na gościniec udeptany, którym woły w jarzmie chodzą, żegnając na ostatku: »Niech cię Pan Bóg strzeże...« A ciebie już nie zratuje nikt, boś duszę stracił. Kto ci ją zgubił? Serce, przywiązanie blizkie. W niewoli urodzony, niewolą umierasz...

Pochylił głowę, aż ku ziemi, jakby ją ciężar niewidzialny tłoczył.

— Nie wolno mi nawet chcieć! gdybym

chciał... A powiadają: wolna wola. Wierutne zmyślenie. Gdzie jest człowiek, któryby mógł powiedzieć: Sam idę... Gdzie jest ten wolny człowiek? Wszystko nim rządzi, kieruje, począwszy od przypadku. Szczęśliwszy okwiat ostu, który wiatr obrywa i miota nim na wszystkie strony świata... Szczęśliwsze drzewo, które burza łamie i karczuje z korzeniami, wyrwanymi ziemi... Szczęśliwsza skała, którą woda toczy, nie dając jej spoczynku, ani odetchnienia... I szczęśliwsze, zaprawdę, wszelakie stworzenie, które żyje w trwodze wiecznej, aby nie być pożartem przez drugie. Wszystko szczęśliwsze od człowieka, który nieporównanie mocniej czuje tę niewolę życia. Tak i mnie ona smaga, jak tę skałę rzeczną, jak ten kwiat ostu, jak to drzewo, jak to zwierzę leśne. W paściach bolących od mała wyrosłych i nie wiem, gdyby mi dano swobodę, czybych dziś umiał w niej chodzić. Tak członki moje w paściach zakostniały, tak się duch pogiął, zgarbił i skaleczał. A rwał się, rwał przez moc do życia! Nie dali żyć... Pamiętam tę noc dobrze, gdy, nasłuchawszy się o »wolnych ptakach«, zebrałem sporo rówieśników swoich i poszedłem z nimi na szczyt Groni, palić smolne wici. Było jasno w okolicy, jaśniej w mojej głowie. A lud spał — nikt nie wyszedł, nikt się nie obudził. Dziś, choćby i świat gorzał, choćby sam Bóg zapalił wici —

lud nie wstanie... Tak go uspiło to życie, co, jak śmierć, usypia ludzi na nieprzespaną noc. Dzieciństwo było we mnie wtedy, ale był i ogień święty. Gasili pomału. A życie szło — to ciężkie i niemilosierne. Biczowało bez przerwy ducha i uczyło, aby się umiał poniżać, jak pies, przed obcą wolą. Nauczyło. I człek pogardzał sobą...

Staął mu obraz przed oczyma duszy, znany, jakby go kiedy już widział był we śnie.

...Równiny — pola puste — smutna okolica. A tu dymy się snują nad ziemią, jak stada czarnych chmur. Nie widać słońca i zdaje się, że nigdy nie wejdzie. Jednostajność ołowiana, szara, bezlitosna. Gromady wron obsiadają rdzawe, mokre pola i, niestraszone, zrywają się nagle, jakby je tchnęło skądś przecucie śmierci.

Przerzedza się dym kopiasty, występują mury — żywy dziedziniec głów zrudziałych — oczerniałe twarze. Zimno wieje od tych bruków skamieniałych czaszek, z których oczodołami patrzy groźny spokój śmierci. Ponura cisza. Nagle... błysk od bramy wchodu — jeden, drugi, trzeci — morze głów runęło falą odbitą od brzegu... Dym zasłonił cały obraz... Nie widać już nic. Słyszać ino huk wystrzałów, a za każdym jęki...

Wświdrowały się mu w duszę, jak oczy ko-

nającego: nie porada uciec od nich, ani ich zapomnieć.

— Com ja zawinił? — szepnął błagająco i począł drżeć przed obliczem sumienia swojego, które stanęło nad nim w postaci anioła, dzierżącego w prawicy swojej wagę.

Podniósł oczy od ziemi — widmo znikło. Sen rozemgłił się i rozwiął, jak obłok na wietrze. Uspokoił się, długo patrzył po szerokim świecie, jakby chciał wchłonąć oczyma światło z całej ziemi.

Nie zegnał jednak słońcem owej sloty, jaka ciemnicą zaszła w jego duszę. Było mu źle i widział, że mu coraz ciężej.

— I duszno... Ale to tak, jakby się niebo zniżalo ku ziemi. Zbraknie wnet powietrza pierśiom. Jak w dole wązkim, zatechłym od wieku — taka dusznota dookoła. Powiadają, że ten świat jest ogromnie duży, a ciasno jednemu człowiekowi na nim... Gdzież się duch czleczy ma rozrastać? Kiedy jest jak drzewo w gąszczu. Zewsząd cień i ucisk wielki, gałęzie schną prędko, a ostanie wierch zielony, to taki mizerny, że nie zdoła dać owocu, ni udźwignąć szyszek. Tak to karleje drzewo w gąszczu... A co z niego na wolnem polu mogło wyrósć, jaki obłoczny maszt!

Myślą stanął u wierzchołka, i zamąciło mu się w głowie.

— Nieprzyzwyczajone oko — szepnął. — Po ziemi jeno ślizgać umie. Ale paręnaście djabłów zjadł, kto nie udola dojść do wierchu! Raz trzeba poczuć, kto mocniejszy: ja, czy wszystko insze. Onoby mnie tak przygniotło, jak robaka w mule. Zwali sie, jak góra piasku i poczyna gnieść. Zasypuje oczy, gardło — człek pluje, jak przed urokiem — nie sposób odżegnać licha. I zatrapiloby... Nie ulegnę i nie dam zwątpieniu przystępu!

Potrząsł głową, jak żróbek, kiedy się z toni na brzeg wydobędzie.

— Krępowali mi ręce, nogi, trzy lata życia wzięli marnie, a przeciwnie nie osłabił. Nie zgryzła mnie ta niewola, choć kasała rdzą. Osierocili z praw i obrali z wolności wszelakiej, ale jest jeszcze pole w mojej duszy, gdzie nie powstał oczyma nikt, bo nikt nie śmie spojrzeć w to urwisko... Dzieli je wieczna przepaść od praw tego świata. Na to pole nikt z ludzi nie nałoży podatku.

Pewność jasna spływała zwolna w jego serce, jak światło szczeliną wąską w zaciemniony dom. I stało mu się dużo widniej, raźniej i weselej. Rozpatrzył się dookoła i zatrzymał dłużej oczy w osiedlu Sołtysów. Z chałupy Suhajowej szedł gwar, zdawało się, że potok w dole tak belkoce.

— Zeszli się ojcowie rodów i rajcują sami.

Suhaj doparł przecie swego. Pozganiał nawet i takich, co na sejm do Pana Boga powinni słać posły, bo śmierć już stoi za ramieniem. Wszystko to ożyło naraz; rzeklbyś, że nigdy o niczem inszem nie myśleli, jak ino o tem, aby sie prawom ich krzywda nie działa, aby gminie jaknajwięcej rozumów przysporzyć. Niech radzą, niech ostatni raz wybierą swoich, bo ich harenda praw niedługo potrwa. Może przecie na ostatku rozum ich nawiedzi.. Bywa czasem, że Duch Święty i przez głupiego przemówi.

Podobnem uspakajaniem tłumił w sobie protest, jaki się zrywał na myśl, że jego od spraw gminy odsunięto milczkiem przez nieprzyznanie prawa głosu. Kto śmiał?! — nadlatywało, rozdmuchując gniew. Ale się zwalczył i postanowił przeczekać, aż naremność przejdzie. Znał dobrze, jaki wściekły obłęd ma każdy jego pierwszy zamiar. Zda się: nie ma przeszkody, którejby nie złamał. Ale tych czynów samorzutnych obawiał się sam. Wolał podać głowę myślom i zastanowieniu, choćby go tak uęczyły i stłukły, jak woda kamień, który rzeką niesie. Potem się opamiętywał i działał z rozumem. Tak i teraz chciał uczynić. Niech ta chmura przejdzie..

— Nikt ludziom słonka nie zasłoni, choćby na kościele stanął... To darmo.

Długo i uważnie patrzył ku Suhajowemu

osiedlu. Spodziewał się, że ujrzy kogo, że Hanka może wyjdzie z izby i stanie na progu. Nie doczekał się, a bardzo pragnął zobaczyć ją, choć zdala...

— Co ona też tam robi? Nie widziałech jej tak dawno. Musi jej się cnać bezemnie, biedactwu... Żeby z tym ojcem jako można dojść do rzędu! Coż, kiedy nie porada. Coraz to nowe podnoszą się wały, i coraz większy rozdział rośnie. Ja rozwalam jedną górę, a on sypie drugą. Przewlekłych już, na jej prośby, wojowanie z radą. Przyszło mi to z wielkim trudem, ale myślę: dla niej... Niech-że przycichnie zgiełk o tyle, żeby się mogła ku mnie dostać... I odwróciłem oczy, a tymczasem on budował płoty. Rozwalę ci je, bedziesz widział stary, i Hanke wywiedę z domu, jak Pan Bóg przykazał.

Pięść zaciśniętą podniósł w stronę osiedla Sołtysa, jakby chciał z oddali przesłać widomy znak siły.

— Komuż to tak grozicie, Rakoczy? — ozwało się za nim zblizka.

Odwrócił się i ujrzał niedużego człeka, o twarzy dziwnie pomarszczonej, szarej, podobnej bulwie suchego karpia. Poznał w nim odrazu Drozda, który miał niedaleko stąd chałupę swoją, przy samej wodzie, na kamieńcu. Przywitał go i odrzekł:

— Czasem sie nazbiera złości, nie wiedzieć, kogo już winić. Wtedy człek i wiatrom grozi...

— Bywa i tak, bywa...

Przyszedł bliżej, odkrzypnął i sparł się na drzewie. Przyjrzał mu się Franek lepiej, bo go rzadko widywał i zdala. Mało go znał, wiedział jeno, że go ludzie zowią Drozdem, jako: że z natury swojej wodnemu drozdowi blizki, bo nad wodą przesiaduje, rybami się żywiąc. W pierwszej chwili zauważył jego zwrok odmienny. Miał małe oczka i nie patrzył, jak drudzy, przed siebie, ale w głąb, wewnątrz siebie kierował wejrzenia. Promienie z ocz nie wybiegały, lecz się cofały, jak odbite od niewidzialnej jakiejś tafli. Stąd oczy szklily się podobnie z wierzchu, jak ziarna zimnego kwarcu. I głos jego był dziwny: jakiś stłumiony, suchy, podobny temu, jaki się słyszy zblizka, gdy kamienie spadają po skale. Gdy mówił, zajmowało go wszystko dookoła, a najmniej to, co mówi, lub kto gwary słucha. Taki się widział Frankowi ów człek, Drozdem zwany, nie dosięgający piersi chłopca swoim przykrótkim wzrostem.

Sparł się na drzewie pomaleńku i zaczął po chwili:

— Dyc tak... Sprawiedliwie gadacie, moiściewy. Zgniewa czasem, zezłości, choć taka chudzina. Żeby to co godnego było, nie powiem, ale młodziak nieduży, nie wartu zachodu. Wlaził

pod skałę, schował się do największej głębi i nie sposób go wywołać. Sięgam ręką, ale trudno. Kiebyś ręce miał, jak żerdzie... Powiadam mu: Wyleź, nie kuś człowieka nadaremno, bo i tak nie ujdiesz. A ten jeszcze głębiej wlaźł i siedzi. I nie zezłości? Powiedźcie... Tyle kamieni ma dokoła — nie, on musiał tamten wybrać, aby ino utracić czleka po próżnicy.

— I jakżeście go dostali?

— Musiałech wodę obrócić na jazie, dopiero wtedy przyszedł mi do garści. Nie wart był, jak powiadam, tej mitregi ciężkiej, bo nie dorastał nawet łokcia. Zwyczajna pstrążyna. Alem się uparł, za to ino, że się tak bardzo drożył.

Przestał i począł pogwizdywać zcicha, jakby nikogo przy sobie nie widział. Franek, który myślą i oczami stał w Suhajowem osiedlu, spytał po chwili od niechcienia:

— A dużo pstrągów tego roku?

— Nie mocki. Po insze lata bywało ich dużo, ale teraz i na nie bieda przyszła. Jak wiecie, lasy poniszczyli w okół; przyjdzie deszcz, abo ulewa, to wszystka woda na dół wali. Nie utrzyma się, bo kany? Do skały nie wejdzie. Juścić powódzie coraz częstsze, a to niepeć dla żywiny, jaka żyje w wodzie. Powytlukuje o kamienie, przymuli, zabiere, i nic się nie ostoi, nawet śliz powszedni. To i pstrągów coraz rza-

dziej; tyle, co, jak się woda uleży, z dołu przywędrują. Ale i tam ich, widać, niszcza, bo ich coraz mniej podchodzi. Kabyby też człek żywinie jakiej dał się rozmnożyć?

I znów przestał i wodził oczami dookoła, a z takim zajęciem wielkiem, jakby wszystko, co spotyka, pierwszy raz oglądał.

Franka poczęła zwolna zastanawiać ta inaksza natura w czleku, żyjącym wśród ludzi. Poznał z jego słów rozumnych, że nie jest głupawym. Coś inszego w tej głowie...

Nieraz, idąc koło wody, napotkał w piasku rzeczonym kamyk, który go zdziwił odmiennością swoją. Brał go do ręki i dumał, co pod tą powłoką szarą może się znajdować: czy jaki dziwny kryształ rzadki, czy też taki sam, jak wokół, piasek?

Ten człek podobnie zajął go, i ciekaw był dowiedzieć się coś o jego życiu.

— Jakże wam się powodzi? — spytał.

— Nie najgorzej... Niema o co narzekać, bo niema. To ino źle, że nieszczęście jak spadnie, to nie odrazu, tak, żeby już człek nie mógł dychnąć, ale pomału spada, letko, po jednej gałązce. Widzi się, że każda ma walor zabić, a nie zabije. Tak ino powoli tłuką. Powiedziałbych, że to nienajlepiej. I nie wiem, nie mogę nijak wydumać, komu się tak chce zabawiać z czlekiem...

Zamyślił się, jakby sobie coś przypominać począł.

— Gruntu nie macie?

— Jest... kamieniec. I chałupa na nim stoi. Nie wiem, długo to ta potrwa, bo ja nie wierzę, żeby się oparła wodzie, jak naremna przyjdzie.

— Czemuż nie ochraniać?

— Dyć-ech murował tamy długie i płoty i jazy. Com sie skali nadźwigał, moiściewy! Do dzisiednia czuję je na plecach. Ledwo-ch zmurował — będzie, myślę, ochrona chałupie — a tu przyszła woda i zabrała. Rozwaliła wszystkie tamy i do jednego kamyka wyniesła. I stawiaj znowu na nowo. Co ja sie przytem namitrużył, naklął, com zdrowia swojego sterał! Ta jedna woda by wam powiedziała... I ochraniałech zawdy od wypadku, co roku, co miesiąca dźwigałech te mury. Ale teraz — dalech spokój wszystkiemu. I zdrowia do tego niema. A po prawdzie powiedzieć, to mi sie i nie chce. Od czasu, jak nie stało mojej niebożyczki... Bo wiecie, że mi w samą Wielkanoc pomarła?

Skądby wiedział? Ile to ludzi mrze, którym nie dzwonią...

— Od tego czasu już mi wszystko jedno. Bo czy ja to dla siebie te tamy murował?

Oczy jego stały się bardziej szklące, jakby je opłynęły niewidocznie lzy.

— Niech przyjdzie woda, niech bierę...

Milczenie długie stało się pośród nich. A potok ino huczał w dole, jednostajnie, głucho i od chałupy Suhajowej szedł stłumiony gwar.

— To widzicie — zaczął Drozd po chwili — ja wiem, do czego mówię. Mogło nieszczęście, skoro spadło, zadusić odrazu. A ono zabrało siły i milczkiem odeszło. Człek ostał, jak ten kamień wyrzucony z wody. Żyje się, bo się musi. Co będę narzekał?

Wstał, odchrząknął parę razy i zabierał się do odejścia. Rakoczy szukał w myślach, coby mu powiedzieć...

— Toście sami?

— Juści sam. Odeszli mnie wszyscy...

— A macie z czego żyć na świecie?

— Ho, o to frasunku nie ma. Człek dużo nie potrzebuje. Pstrąga się złapi, upiecze na skale... Ino wam powiem — zbliżył się do ucha — że soli, tom już dawno nie miał. Ale się musiało obejść. Wezwyczaić się najgorzy. Potem, to się już tak nie cnie... O to by się kto frasował? Co wy macie w głowie? Jest, chwała Bogu, czem odegnać głód, byle ino człek zdołał przelknąć. Bo czasem, to nieurada. Chwyci zwyczajnie za gardło i dusi, jakżebyś łańcuchem ściągał. I nie opuści, aż umorduje do znaku.

— Cóż to takiego?

— Czy ja wiem! Jakaś zmora wściekła. A najprędzy wtedy przyjdzie, jak se o niej zbaczę...

— O kim powiadacie, ojcze?

— O niebożycze...

Ustał jeszcze chwilę, ustał, wreszcie się pożegnał.

— Trza iść na jaz, może sie co złapi...

— A słuchajcież — ozwał się za nim Franek — Jakby was bieda przycisnęła mocno, to mnie patrzcie, może co poradzę...

— Biedy sie już nie lękam, moiściewy, niczego sie już na świecie nie boję... Ale za dobre słowo dziękuję. Ostańcie z Bogiem.

I poszedł. Rakoczy patrzył za nim, dopóki się nie skrył za wikliną. Pomyślał też odrazu, że przy najbliższej okazji poda mu kruch soli. Przecie może tem nie wzgardzi, choć się odzwyczaił.

— Ilu to takich Drozdów jest na bożym świecie...

Stały mu przed myślą chaty opuszczone, które wiatr jesienny rozwała — gniazda nadbrzeżne, które woda topi, i gniazda leśne, które deszcz zalewa — krzycząca rozpacz ptaków, którym piskłeta poginęły, i niema rozpacz matek, które biegną ponad wodę, oblędem porywane — cała ta procesya chat bezludnych i ludzi bezdomnych, nad którymi powietrzem leci

placz żaloszny, z rozwianemi włosami, jak płomień na wietrze, a na ziemi, na roli, w przybróździe głębokiej, wije się, jak wąż raniony, wściekła niemoc ludzka... Wszystka nędza rozpaczna tych padolnych stworzeń zaszła mu chmurą przed oczy i stanęła obrazem krzyzącym przed jego myślą rozplakaną.

Poznał, że jest niewola, której nie ma nazwy, której imienia nigdy nie znał i nie słyszał z ludzi.

— Coż moje bóle znaczą?

Wobec tych smaganych wiatrem, burzami, ulewą — ujrzał się w polanie jasnej, rozkwitlej swobodą. Wobec tych najemnych istot, które służą okrutnemu, ślepemu gaździe-życiu — ujrzał się juhasem wolnym, uganiającym po halach za stadem niesfornych myśli, które, jak ptactwo nieuczone, rozlatują się po wierchach.

Coż ja mam za niewolę? Doznaku tak, jakbych usiadł na progu koleby, twarzą do wnętrza zwrócony i począł płakać, że mnie zawarli przemocą, że nie mogę wyjść...

Jasnemi strugami, przeciskając się obok smutków, szło światło w jego duszę. I wprowadzało młode życie, po którym, jak po zbożu bujnem, wiał gorący wiatr.

— Nie dam się kołysać żalom... Temu żonę pochowano, dom na wodzie stoi — a przecie nie zlorzeczy. Mam-ż ja sumienie skarżyć się?

Nie! Raczej zbierę wszystkie krzywdy, jakie ci opuszczeni bez skargi dźwigają na barkach, nieświadomość ich zastąpię i poniesę ludziom. Komu rzucę pod nogi, to zadrży! Choćby to był sam... Nie powiem, aż nadejdzie chwila.

Wstał — a równocześnie prawie ozwało się zdaleka osiedle Soltysów oswobodzonym gwarem ludzi. Widział, jak ciżbą wychodzili z sieni, zapelniali dziedziniec po brzegi i po jednemu sypali się przez furtkę na drogę. Poszedł naprzeciw, nie spiesząc się, chciał bowiem dowiedzieć się z ust którego gazdy, jaki jest wynik głosowania. Wiedział, a raczej przypuszczał z góry, jaki może być przy takim składzie, chciał się przecie upewnić i słyszeć z ust naczynego świadka.

Spotkał paru siwych ojców, ale ci krzywo nań patrzyli. Nie miał też ochoty pytać ich. Pozdrowił ich ino zblizka i minął. Naszedł paru komorników, ale ci, jakby się zlekli, obezli go chyłkiem. Wreszcie napotkał Gnieckiego. Z tym się przywitał i począł:

— Jakżeż tam wypadło? Musieliście być do końca?

— Dyć-ech był, bo trudno było wyjść z tej ciżby, ale mnie nie dopuścili...

— Czemu?

— Dyć i ja też o to pytam. Oni ta wszyscy

jednacy. Zebrali się między sobą i głosują sami. A naród stoi za drzwiami...

— Jaki naród?

— Wszyscy.

— Z wami się trudno dogadać...

— O, mojeści, nie bądź-że też gorąco kąpany. Usłyszysz pomalutku, ino miej cierpliwość. A naprzód powiem ci jedno, com se już tam w sieni myślał: że ty masz rozum nie-głupi... To ci powiem otwarcie, poprostu. Już wtedy (pamiętasz Franuś?) myślałech se różnie...

— Jakże się skończyło? — przerwał.

Nie słuchał dalej, bo go już naremność owładnęła. Poszedł między ludzi i tam się dowiedział wreszcie, że wybrano trzech Sołtysów — z rodu i nazwiska.

Między nimi był i Suhaj.

O więcej nie pytał.

IX.

Minęło sporo chwil niemałych. W osiedlu Sołtysowem nastąpiła już cisza. Lud się pomalu porozchodził, roztracił po drodze, nie ostał ani jeden człek z gromady wielkiej.

Natomiast mrok-włóczęga zawitał w osiedle. Obchodził nieśmiało ściany, zaziarał do okien i patrzył z po za węgła do drzwi z dziwnym niepokojem. Po chwili, po namyśle, rozdział płaszcz uszyty z ciemnej pajęczyny i rzucił pod wysoki płot, a sam ułożył się na ziemi, na wilgnej murawie, tak, że go prawie nie znać było, ino płaszcz z daleka widniał, czernił się pod płotem.

W izbie, za stołem siedział Suhaj. Jeszcze dymu było pełno, znać, że niedawno ludzie wyszli. Siedział sam, oddając się medytacyi spokojnej.

— Tak bywa... Niczem inszem ludzi nie przygłaszczesz, ino srogą postawą, a łagodnem słowem. Mało jest bowiem nielekliwych, a jeszcze mniej takich, coby nie radzi byli słuchać miętkiej mowy. Zrazu najgorzy, nieporada nijak opa-

nować, bo każdy chce mieć swoje zdanie, choćby go i nie miał. Ale to tak, jak z owcami, kiedy się je do koszara zawiera na noc: staną u wchodu, pospierają nogi przednie na wysokim progu i patrzą szerokimi oczami w ciemne wnętrze, dumając, czy nie lepiej byłoby nocować na polu. Nawołuj głośno, wganiaj, proś — nie słyszą. Żadna cię złaza wtedy nie usłucha. Stoją w skupieniu i patrzą po sobie. Aż dopiero jedna, śmielsza, przełoży za próg nogi, wówczas i drugie, widząc, że się tamtej nic nie stało, wchodzi... Tak i z ludźmi: najtrudniej, żebyś jednego pociągnął za sobą, to już reszta łacwo pójdzie, nie pytając, dokąd. Ba, toby mi był porządek, jakby się owce pytały, kany je gazda powiedzie. Choćby i na sprzedaj wiódł — ma prawo, bo się o nie stara.

Ostatnią myśl powiedział głośno i podniósł w górę dłoń, jakoby na obronę słuszności tych słów. Skoro nie widział znikąd zaprzeczenia, złągodniał i jał dalej rozsnuwać swe myśli.

— No, chwałaż Bogu, zrobiło się wszystko... Nie myślałech se nawet, że tak łatwo pójdzie. Ludziska jeszcze mają Boga w sercu, nikomu się nie baży o jakiejś odmianie. To ino strachy takie były, żeby człowieka przeląc i odebrać odwagę, zanim się opatrzy. Ale niechta, minęło, może to i lepiej... Rody się opamiętały, będą od-tąd pilniej baczyć, aby swoją powagę i znacze-

nie chować. A na inszych ludzi postrach, to najlepsza rada. Zgarnie się pomału naród, ino trza dać poziór, coby nikt jego ciekawości na bok nie odciągał, bo stąd powstaje zrada. Pomalutku, uważnie, a wszystko się zrobi. Jakoś i rozum dospomaga człekowi na starość. Żeby ino Pan Bóg dawał siły, a Opatrznością swoją wspierał... Ciekawym, co tam Rakoczy porabia? Od jakiegoś czasu przycichł. Może go Duch święty natchnął...

W te razy drzwi się otwarły i w progu stał wysoki cień. Suhaj, spojrzawszy, drgnął.

— Ki go tu djabli niesą? — szepnął.

— Niech będzie pochwalony!...

Żadnej odpowiedzi.

— Czy nima nikogo w izbie? — zadudniło głośniej.

Suhaj odchrząknął niewyraźnie.

— A, jesteście sami wójcie, trudno ujrzyć, bo jak się z pola raptem wejdzie, to ciemność ogarnie.

— Trza było za wideka przyjść...

— Kiedym chciał z wami pogadać osobno, a tu ludzi było pełno do samego zmroku.

Podszedł bliżej ku stołowi, przywitał Suhaja, a ten go ręką zaprosił, by usiadł naprzeciw.

— Zeszłoby się zaświecić — rzekł Suhaj.

— Jak uważacie...

Nie spieszył jednak z wołaniem o światło,

myśląc, że Franek prędzej zechce odejść. Ten zaś nie przypominał, bo się już rozpatrzył po izbie i Suhaja mógł widzieć wyraźnie. A wolał z nim, gdy padło, po ciemku pogadać, jako, że o mroku łatwiej trafić do sumienia i łatwiej serce ująć, niż koło południa.

Pierwszy zagadnął Suhaj:

— O czym-żeś to tak pilnem chciał pogadać ze mną?

— Pilne, nie pilne... A zawdy lepiej odrazu.

— To prawda, może uciec...

— Wójcie! Jakiem prawem to sie stało, że ja nie głosowałem?

— Hm... jakim prawem... Co ja ci na to poradzę, jak ty nie znasz praw?

Rakoczy odetchnął ciężko, by nie rzucić Suhajowi słowa przynagłego, i po niemalej chwili zaczął:

— Ja sie ino, wójcie, pytam, skąd takie prawo?

— Ha, to sie już zapytaj tych, co prawa stanowią.

Długie milczenie stało się pośród nich. Oddechy ino było słyhać i sapania starego Suhaja.

— Słuchajcież — odezwał się nareszcie Franek — bo wy pójdziecie wnet wybierać tych, co prawa mają stanowiąć. Baczcież, byście takiemu głosy swe oddali, który święcie przyrzecze współdziałal gorący przy stanowieniu dobrych praw, a kasowaniu złych i nierozumnych.

— Mojeśty, dajmy temu spokój, jak nadejdzie czas, to wtedy...

— Nie, wójcie. Poto-m jedynie zaszedł do was, aby o tem mówić. I, co mi leży na sercu, powiem, a wy posłuchajcie, może w niejednem przyznacie mi słuszność, jak rozważycie z uwagą. Świat idzie naprzód, o tem wiecie, i trudno za to ludzi winić, że nie stoją tam, kany ich ojce. Bo czasy insze ponastaly, czucie sie zmienilo, duch ludzki stal sie cliwszy na wszelką niedole. Trza sie przygotować na to, że coraz nowsi ludzie przyjdą, coraz więcej będą gadać, coraz głośniej wołać. Zatykać uszów nie ma co, bo płacz zbudzi i o północy, obudzi i w grobie. Póki człek na świecie żyje, winien sie wsłuchiwać i mieć oczy otwarte na krzywdy narodu — baczniej ten, co na wierchu stoi — winien też całą mocą, na jaką go stać, przyczynić sie do zmniejszenia krzywd i nieprawości. A za to ino po śmierci zapłacą. Kto nie uczyni tego, lepiej, żeby nie żył. Ród zaginie w pokoleniach, zatraci sie wszystko, a zasługi ostaną i trwać będą, dopóki świat nie skończy biegu. Tak, mościewy...

Odпочzał chwilę, a widząc, że Suhaj siedzi w milczeniu głębokiem, poradził się myśli swoich i tak dalej prawil:

— Musicie być mili ludziom, kiedy was tak długie lata na wójtowstwie dzierżą. I wierzę, że dobro gminy tak wam leży na sercu, jak i mnie.

Ino zrozumienia krzywd tysiãcznej nierodowej rzeszy, tej wam, niestety, brak; a baczyãc trzeba, że to jest pieñ gminy, choãby rody były nawet szyszkami na tem drzewie. Szyszki oblecã, pieñ ostanie. I trza go opiekowaã pilnie, by go robactwo nie stoczyło, by go wiater wiejãcy od morza nie zламаł na pól, by od mrozów i ãniegów nie skaleczał marnie. I dlatego te¿ powiadam: Wybierajcie takich, coby sie o jego krzywdy upomnieli w radzie. Ileż to spraw do wywołania przed obliczem prawa! Posieje nędzarz ugór — zwierzyna mu zniszczy zasiewy przed czasem; upoluje rybę w rzece, aby miał czem choã na jeden dzieñ oddaliã głód — zabierã mu za to odzieź; umrze i ostawi dzieciom ten lichy dobytek — muszã one od przepisania wnieãc pólówę spadku. To sie nazywa żyã na roli! Adyã niejeden woli rzuciã to swoje bogactwo i iãã we ãwiat za chlebem na wiecznã tułaczkę. Ba, ale to nie wszystko, to dopiero jeden potok tego morza nędzy. Kraj te¿ powinien pomysleã i o tem, żeby woda nie zabierała gniazd ludzkich, żeby taki Drózd nie musiał murowaã tam przez całe życie! Wybrano was i waszych braci. Zabaczcież na tę chwilę o rodach, o sobie, a pamieãtajcie o gminie, o całej ludnoãci biednej, bo ona tam nie pójdzie swoich skarg wylewaã!

Mówił to prawie serdecznie, tak się rozela-wił. Na ostatku dodał jeszcze:

— To chciałem wam powiedzieć, wójcie...
A jakież wasze myśli?

Suhaj nie odpowiadał zaraz, i nie wiedzieć, co było z myśli jego w twarzy, bo ją mrok owinał doznaku. Po dużej chwili zaczął:

— Przez telo roków już wójtuję i wiem, co komu dolega, a co nie. Tak strasznie znowu nie jest, jak ty opowiadasz. Bez biedy się nie obejdzie, to swoją drogą, ale też i ludzie huncfoty są, ni mają Boga w sercu, ani uczciwości, to nie dziw, jak im Pan Bóg darów nie przysparza. Ty zaś lepiej nie mieszaj się do nie swoich rzeczy, bo, co kraj, to kraj, to ma władzę swoją, niech ona się ta już trapi za nas wszystkich.

— Spierał się z wami nie będę, bo wiem, że to na nic... Musielibyśmy z jednej góry na świat patrzeć, a to się już nie da. Spytałem ino krótko, węzłowato, komu oddać myślicie swe głosy?

— To rzecz nasza...

— I gminy!

— Gmina oddała nam pełnomocnictwo, to mamy prawo robić, co nam się spodoba.

— Tak rozumiecie to prawo?

— A jakże? Może ciebie mamy się o radę pytać?

— Nie pytaliście się mnie przy wyborze...

— Ha, widzisz — przerwał Suhaj — bez twojej rady się obeszło.

Rakoczy, który się już od paru chwil hamo-

wał, poczuwszy śmiech szyderczy w uwadze Suhaja, wstał i zawołał popędliwie:

— Nie kto inszy, ale wy odebraliście mi to prawo!

— Jak śmiesz...

— Na pewno teraz mogę twierdzić! Odsunęliście tych wszystkich, coby za mną stali, a i tych, których-ście nie byli pewni, ostawiliście za drzwiami...

— To fałsz!

— Nie jeden poświadczy. Napróżno się osłaniacie prawem, bo-ście bezprawiem obrani! Tak wy, jak i wasi bratankowie...

— Rakoczy! Miarkuj swoje słowa...

— Stłumiłem w sobie gniew i oburzenie, które mnie parły odrazu, aby iść prasnąć w oczy prawdą przy całej gminie, przy wszystkich! Zdławilem się przemocą, bom sądził, że was ujęę słowem szczerem dla sprawy narodu. Teraz widzę, że darmo wyrzucałem słowa. Wyście tak osendzieli w rodowem osiedlu, że was nic z prochu nie otrzęsie i największy wiatr! Ino sie dobrze, drogo dajcie sprzedać...

Nie domówił myśli, bo Suhaj raptem dźwignął się z za stołu, a stół, obalony, padł na ziemię i uczynił huk.

— Zamilecz! zamilecz!! — powtarzał ochryplym głosem — bo jak jeszcze jedno słowo powiesz...

— To co?

— O sprzedaży ani zmianki! Ja ci tu dam, sędzio! Ty śmiesz mi zarzucać zradę? Sumienie wytykać? Mogę wisieć za grzech ciężki, za przedajność nigdy! Nigdy!! — powtórzył z mocą wielką, piał prawie od złości.

— Ja nie o takiej sprzedaży...

— O żadnej!

— Co ja winien, jak sumienie wam nic nie wytyka? Różne są trybunały, surowsze i...

— Cicho!

— Mnie jeszcze nikt na świecie groźbą nie przeraził!

— To ja uczynię...

— Wy?!

— Ostatniem słowem: Hanka nie będzie nigdy twoją...

Nastało milczenie. Stali oba naprzeciw siebie, w mroku, jak dwa pioruny w chmurach blizkich. Oczy im się skrzyły, jak dwom wilkom, stojącym w ciemności.

Franek pierwszy opamiętał się.

— A ja was nie chcę przerazić — rzekł i wyszedł z izby.

Dudniły dyle poprzed sień, jak szedł za osiedle.

Suhaj opadł na ławę. Dyszał ciężko i z mozołem zbierał myśli, chcąc się zastanowić nad ostatniemi słowami Franka. Długo dumal w ciszy wielkiej i nie mógł nijak zrozumieć ich wagi.

A niepokój po nim szedł, jak mróz po rzadkiem drzewie. A wreszcie począł drzeć na całym ciele, wstał wolno z ławy i zawołał:

— Hanka!

W głosie jego był przestach i groźba zarazem.

— Hanka!! — powtórzył głośniejszym głosem, aż echo zatrzęsło ścianą.

Ale mu nikt nie odpowiadał. Hanka nie było w chałupie.

Ledwo Rakoczy wyszedł za osiedle, przypadła ku niemu, zdyszana, i zaczęła mówić prędko, idąc koło niego.

— Nie bój się, nic sobie z tego nie rób, co gadają. Oni ino tak straszą, a po cichu, to inaczej myślą. Czy ja to nie wiem, nie patrzę się codziennie w ich oczy? Srogość mają na licach, a łagodność w sercu... Dużoby się ten pomylił, ktoby ich ze słów sądził.

— To nie były słowa puste...

— Skądże możesz wiedzieć? A choćby i naprawdę tak postanowili, to jeszcze wieko nie zapadło. I strachu dużego nima. Przecie oni tu wiekować nie będą. A zresztą, czy ja ich to mam koniecznie słuchać? Kiedy oni tak rządzą mną, to ja też będę nimi rządzić...

Biegła prawie, by nadażyć jego długim krokiem, i nie zatrzymując słów, mówiła dalej:

— Musisz się zaraz o wyplat dopomnieć, jak

ino przyjdiesz do chałupy. Jak będziesz miał majątek w garści, to łatwiej będzie poczynać. Skoro obaczą, że sie bez nich można ładnie obejść, to zmiękną i nie muszą stawać na przeszkodzie. A potem, to nas sami będą pięknie prosić, żebyśmy przyszli do chałupy. Komużby grunt ostawili? Przecie nie oddadzą w ręce niepilego człeka. A któżby ich opiekował, jak zdrowie upadnie? Muszą sie na mnie obzierać, choćby i nie chcieli. Ino, jak ci powiadam, nie przedumuj długo, ba weź, co swoje, i zacznij nareszcie.

Rakoczy stanął, ujął ją za rękę i stłumionym od umęczenia głosem spytał:

— A jakby padło, żebych ci powiedział: Pójdź ze mną na kraniec świata!... Przystaniesz?

Nie widział jej ócz, bo je zmrok osłonił, a chciał w nie spojrzeć głęboko, wnikliwie.

— Teraz sie o to nie pytaj — odrzekła. — Wiesz przecie, co ja dla ciebie... Ino pomyśl o czem inszem. O wypląt sie staraj.

Postał, podumał długo, nareszcie poszepnął:

— Prawda, masz rozum, moje dziecko...

I poszli razem ugorami, bo Hanka uparła się odprowadzić go na blizkie działą.

Noc była czarna, gdy zaszedł ku izbie, w oknach się już nie świeciło, widać, że ludzie posnęli. Zlekka otworzył drzwi, by nie skrzypiały, i cicho wszedł do wnętrza. Nie szukał światła, ani wieczerzy nijakiej, ino legł

na posłaniu i pograżył się w dumaniach o jutrze swoim.

Przeróżne obrazy życia stawały mu przed myślą, jasne i mroczne, szare i niezwykle, a nie mógł nijak wybrać i oprzeć oczu na jednym. Niepokój przyłazł, przyczolgał się do łoża jego i nie ustąpił, aż sen uśmiercił myśli. Kur prawie opiewał północ.

Duże rano już było, gdy Rakoczy wstał. Nie budziła go siostra, bo wiedziała, że późno wczora przyszedł.

Po śniadaniu, skoro się już poodbywali z robotami w izbie, a szwagier, wzięwszy siekiere, zabierał się w pole, ozwał się Franek:

— Zaczekajcież, chciałbym z wami pogadać otwarcie. Bo tak dzień za dniem schodzi, nigdy niema czasu, nawet chwili nieurada wy dostać na słowa.

— Dyc ja tu przecie nie za światem... — mruknął w sieni szwagier. Ale zawrócił wnetki i złożył siekiere.

— O czym-żeś to chciał pogadać? — spytał.

— O tem, co nas łączy razem, a chciałbym, żeby się już raz urwało. Nimielibyście wy nad głową biedy, ani ja związanych rąk.

— Czy nam to bieda? — zagadnęła Zośka. — Dyc przecie, chwała Bogu, nic nam sie nie dzieje.

— Tak, ale zawdy trzeba sie spodziewać, że rozłaka może nastąpić kiedy tedy. A lepiej wcze-

śniej i odrazu, to i wam dużo milej będzie pracować na swoim.

— No dyć o to, to ta i prawda — mruknął szwagier.

— Nie będzie wam wsze, jak ta zmora, nad głową wisiało.

Usiadł na ławie. Skoro widział, że uwaga zajęła całą izbę, począł:

— Wspomniałem wam niedawno o zamiarach żeńby. Nie wiedziałem jeszcze wtedy, jak się to ułoży. Od ojca bowiem dużo zależało: mógł mnie przyjąć, abo nie. Myślałem se różnie. Ale teraz wiem napewno, czego się mam trzymać. Otoć tak wam powiem, szwagrze: Gruntu nie wymagam, bo wiem, że go i na zbyciu niema. Jeden ledwo tu wyżyje, dwaj musieliby biedować.

— No dyć sprawiedliwie padasz...

— Nie chcę też ukrzywdzać siostry, bo i na drugiej połówce narobiła się od mała...

— Od dziecka prawie — dorzuciła.

— To też o gruncie nie myślę. Niech ostanie przy was. Ino żądam splatu z niego, ale odrazu, bez zwłoki, abych miał czem poczynać, nim kany osiędę...

Zatrzymał się i po chwili zadumania wyrzekł:

— Smutno to jest opuszczać ojcowiznę swoją. No, ale darmo! — podniósł głowę. — I jakże myślicie?

Nikt nie spieszył z odpowiedzią, bo każde czuło, że to moment ważny, trafiający się raz na jedno życie. Trza się więc długo nad tem zastanowić, zanim się słowo wyrzeczy. Zośka stała przy nalepie, z opartą brodą na dłoni; szwagier spoczywał na gnacie i zdawał się być mocno zamyślonym; jedynie mała Marysia nie czuła ważności onej chwili. Włóczyła po izbie mysz na sznurku, przerobioną z lalki, i serdecznie się śmiała, gdy jej kot nie mógł dogonić. Trwało to dość niekrótco. Aż ucnęło się kotowi daremne bieganie — siadł — Marysia, rada nie rada, musiała mysz schować. Wtedy szwagier podniósł głowę, ozwał się pomału:

— No dyć dobrze... Kiedy trza, to trza, to nic nie pomoże. Ale powiadasz pono: «Nim kany osiędę»... To wójt nie myśli cię przyjąć do chałupy, czy jak? Bo niedoznaku rozumiem...

— Eh, co ta o tem gadać! Dość, że spląt mi jest potrzebny i to dziś odrazu.

Z tego wymiarkował szwagier dwie rzeczy: Naprzód, że Suhaj Franka musi nie rad widzieć, i kto wie, czy mu zechce po dobrej woli dać Hankę; powtóre, Franek musi rety potrzebować pieniędzy, skoro tak przenagła. A trzecią myśl już letko wysnuł z dwóch poprzednich: że łatwa będzie z nim ugoda i nie ciężki targ.

Ośmielony tą myślą, przeżegnał się w duchu, by na złą chwilę nie trafić, i zagadnął:

— Kiełóż-byś to chciał wyplatu? Dy powiedz otwarcie...

Zośka chciała zapobiedz pytaniu, ale już było zapóźno. Franek się począł namyślać po-mału. Dodała więc dla zmniejszenia:

— Zastanów sie i uważ, kielo ci potrzeba...

Ale słowa jej serdeczne nie znalazły zrozu-mienia, jakiego chciała. Franek bowiem odrzekł prędko:

— Mnie potrzeba więcej, niżby se kto my-ślał. Ale co ta o tem gadać. Dacie mi pięć stó-vek splatu, i odejdę z Bogiem.

Na to szwagier powstał z gnata i zwrócił się do Zośki.

— To my tu nie mamy co robić. Kiedy tak słono szacuje, to niech ostaje, niech robi, a my weźmy splat i pódźmy...

Ona zaś wybuchnęła płaczem i poczęła wołać:

— To nas chcesz zniszczyć doznaku? Masz ty sumienie jakie, abo serce? Choć szczyptę su-mienia? powiedz...

Franek gniewem zadygotał i zerwał się z ławy.

— Czyż ja wam czynię jaką krzywdę? Sobie gorzej robię... Przecie ta ziemia więcej warta, niż dwadzieścia stówek. A budynki? A statek? A przystrój domowy? Jakby przyszło do po-działu, kiełoby na tem stracił? Przecie nie ja, bo nie chcę nawet trzeciej części... I to wam

zdaje się za dużo? Porachujcież w głowach swoich i osądźcie lepiej...

— Mojeśty — podjął szwagier — tu nie o to idzie. Insza rzecz połowę oddać, a insza zapłacić. Siedź-że ty na jednej części, wydobądź z niej telo, żebyś mógł drugą oczyścić i omyć z niej splat, jak on jeszcze przelatuje jej wartość rzetelną.

— Przecież o pół mniej żądam, niż warta owa część!

— Tak ci się to widzi... Podumaj sam, a uważysz i ztaniesz hrubo. Teraz grunta upadają, wszystko idzie z góry, nawet ornistego pola nie szacują za dawne ugory. I obrobić nie łatwo, nie tak, jako drzewiej. Teraz ludzi nie upytasz darmo do roboty, ba kiebyś każdemu płacił i to jeszcze słono, do tego proś, obłapiaj, kłaniaj się niziutko. Tak się ponauczali po tych djablich miastach, że nic, ino zapłata i pieniądz odrazu. A tu skąd się telo nabiere? Człek nie ma pojęcia. Bo na sobie nie urwiesz, ani z tych skali zatraconych marnego centa nie wygrzebiesz.

Wodził oczami za Frankiem, gadał i jęczał bezustanku. A Zośka ocierała lzy czarną zapaską, ile razy ku nalepie zbliżał się chodzący.

• — To słuchajcież! — stanął Franek. — Opuście wam sto, i niech już będzie. Nie trapmy się wzajem.

— O, mojeśty — podjął szwagier — tobyś ty łatwy chciał mieć koniec...

— To wam jeszcze zadużo!

— Na żaden sposób nie przystanę...

— A kieloch wy chcecie?

— Ja uważuję: sto srebra, to już masz gardło niemały...

— Czyście wy przy dobrym zmyśle? Czy ze mnie kpicie?

— Nie kpię — kanybych zaś śmiał! Ani mi też Pan Bóg (tu się skłonił) łaską Swoją przenajświętszą rozumu nie odjął, ino, jak powiadam...

— Zośka! A ty co na to?

Trząsł się wewnątrz oburzeniem.

Zośka nie odpowiadała prędko, najpierw lzy otarła, potem zapaskę otrzepała dłonią i rzekła wolno:

— Coż ja na to powiem? Sam widzisz, że nam się znikąd nie leje...

— To ździerstwo! — odwrócił się do szwagra. — W biały dzień! I jakże wy śmiecie coś podobnego...

— A ty jak śmiesz stawiać takie sumy? I nie wstydzisz się Boga Ojca. Coż ja to takiego powiedział? Moi ludzie drodzy... Przecie sto srebra, to pieniądz! Trza się dość nałamać kości, nim się je z gruntu dobędzie...

— Nie słucham żadnych labiedzeń. Dacie mi splot, jaki żądam, czy nie? Ostatnie słowo!

— Sto srebra możesz dostać odrazu...

— A resztę?

— Jaką resztę?

— No, mościowy, ja ze siebie nie dam kpić. To darmo. Nie chcecie przystać po dobroci, to was prawo zmusi...

— Franek! Co ty masz w głowie? — skoczyła Zośka, lecz ją szwagier wstrzymał.

— Niech skarży! Bedziemy widzieli, kto wygra. Ja tu swoją pracę włożył, a on co? Może ten rozum, jakim się przechwala? Adukatować radby ino, chciałby se letko żyć...

— Ani słowa! Bo jak mnie złość porwie...

— To co? W swojej chałupie nie wolno mi gadać?

— Chałupa wasza?

— A czyja? Tyś już dawno wybrał z domu, co ci sie patrzyło. Nic, ani złamanego kija nie dostaniesz. Chciałech po dobroci z tobą, ale nieporada. Kiedy tak, to sie prawujmy!

— Jędrus...

— Cicho! Nie płacz! Nauczymy go rozumu, kiedy taki masny...

— A zmilczcież, bo już dłużej nie ścierpię... Począł się prędko zaodziewać.

— Słuchaj! — zwrócił się do szwagra — Żebych na nią nie uwazował — wskazał siostrę — tobych cię tak sprzał...

— Pomału! Coś mi ta za rycerz!

— Kości-bych ci pogruchotał doznaku na
piekne.

— A sądy kany? A prawo?

— Ja sie też idę o nie pytać...

Pchnął drzwi i wypadł z izby, jak z waru.

X.

Schodził ścieżkami wśród zbóż, a złość go parła, jak wiatr mocarny, gdy uderzy w plecy. Zamknięte oczy miał na świat słoneczny, nie widział nic dookoła, ino krzywde, wołającą pomsty. Zbiegał wartko w niżnie pola, mijając zagony wązkie, i ani się nie obejrzał na chałupę w górze. W myślach jego był bezład, kotłowanie takie, jak w chmurze gradonośnej, którą szum poprzedza.

— Ty mnie chcesz z ojcowizny wyzuć, jak przybędę? O, poczka, miły szwagrze, dowiesz się, kto bliższy i pożałujesz srodze swojego lakomstwa. Ja go ochraniam, boję się ukrzywdzić, a ten mnie bez sumienia chce zedrzeć ze skóry i jeszcze powie, że mi dobrodziejstwo czyni. Co tu na taką przewrotność poradzić? Choćby człek był, jak paproć leśna, słodki, to musi zgorzknieć i piolunem ostać, chcący żyć nadal między tymi ludźmi. Nie można nijak z nimi począć i rozstać się na dobrej drodze. Niechże

prawo rozsądza, kiedy tak, a obaczymy, kto zwierchuje. Przecie może jest jaka sprawiedliwość na tym świecie...

Ujrzał się blisko osiedla i zwolnił kroku, by ludzie nie pytali, dokąd spieszy. Czuł w sercu ogień wstydu na myśl, gdyby im odpowiedzieć musiał, że do sądu... Myśl ta powiodła jego duszę przez obce jakieś pola, gdzie drogi pozagradzane płotami cierniaków, wszystkie miedze otyczone, ścieżyny wąskiej nie upatrzy, którąby można było przejść — i zawiodła ją na ugory znane, pełne dalekiej przestronności, po których za lat chłopięcych siwe owce pasał. Rozelzał się tem wspomnieniem i począł wołać w sercu:

— Gdybyś ty wiedział ojcze dobrotliwy, jaki ten pasterz twój ma żywot smutny! Pożałowałbyś go i pocieszył, jak wtedy, gdy z ugorów przyszedł z płaczem wielkim, powiadając, że mu leśny zajął owce z wrębu. Dziś po ugorach insi pasają, niepille ręce orzą ziemię sprawioną twym znojem, a syn twój, odegnany od własnej dziedziny, u ludzi musi szukać prawa...

Spotkał się z drogą, wiodącą na dół wzdłuż roztoki i szedł powoli długi czas, dumając nad swoim losem. Złość go naremna ominęła, oburzenie zcichło, począł się zastanawiać nad tą chwilą przykrą, jaką mu padnie przeżyć pod ramieniem prawa. Choć zasłoni i skryje, człek

zawdy uczuje przymus nad głową swoją, jak chmurę wiszącą. Żeby ją oddalić jeszcze...

Usiadł przy drodze na kamieniu, pograżył się w myślach, a słońce szło po niebie, woda odpływała. Z falami czas uchodził, chwile się traciły, jak te obłoki wiotkie, które z wiatrem płyną.

Zaludniła mu się droga, fury się toczyły, ale więcej ludzi szło pieszo: po jednemu, po dwoje i w gromadach większych.

— Czy to dziś święto? — pomyślał. — Czy jarmark...

Ale, porachowawszy dni, poznał, że nie. Taki dzień zwykły, jak setki do roku. Zastanowił się, skąd tyle narodu... I gdy jedna z kobiet starszych pochwaliła Pana Boga, zapytał się jej po starym zwyczaju:

— Kanyż ta idziecie, matko?

— Do sądu...

— Zapisujecie dzieciom grunt?

— O nie... — stanęła przy nim. — Ja już grunt zapisała. I to też, com najgorzy zrobiła w życiu, czego wyżałować nie mogę dosieła. Dzieciom? powiadacie... Mocny Boże! Takie ta dzieci...

— Kiełoż ich jest?

— Jeden, jedynak... Ale szkoda... Lepiej, żeby się był i ten nie urodził.

Zadumała się nad czemś, potem zwolna ją opowiadać:

— Chowałam to, jak złoto, jak skarby najdroższe. Niczem mi było wszystko, nawet kościół zaniedbowałam skrós niego. Nieraz Mszy nie dosłuchałam do końca, bojąc się, że on tam krzyczy, labiedzi bezemnie. A jak podrósł od ziemi, tom go ochraniała, jak tę jabłonkę młodą; niczem nie dałam mu ruszyć, żeby się nie zerwał. Nieraz nieboszczyk (bo już na boskim sądzie oddawna) zwolywał go do roboty, ja odwoływała; musiał se poganiacza upytać do wieśny, abo służącego utrzymywać, jak padło. I rósł w górę, jak smreczek nieprzyginany ku ziemi. Sprawiał mu przyodziew, jakiej nie miał nikt we wsi, nawet prymne chłopcy. Zawdy chazukę miewał nową, koszulę cieniutką, serdaczek bielił się na nim, jak śnieg noworoczny. To se możecie uważać, żech dbała o niego. Juścić przyszło do ożenku... Ja mu nie radziła. Wybrał sam, jaką se żywnie spodobał. Poszłam z nim do urzędu i zapisałam mu wszystko, ostawiając ino telo, coby se len wsiewać. Bo ja w zimie rada przędę, a jak się nie wsieje...

Polknęła parę lez i domówiła:

— Kiedy on, wiecie, i tego kawaleczka mi zaprzeczył. A jak-ech mu powiedziała, że se

nie dam wziąć — to skoczył i wybił mną drzwi od sieni...

Rozplakała się w głos cały, aż ludzie przechodzący poczęli stawać, pytając, o co tak bardzo zawodzi. Odeszła, by nie zwracać ócz ludzkich na siebie, ale jeszcze długo było słychać jej żałośny płacz.

Za chwilę stanął przed Frankiem chłopina nieduży.

— Jak to i hańta zawodzi... słyszycie? Musiał ją ktoś niemało ukrzywdzić.

— Syn własny...

— E dyć ono tak z tymi synami... I ja haw mam trzech, a co który, to bardziej dojada.

— Idziecie i wy do sądu?

— A jakże. Trza koniecznie jaki koniec zrobić. Bo tak żyć nieporada, to daremny sposób. Oddałech grunt najstarszemu. Bedzie — myślę — gazdował jako lepiej, a ja se odpocznę... Mocny Boże! Kanyby też człek znalazł wyrękę! Trza sie było jeszcze więcej narobić. Ja mu też wnet odebrał i dalech młodszemu. Bedzie — myślę — choć na ojca uwazował jako... Ale co-byś! Nie było dnia, ba, nawet godziny, żeby mnie kopą djablów nie obłożył. Masz ty tak piekłować — myślę — poczkażże! Odebrałech i dalech grunt najmłodszemu... Alech trafił akurat, jak z pieca na kociel. Wiecie wy, ten sie do bitki ze mną biere! Wnetby i kij na ojcu

złamał, huncfot zatracony! Takie to mam skrzenie na starość. Co ja się też nadumał, jak spokoju dostać! Nie poradzisz, bo darmo, bo dzieci ladaco. Ten ci się widzi dobry, skoro mu oddasz grunt — już się przeinaczy. I tak ze wszystkimi..

— Coż teraz myślicie? — spytał Rakoczy.

— Myślę iść i odebrać temu zdrajcy, a oddać pierwszemu. Przynajmniej bitki nie będzie w chałupie. A może się już i on upamiętał i będzie ojca miał w poszanowaniu...

— Nie wierzcie! — odparł za nim chłop starowina, który nadszedł i chwilę się już przysłuchiwał zblizka. — Nie wierzcie temu, co gadacie, bo to wszystko bajtki. Któryby też syn szanował ojca? Ja ich mam pięciu, chwala Bogu, a żaden mnie nie słucha. Nie dość, że w chałupie gryzą, to jeszcze po sądach człeka na starość wywłóczą...

— O coż takiego?

— Dużo gadać. To wam ino powiem, moiściewy, że: tak źle i tak niedobrze. Oddasz grunt, to cię z chałupy wyżeną — nie oddasz, to sami wezmą. Jak i mój najstarszy...

— Jakże poradził wziąć sam?

— Jak poradził.. No dyć słuchajcie, to wam powiem. Długo mu się widziało czekać mojej śmierci, toż to poszedł do stryka i namówił go, żeby mu stanął za ojca. Poszli do no-

tereusza, i tam ten przybrany ociec pooddawał mu wszystko, jako swoje... Braciom poostawiali spleć na piśmie, i na tem stanęło. Ja nie wiedział...

— A synowie?

— Coby nie wiedzieli! Ino sie hycle razem tak uwzięły na mnie. Skoro przyszło do oplaty, tożto sie wydało. I ściągają mnie teraz, włóczą po urzędach...

— Ale i stryk niedobry...

— Ba, kieby dobry był, toby za ojca hycłowi nie stawał. Ale odbeczy i on za swoje. Tak mnie to synowie uczą, tak, mościewy... Ale ja se już powiedział: Żadnemu nic nie dam, wolę cyganowi ostawić, a nie dam. Niechże sie cieszą naprzód, kiedy tacy...

— Słuchajcie, kumie, ja wam cosi powiem...

Reszty słów Franek nie dosłyszał, bo się zajęli razem i poszli, świadcząc sobie po drodze wzajemnie. Jeszcze ich z oczu nie stracił, kiedy go przywitał człowiek znajomy z Przysłopia.

— Coż was tam wiedzie?

— Bieda, Franku... Taka mnie chmara obiadła, że nie wiem, czy sie zdolę z pod tego wydobyć. Ociec nieboszczyk, zanim pomarł, powydawał siostry, ożenił braci i wyczęścił wszystkich, do jednego. A mnie ostawił na gruncie, jako najmłodszego. No i był spokój, i mogłoby tak być aż do śmierci. Ale djabli nie sypiają,

ludzi złych i zazdrosnych nigdy i nikany nie brak. Poczęli siostry podjudzać, podbelchtywać braci, no i tak ich poruszali, jak to gniazdo osie. Wszystko sie zleciało do mnie, obsiedli mnie, jak te wrony biednego kocinę. Daj — powiadają — wypląt, bo jak nie, to cię sprawujemy na nic. Ja im tłómaczę, jak mogę, że przecie wybrali wszyscy, co im sie patrzyło, że ich przecie nieboszczyk ociec powyplacał.. Ale cobyś poradził na łakomstwo ludzkie! Co nam — powiadają — ociec dał, to ociec, a ty na to podpisu nijakiego ni masz. No i skarżą mnie o wypląt. Co ja teraz pocznę? Chyba mi sie powiesić przyjdzie, bo inszej rady nima. Baba w głowę zachodzi od krzyku, a mnie sie we łbie maćci, jakżeby mnie kto obuchem zwałił w samo ciemię. Co mnie też trafiło, że ten grunt nieszczęsny do mnie przywarł! Lepiejby mi było służyć do dziesiednia; patrzyłbych se roboty i ni miałbych turbacji o nic. A tak — zachodź, zaganiaj ze wszystkich stron, i dla kogo? Przyjdą insi, zabierą, z przed oczu zagarną, a ty szukaj z dziećmi wiatru po świecie i mrzyj głodem. Do tego przyjdzie, ja już czuję, że sie nie zratuję. Tak, mój kochany Franku... Ostań z Bogiem, i niech ci Bóg da, żebyś kłopotów ni miał nad głową, bo ja to już tak chyba muszę dokawęczeć..

Odszedł, a za nim nadchodzili insi: co który,

to z gorszą krzywdą i większym lamentem. Temu brat zesiekł potrawę i jeszcze go pobił; drugiemu wydana córka ukradła krowę z obory i przyszła go żałować przy ludziach, że go takie nieszczęście spotkało; a inszemu znów sąsiad taką złość wyrządził, że poobrywał wierchy smreczkom jego, aby od ziemi nie odrosły.

I lała się ta rzeka mętów szeroką roztoką, a koło niej przykopami odpływały lzy...

Zdawało się, że ustanku nie ma i nie będzie tej strasznej procesyi ludzkiej.

Szły gromady tak zajadle, tak nienawistne sobie, że widziało się, iż do końca świata żaden trybunał ich nie zgodzi; osiedla całe, powadzone z sobą, które się drogą wadziły bez przerwy; zwaśnione rody, skarżące się wzajem o jednorazne pobicie, a tak ośleple w zawiści ku sobie, że cała droga ich do sądu była jedną bitką, jak powiadały ślady krwi ostalej na dużo ostrych skalach. A za tymi falami, pieniaćmi się złością okrutną, szły: dzieci, winujące swoich własnych ojców, pasierby, wołające o pomstę do nieba, ojcowie, przekleństwami darzący swych synów, i matki, skarżące się tak cicho, żałośnie, jak wiatr, oplakujący liści na jabłoni...

— Piekło!... — zawołał Franek i zasłonił oczy.

I tak pozostał w tym bezruchu niemym, aż płacze zcichły, głosy poginęły i nie było sły-

chać znikąd gwaru nadchodzących ludzi. Wtedy podniósł głowę ciężką i powiedział głośno:

— Miałbych wpaść do tego morza... przyczynić się skargą swoją do wesela piekieł? Nie! Choćbych ino kroplą był, to nie chcę! Wolę raczej wszystko stracić...

Zadumał się chwilę i dokończył myślą cichą:

— Moja krzywda ostanie we mnie na wiek wieków. I nikt się o niej nie dowie...

Wstał wolno i, chcąc porachować czas, spojrział na słońce. Stało na samym południu.

— Co teraz czynić?

Nigdy jeszcze nie znalazł się w takiej próżni wielkiej. Miał takie uczucie, jakby go ktoś uwodził z zawiązanymi oczyma po jarach, dobrzach, wertepach, urwiskach, a potem wyprowadził go na przestrzeń pustą, gdzie ani miedzy, ani końca i, rozwiązując mu oczy, powiedział: »Teraz idź, gdzie chcesz«...

— Co czynić?

Daremno myślał, nie mógł nic wydumać. Już się począł zastanawiać nad tem, czy jest na co przydatny światu, gdy sobie przybaczył Hanke, a równocześnie ujrzał Jasia, idącego drogą.

— I ty też do sądu idziesz? — zawołał ku niemu.

Jaś, zalekniony, przystanął i począł prędko zaprzeczać.

— Co mówicie! Ja do roboty... Ani mi się śni o jakich sądach! Musiał was ktosi zcyganąć. Bo ja z nikim nie mam zajścia, ani żadnych sporów. A choć mam żal, to... wybaczenie i nie dziwcie się niczemu na świecie.

Długo za nim Franek patrzył.

— Ten się nie poskarży...

Zawrócił potem pomału i poszedł roztoką w górę, nie myśląc nad tem, dokąd idzie.

W całej roztoce pełno było słońca i rozpalonej mgły, przejrzystej, białej. Powietrze drżało, jako struny cienkie, z siwych płomieni, rozpięte na wietrze. Nużyła oczy jego ta jasność rozlana w okół, podobnie, jak zwierciadło śniegów, w którym się przeziera słońce; gorąc, idąc od zbóż i koniczyn, wiał parnym, dusznym wiatrem w idącego. Począł się obzierać w koło, czy nie dojrzy smreka, pod którego chłodzącym cieniem mógłby złożyć głowę. Ale napróżno wypatrywał oczy; musiał iść dalej.

Niezadługo wszedł w gwarne osiedla. Uderzyły go naprzód krzyki bitych dzieci, potem płacze i klątwy i nawoływania. A to wszystko tak wyraźnie odciskało się na jego mózgu, że za każdym głosem prawie czuł ból i ukłucie. I dziwił się niepomału, że mu się tak za jedną dobę mocno zaostrzył słuch. Wczoraj jeszcze

przechodził mimo obojętnie, nie go tak wielce nie raziło z boku. A teraz — zewsząd, jakby się jaskinie otwarły, wylażą ślepe jaszczurki nędz, gady okrutnych klątw i węże zawiści. Zewsząd ku niemu wychylają łebki, z każdej chałupy wyzierają i patrzą z tych bolesnych wrażeń.

— Piekło! — powtarzał często i szedł do góry wsią.

Przyspieszał wartkiego kroku, chcąc jak najprędzej odejść gwaru, hałasów ludzkich. Zaprağnał stracić życie z przed oczu na chwilę, choć na małą chwilę odetchnąć gdzieś w cieniu jałowca, gdzieby go nie dochodził odgwar tego życia.

— Zajdę do roztok — myślał — tam odetchnę. Tam w cichości pomyślę, co mam dalej czynić...

I szedł wartko, mijając osiedla przydrożne. Zmęczenie czuł ogromne, skołatanie takie, jak przy turkocie wodnych młynów. I jak wędrownik pragnie wody, tak pragnał spokoju... Cel jeden znalazł przecie. To go umocniło. Szedł, jak lunatyk śpiący, pośród gwaru ludzi, nie bacząc już na wszystko, co go otaczało.

Śródwieczerz był, gdy minął ostatnie osiedle. Coraz rzadziej białaly płaty owsa; po obu zboczach ciągnęły się ugory, zakończone przylaskami u stromych wyrębów. Ludzi już nie spotykał,

idący roztoką, jeno z odległych szarych pastwisk dolatywały go echa krzyków niedużych pasterzy. I szło ku niemu łagodną muzyką dalekie, smętne turlikanie owiec.

Za chwilę zбочa poczęły się zwięzać. Wchodził do lesistego wąwozu. Na wstępie zaraz owiało go zimno i zapach smrekowych iglic. Wdychał powietrze całą piersią i szedł wolno dalej.

Równa droga wiodła prosto koło samej wody. Roztoczne fale skakały z kamieni, jak rozpezdzone rumaki, wstrząsając w górę białymi grzywami zwałnionych, miękkich pian. A szum od ich rozpędu chwiał, jak wiatr, smrekami i głośnym hukiem uderzał o skały.

Za chwilę wąwóz minął, wyszedł na dolinę, gdzie go przywitał spokój wielki, cisza, jak w kościele, gdzie się milczenie modli samo. Życie stąd odeszło — spłynęło roztoką na dół — nie słyhać tu już echa gwarnych osad ludzkich.

Ogromną ulgą odetchnął Rakoczy.

— Przecie sie raz straciło...

XI.

I długo, długo spoczywał w dolinie.

Słońce się już schowało za wysokie wierchy i na przeciwległą ubocz rzuciło cień długi, posuwający się wolno w górę po zrudziałych pniakach. I zmrok wstawał z roztoki niewidzialną mgłą.

A on nie myślał odejść.

Jak na cmentarzu, gdzie wieki posnęły, zadumał się nad swoim życiem od kołyski i przeżywał myślami dużo chwil zbaczonych.

Pamięta... Małym chłopcem pasł owce po brzegu. Nachodził się za niemi i usnął w dolince, w takiej małej dolince, że go ledwie skryła. Co się też matka nawołała, naszukała wszędzie! Nijak nie mogła go odnaleźć. Sto razy przeszła po nad tą dolinką, a nie zdołała dojrzeć przecie, jak zwinięty spał. Tak turbacją o niego zamglily się jej oczy. Latała po chałupach, pytała się ludzi — nikt nikany go nie widział. Zazierała do studni, czy nie wpadł

przypadkiem, nie wierzyła już oczom swoim, sięgała habiną, ale ino woda czysta zmaciła się piaskiem. Wtedy ona, taka mądra, tyle razy wyrzucająca ludziom zabobony, poczęła wierzyć, że jej go chyba planetnica wzięła...

— O matko moja! Nie darmoś wierzyła. Bo ja dziś szczery planetnik...

Pamięta jeszcze... W mieście był, daleko. Cnęło mu się tak za ugorami, że se nie mógł dać rady. Siedząc nad książką, dumał nad tem, jakby tam zajrzeć choć na chwilę, obaczyć owce, jak się pasą i ptakiem odlecieć. Dolatywać tak, choć na momenty, nachlipać się smrekowych zapachów i wrócić. I nie uszło dużo... A jak to dziwnie stało się i prędko! Wyraźnie baczy ten orszak pogrzebny i ten grób otwarty długo... Wyplakał nad nim całą duszę, wszystkie swe nadzieje. Zapamiętał się w żalu doznaku, ledwo go ludzie oderwali. I został w chałupie... Odtąd rozpoczęło się to ciągle szarpanie.

Przypominał sobie dalej, co go spotykało, ale wszystko było jakieś zszarzałe, odległe, podobne szarym ziemniaczyskom w polu, po których oko błądzi i, znużone, na niczem się nie może oprzeć.

Przechodząc myślą, zauważył, że życie się odeń cofa, ale to tak dziwnie, że: co ostatnie — staje się najdalszem, a co dawniejsze — pozostaje i nabiera barw. Najjaśniej, najwyraźniej

snują się chłopięce lata, jakby je kto umalował i ukwiecił życiem. Zastępują poprzód oczy, jak u bramy śmierci.

— Nie dziwota — pomyślał i spojrział w około — taka musi być dolina wiecznego spoczynku...

Wodząc okiem po polanie, dojrzał u stoku przeciwległej góry, w miejscu, gdzie się dwie roztoki schodzą, sterczący ponad zielen łąki, oczerniały dach. I zaraz zbaczył sobie, co opowiadali starzy, że tam podobno była drzewiej huta. Stąd miejsce to powszechnie zowie się Huciskiem.

— Niedawny czas!... Trzaskały ognie, dymiły się piece, huczały wałkownice i łoskot szedł naokół. Pełno gwaru i turkotu, jak w zapadłym mieście. A teraz — spokój wieczny... Ani słychu dychu.

Party myślą, by obaczyć, co pozostało z tej przeszłości hucznej, wstał i poszedł po polanie ku stopom onego zbocza. Długi czas szedł, nim dotarł na koniec doliny.

Uderzyła go naprzód pustka taka, że się jej zląkł prawie. Wszędzie znać było ślady minionego życia i wyraźniejsze ślady śmierci, która po niem przeszła.

Gruzy, nasypowiska i zwały rumowisk. Całe pole gruzów ostrych, zczerniałych od wieku. Chodził po tych kopcach dużych, utykając się,